



Maciejka Mazan



Pina, zrób coś!



Babie lato

Maciejka Mazan

Pina, zrób coś!

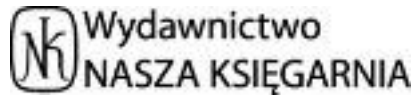
Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Pina, zrób coś!
Spis treści

OkładkaStrona tytułowaZajrzyj na strony:Książki w
seriiDedykacjaWstępROZDZIAŁ PIERWSZYROZDZIAŁ
DRUGIROZDZIAŁ TRZECIROZDZIAŁ CZWARTYROZDZIAŁ
PIĄTYROZDZIAŁ SZÓSTYROZDZIAŁ SIÓDMYROZDZIAŁ
ÓSMYROZDZIAŁ DZIEWIĄTYROZDZIAŁ
OSTATNIEPILOGPODZIĘKOWANIAStrona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj naszą ofertę - LITERATURA DLA KOBIET
www.nk.com.pl/literatura-dla-kobiet/9/kategoria.html

Poznaj inne książki z serii BABIE LATO
www.nk.com.pl/babie-lato/174/seria.html

W serii

Babie lato



Małgorzata Gutowska-Adamczyk
Serenada, czyli moje życie niecodzienne

Romuald Pawlak *Póki pies nas nie rozłączy*

Romuald Pawlak *Związek do remontu*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Niebieskie migdały*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Przebudzenie*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak
Ucieczka znad rozlewiska

Karolina Święcicka *Lalki*

Małgorzata Maciejewska *Zemsta*

Kasia Bulicz-Kasprzak
Nie licząc kota, czyli kolejna historia miłosna

Kasia Bulicz-Kasprzak *Nalewka zapomnienia,
czyli bajka dla nieco starszych dziewczynek*

Izabela Sowa *Zielone jabłuszko*

Magdalena Witkiewicz *Ballada o ciotce Matyldzie*

Iwona Banach *Szczęśliwy pech*

Iwona Banach *Lokator do wynajęcia*

Iwona Banach *Klątwa utopców*

Liliana Fabisińska *Z jednej gliny*

Małgorzata Thiele

Trzy panie w samochodzie, czyli sekta olimpijska

Anna M. Brengos *Scenariusz z życia*

Maciejka Mazan *Pina, zrób coś!*

Dla mojej Mamy

Monia powiedziała tak:

– Kiedy grałam w szkolnym teatrze, mama mówiła: „Baw się, bo potem przyjdzie prawdziwe życie”. I wiesz co, Pina? To by było bardzo niedobrze, gdyby to prawdziwe życie już przyszło, bo ja najbardziej żyję, jak jestem na scenie. Pina, zrób coś!

Więc zrobiłam. Od tego wszystko się zaczęło.

ROZDZIAŁ PIERWSZY,

w którym żegnamy łabędzie i witamy przygodę

Choć właściwie naprawdę zaczęło się od łabędzi.

– Żegnajcie, łabędzie – powiedziała Monia.

Co może było dziwne, ale w naszym zespole dziwność Moni nikogo już nie dziwi. W naszym zespole Monia jest ambasadorką dziwności. Zdziwilibyśmy się, gdyby Monia przestała nas dziwić.

Monia przez jakiś czas była przekonana, że radio wysyła jej zaszyfrowane ostrzeżenia przed niebezpieczeństwami. Na przykład *Umbrella* Rihanny leciała akurat wtedy, kiedy Monia wychodziła bez parasolki z domu, a potem była burza. Przypadek?

Monia nie tknie naleśników z serem, jeśli są zrolowane. Według niej ich smak jest nie do zniesienia – w odróżnieniu od tych samych naleśników z serem złożonych w trójkąty.

Monia boi się, że ją napadną. Ale ponieważ jako osoba łagodna jak gołębica nie potrafiłaby nikogo skrzywdzić, zamiast gazu nosi w kieszeni minidezodorant. Na pytanie, dlaczego chce poperfumować mordercę, zanim zginie z jego ręki, nie odpowiada albo odpowiada niemerytorycznie i bez sympatii.

Dlatego nikogo nie zbulwersowało, że Monia wyjeżdża na próbie z jakimiś łabędziami.

Nie od razu zrozumiałam, że coś się stało. Monia pomimo całej swojej dziwności jest zdyscyplinowana, więc nie rozwala nam próby swoimi problemami. Sama ją nauczyłam, że na próbę aktor nie przychodzi: a) kiedy umarł, b) kiedy miał wypadek i nie żyje. Aktor, który miał wypadek i żyje, jest zobowiązany wczłgać się na próbę, wlokąc za sobą kroplówkę.

Wyglądało na to, że Monia miała jakiś wypadek i umarła, a potem przyszła na próbę. Od godziny snuła się między nami jak Ofelia w scenie obłędu. A dokładniej: JAKO Ofelia w scenie obłędu, bo robiliśmy musical z montażu sztuk Szekspira z rockowymi piosenkami. Później się

z tego wytłumaczę.

– Gdzie jest piękna władczyni Danii? – zaczęła Monia z takim wyrazem twarzy, jakby przed chwilą zderzyła się czołowo z murem. To bardzo pasowało do postaci, więc na razie nic mnie nie tykało. Siedziałam na krzeselku dla dzieci, gdyż tylko takie miałam do dyspozycji w wynajmowanej sali, która za dnia służyła jako przedszkole. Wesóły Krasnoludek, i bardzo zadowolona patrzyłam sobie na pełną niuansów grę Moni. Do głowy mi nie przyszło, że ten osłupiały wzrok, za którym czai się coś w rodzaju szaleństwa, to nie gra aktorska.

– Ofelio, co z tobą? – zareagowała na to Helena zgodnie z tekstem i spojrzała na mnie jakoś dziwnie, jakby spodziewała się reżyserskiej interwencji.

Niestety, nie wszyscy jesteśmy inteligentni. Wydało mi się, że Helena czemuś się czepia Moni, która bardzo porządnie gra, więc wzruszyłam ramionami i puknęłam się w głowę. Helena patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem też wzruszyła ramionami. Miała taką minę, jakby chciała powiedzieć: „A to masz”.

Monia stała na środku prowizorycznej sceny. Przechyliła głowę w bok i patrzyła w dal z zadumą. Jako biedna obłąkana Ofelia miała zacząć śpiewać dziwną piosenkę, ale nie zaczęła.

– Co znaczy ta piosenka, biedactwo? – przeczytała niechętnie Helena ze scenariusza, kiedy milczenie przedłużyło się za bardzo.

Pacnęła Monię w ramię.

– He? – Monia trochę się ocknęła, ale nie całkiem.

Spojrzała na Helenę nieprzytomnym wzrokiem, jakby coś jej mówiło, że powinna się obrazić, ale nie pamiętała dlaczego.

– Co-znaczy-ta-piosenka-do-cholery-biedactwo? – wycodziła Helena.

Monia przez chwilę jakby zastanawiała się nad pytaniem, ale potem oczy znowu jej się zamgliły. Jej nastrój, dotąd smętny, wyraźnie zgęstniał w kierunku mrocznym.

– Oto rozmaryn na pamiętkę – oznajmiła, robiąc gigantyczny skok w tekście i zgrabnie kasując jedną scenę. – A tu stokrotka.

I znowu zastygła.

Na tym etapie już do mnie dotarło, że coś się dzieje. I ja, i reszta

zespołu przyglądaliśmy się jej w napięciu, czekając, jaki jeszcze numer wykręci.

– A tu stokrotka – powtórzyła Monia grobowo.

– Dałabym wam... – podpowiedział Jacuś koleżeńsko.

Monia przeniosła na niego szkliste spojrzenie.

– Dałabym wam... – powtórzył Jacuś z zachęcającym uśmiechem.

– Chleba z masłem – dopowiedziała automatycznie Monia.

– Fiołków! Fiołków! – zdenerwowała się Helena.

– Fiołków – zgodziła się apatycznie Monia. – Ale wszystkie zwiędły, kiedy ojciec umarł. No i ten... – Westchnęła i machnęła ręką.
– Żegnajcie, łabędzie.

Tak jak mówiłam, to, że Monia wyjeżdża na próbie z łabędziami, nie zdziwiło nikogo. Natomiast otoczka łabędzi nie tylko nas zdziwiła, lecz także przeraziła.

– Monia, słonko – powiedział Jacuś łagodnie. – Co ci?

Monia była w trybie teatralnym i tak łatwo nie zamierzała dać się z niego wyrwać. W trybie teatralnym ciało wypowiada słowa i przemieszcza się w pożądanym kierunku: czasem tańczy, czasem nawet kogoś całuje, a umysł zajmuje się czymś innym. Mimo to spróbowałam ją zwabić w rzeczywistość.

– Monia – powiedziałam energicznie moim najlepszym reżyserskim tonem. – Zeznawaj, co się dzieje. Bo widzę, że coś się dzieje.

Na co Monia prześlizgnęła się po mnie mętnym wzrokiem martwego ptaszka i zaczęła śpiewać:

– Może jeszcze wróci? Może jeszcze wróci? Nie, nie, on śpi w grobie...

Piosenka była całkowicie zgodna ze scenariuszem, ale wszystkim nam włosy stanęły dęba. Jacuś chyba nawet zaczął dzwonić zębami.

– O Jezuniu, Monia... – zakwilił. – O Jezuniu, ludzie...

– Zamknij się! – wrzasnęła Helena, która jest góralką i nie daje się tak łatwo. – I ty też się zamknij! – dodała trochę łagodniej do Moni.

– Mów w tej chwili, co się stało, bo jak Boga kocham, że cię strzelę...!

Monia po raz pierwszy spojrzała na nas trochę przytomniej.

– To mam się zamknąć czy mówić? – spytała zaskakująco

logicznie.

– Mówić – warknęła Helena.

– Nie mogę z wami dalej grać – powiedziała Monia. – Wiem, że ten konkurs i wszystko. Wiem, że robię wam świństwo. Gdybym mogła, tobym nie odchodziła, ale nie mogę. Cały czas się zastanawiam, co robić, ale myślę i myślę, i wychodzi mi, że inaczej się nie da. – Tu jej oczy znowu się zmieniły, jakby zaczęła patrzeć gdzieś do środka. – Po prostu pieniądze i co zrobisz. Chyba żeby milioner. Ale skąd. No i żegnajcie, łabędzie. Tak wychodzi.

I wyszła.

Tak po prostu.

A myśmy zostali z otwartymi gębami i poczuciem, że ktoś nas zdzielił w zespolowy łeb.

Bo gdyby nie Monia, zespół by nie powstał. Fakt powstania zaistniał, można powiedzieć, na jednej z imprez. Wszystko toczyło się jak zwykle na imprezie, dopóki los w postaci tłumu nie rzucił mnie w pobliże Moni, siedzącej nieruchomo z kieliszkiem w ręku.

– Moniszon, mordo moja! – wrzasnęłam. Nie da się ukryć, że mojej trzeźwości sporo brakowało do pełnego ideału. – Co tam?

– Jezus Maria – odpowiedziała mi na to Monia.

Przyznaję, że nie byłam wtedy zdolna do jakichś wyjątkowych wyczynów umysłowych, jednak przez opary wiśnióweczki dotarło do mnie, że Monia chyba nie bawi się dobrze.

– A konkretnie? – spytałam, przepelniona pijackim rozczuleniem i chęcią natychmiastowego niesienia pomocy kochanej koleżance.

Monia spojrzała na mnie kątem oka, jakby odwrócenie głowy stanowiło zbyt wielki wysiłek.

– Konkretnie dokonałam trzech odkryć – oznajmiła ponuro. – Po pierwsze, jestem na drugim roku.

– Mów, Moniszonie, zwierz mi się! – zakrzyknęłam z nieco opóźnionym zapłonem. Alkohol zawsze przenosi mnie w inną rzeczywistość, w której czas płynie zwolnionym strumieniem.

Monia nawet tego nie skomentowała. Nadal siedziała w tłumie imprezujących i wpatrywała się w przestrzeń, do złudzenia przypominając Kasandrę, której ukazała się wizja dymiącej Troi.

– Moim drugim odkryciem jest to, że studiuje ekonomię. Jezus Maria. Ja studiuje ekonomię.

– To nie wiedziałaś? – spytałam.

Monia łypnęła na mnie z ukosa.

– I niedługo przestanę studiować ekonomię. I zacznę pracować. I tak już będzie zawsze. I Jezus Maria.

– Ale że co? – spytałam, kiedy milczenie zaczęło się przeciągać.

– Chyba o to ci chodziło?

– Nie. Nie o to mi chodziło – oznajmiła Monia grobowo. – I to jest trzecie odkrycie.

Hm. W sumie ją rozumiałam. Znałam sporo osób, które poszły na niezbyt kręjące je studia, żeby mieć dobry zawód albo żeby ucieszyć rodziców. Nie robi się głupich numerów, kiedy wokół kryzys i trudno znaleźć robotę, za którą płacą pieniędzmi w terminie.

– Co tak siedzicie, dziewczyny? – zagaił radośnie Jacuś, padając na krzesło obok nas.

– Kim będziesz w przyszłości? – spytała Monia surowo.

– Jak dorosnę? Szczurem korporacyjnym – odparł Jacuś i powoli przestał się uśmiechać. – O, to było zbędne. Przywołałyście trzeźwość – oświadczył z wyrzutem i opuścił nasze towarzystwo.

– Widzisz? – powiedziała Monia i zaczęła płakać.

Wystraszyłam się, bo dotąd ani razu nie widziałam, żeby Monia płakała. Spróbowałam ją uspokoić.

– Monia, weź... – wymamrotałam.

No cóż. Wspominałam już, że pod wpływem mogę nie być zdolna do intelektualnej woltyżerki. Mimo to dotarło do mnie, że strategia nie działa i trzeba się wysilić bardziej.

– Monia, no weź nie płacz – wysiliłam się bardziej.

– Muszę płakać – wyszlochała Monia.

– Dlaczego?

Monia przez jakiś czas chlipała z rozdzierającą bezradnością. W końcu przez chlipanie dotarła do mnie odpowiedź:

– Bo jestem wierzwą płaczącą.

Dla mojego zmaconego alkoholem mózgu był to jakiś argument, ale przemyślałam go i nie dałam się zwieść.

– Nie wyglądasz jak wierzba płacząca! – oznajmiłam tryumfalnie.

Nie było to mądre, ale podziałało. Monia spojrzała na mnie z dziwną miną, pociągając czerwonym nosem. Potem bez słowa zsunęła z włosów gumkę. Długie, lejące się pasma zasłoniły jej twarz. Przez opary wiśniówki wydały mi się całkiem podobne do wierzbowych witek. Musiałam przyznać, że teraz jej wersja ma o wiele więcej sensu.

– Co robicie, głupie baby? – spytał serdecznie Jacuś, który znów się odnalazł. Po raz kolejny okrążając salę, chyba zapomniał, że z nami rozmawiał, bo patrzył na mnie i Monię z radosnym zaskoczeniem.

– I czy ta debilka musi tak ryczeć?

– Musi – powiedziałam.

– Bo?

– Bo jest wierzba płacząca – wyjaśniłam równocześnie z Monią. Jacuś pokiwał głową. W jego oku pojawił się błysk natchnienia, które później wielokrotnie ratowało nas na scenie.

– A ja jestem wiatrem – oznajmił i złapawszy Monię za włosy, wywlókł ją na środek pokoju, gdzie wspólnie wykonali coś w rodzaju etiudy tanecznej *O czym szumią wierzby*. Wokół nich bardzo szybko zrobiło się luźno. Możliwe, że z szacunku, a możliwe, że nikt nie chciał drażnić wariatów.

– Świetni są – odezwała się Helena, stając obok mnie. – Powinni występować. Też zawsze chciałam. Szkoda, że to niemożliwe.

Pokiwałam głową, ale w moim pijanym umyśle obudziła się pierwsza trzeźwa myśl: właściwie dlaczego?

– Właściwie dlaczego? – spytałam na głos.

Helena spojrzała na mnie. Otworzyła usta. Potem je zamknęła.

I tak trzy dni później nastąpiło zebranie organizacyjne naszego spłodzonego w pijackim widzie zespołu.

A tydzień później pierwsza próba.

Dwa miesiące później pierwszy wykon, który – choć nie był jakimś szczególnym sukcesem – zapisał nam się w pamięci na zawsze i uświadomił, że nie chcemy robić niczego innego. Już w garderobie postanowiliśmy jechać na konkurs teatrów amatorskich i powygrywać wszystko, co się da. Zmiksujemy teksty Szekspira z rockowymi piosenkami i rzucimy jurorów na kolana. Ustaliliśmy to w pięć minut, po

czym z radości zaczęliśmy się ściskać.

– Kocham was – powiedziała wtedy Monia, wieszając się wszystkim kolejno na szyjach. – Ciebie kocham. I ciebie kocham. I ciebie.

– Jego nie kochaj – ostrzegła Weronika, odczepiając Monię od swojego prawie narzeczonego.

– I ciebie kocham – odparła na to nieprzytomnie szczęśliwa Monia, wieszając się na szyi Weronice. Wątpię, żeby w ogóle rozpoznawała twarze. – Uratowaliście mi życie. Gdyby nie wy... żegnajcie, łabędzie.

A teraz łabędzie powróciły. W jakże ponurej postaci.

*

Po dezercji Moni wstrząśnięci rozeszliśmy się do domów. Nikt nie miał ochoty próbować Szekspira, kiedy Monia jak prawdziwa Ofelia mogła właśnie dryfować Wisłą do Gdańska. Helena obiecała na odchodnym, że dowie się, o co chodzi z tymi łabędziami, nawet gdyby miała wywlec je Moni z gardła. Uwierzylimy, bo Helena jest zdolna do takich rzeczy.

Następnego dnia zrobiło się jeszcze gorzej.

– Siostra Moni ciężko zachorowała – oznajmiła Helena. – Nasi lekarze proponują amputację nogi. Za granicą, owszem, można wykonać leczenie oszczędzające, ale za straszne pieniądze. Monia i jej siostra mieszkają z matką, która jest nauczycielką. W życiu nie dostaną takiego kredytu. Monia szaleje, chce iść do pracy albo sprzedać nerkę, tylko na razie nie udało jej się ani to, ani to. W telemarketingu na operację nie zarobi...

– Może niech zrobią zbiórkę wśród rodziny? – podsunął Jacuś.

– Nie mają rodziny. Są same.

– A może ZUS zrefunduje operację? – spytała Walka.

– Żartujesz? ZUS co dwa lata sprawdza, czy mojemu wujkowi nie odrosła ręka, bo wtedy nie będzie trzeba płacić mu renty. Centymetrem mierzą kikut, czujesz to?

– A może zrobić jakąś akcję? Zebrać pieniądze na Facebooku,

chodzić po firmach? – rzuciła Weronika.

– Robią to. Trochę zebrały, ale to jest nic w porównaniu z tym, czego potrzeba. A choroba postępuje...

– O matko – powiedziała bezradnie Walka. – To już mogłaby z nami grać. I tak nic nie działo...

– Myślisz, że fikałaby tu nóżkami, kiedy jej siostra zapłakuje się na śmierć?

Wszyscy zamilkli. Słysząc było tylko odgłosy kawiarni i klikanie klawiatury laptopa – Adrian, prawie narzeczony Weroniki, siedział w internecie.

– Przejąłbyś się, żłobie – straciła w końcu cierpliwość Weronika, która musiała na kimś wyładować frustrację, a tym kimś tradycyjnie był Adrian.

– Przejąłem się – odpowiedział, poprawiając okulary profesorskim gestem.

Adrian na pierwszy rzut oka wygląda jak zasuszony naukowiec. Na drugi i trzeci też. Zza okularów w drucianej oprawce nie widać ani jednego błysku szaleństwa. Jeśli chodzi o kamienny wyraz twarzy, kawał betonu w porównaniu z nim wykazuje pewną ruchliwość. Dopiero po jakimś czasie, całkiem bez ostrzeżenia, okazuje się, co z Adriana za numer (wkrótce do tego dojdziemy).

Na razie Adrian odkaszlnął, złożył długie, szczupłe palce w wieżyczkę i zaczął takim tonem, jakby zamierzał zreferować rolę gazów szlachetnych w walce z efektem cieplarnianym.

– Niefajnie, że nie pomagamy Moni.

– Przepraszam cię najmocniej – uniosła się od razu Weronika. – Ja bym bardzo chciała, tylko że ostatnio nie stać mnie nawet na kartę miejską! Wszędzie jeżdżę tym starym trupem, rowerem twojej ciotki! Codziennie żegnam się z życiem! Kiedy jadę ulicą koło tych wszystkich samochodów, mam ochotę od razu sobie powiesić wieniec żałobny na szyi i puścić *W mogile ciemnej śpij na wieki*, bo już się czuję jak na własnym pogrzebie!

– Wyluzuj – powiedział na to Adrian z anielską cierpliwością. Pytanie, z jakich powodów ten idealnie spokojny człowiek nadal wytrzymuje z babą z piekła rodem, budziło wśród nas wiele

emocjonujących domysłów. – Tu trzeba policzyć. Ile kosztuje ta operacja?

– Drobiazg, tak z pięćdziesiąt tysięcy euro – powiedziała jadownicie Weronika. – Spoko, wyjmę z materaca.

– ZUS na pewno nie refunduje?

– ZUS nie rozumie, dlaczego piętnastoletnia dziewczyna nie chce dać sobie obciąć nogi. ZUS uważa to za fanaberię. Czyli: nie, ZUS nie refunduje fanaberii, skarbie.

– Jasne jest, że nikt z nas nie wyjmie takiej kasy z materaca. Musi się złożyć wiele osób. Pewnie można wpłacać na konto jakiejś fundacji.

– Pewnie można. Pewnie wszyscy, jak tu siedzimy, wpłacimy, ile możemy. I pewnie w sumie uzbieramy dwa tysiące zeta.

– Czyli należy rozszerzyć akcję. Wpłacać muszą także obce osoby.

– Pewnie. Tylko wiesz, łatwiej jest zebrać kasę dla kogoś znanego, choćby tylko trochę – na przykład sportowca. Większy oddźwięk w społeczeństwie.

– Albo dla bardzo małego dziecka – dodała Walka. – Małe dzieci rozbijają bank.

– Więc siostra Moni nie ma szans, bo nie jest bobasem ani piłkarzem? – wściekła się Weronika.

– Tego nie powiedziałem. Siostra Moni ma Monię, a Monia ma nas. Wnioski?

Wszyscy spojrzeliśmy na niego tępo.

– Że powiemy naszym znajomym...? – odezwałam się niepewnie.

– Oczywiście, ale to nadal za mały zasięg. Musimy przemówić do społeczeństwa. Skąd się przemawia do społeczeństwa? – spytał Adrian, najwyraźniej rozkoszując się rolą wykładowcy wśród głupich studentów.

Wpatrywaliśmy się w niego tak, że oczy mało nam nie wypadły.

– No! – nie wytrzymała w końcu Weronika. – Mówżeż!

– Scena. Ze sceny się przemawia do społeczeństwa. Im większa, tym lepsza. – I tu Adrian odwrócił ekran laptopa w naszym kierunku.

Zobaczyliśmy stronę telewizyjnego talent show. Ale nie staliśmy się od tego ani trochę mądrzejsi.

– To jest program dla zdolnych ludzi – powiedziała Walka.

Adrian poruszył brwiami.

– Którzy mają co pokazać – dodałam.

Adrian znowu zrobił ten numer z brwiami.

– Bo ci tak zostanie – warknęła Weronika. – Co my twoim zdaniem mamy do pokazania? Wygłupimy się!

– I co cię to obchodzi? To się wygłupimy.

– Do końca życia będziemy pośmiewiskiem w internecie!

– I co z tego? Niech się gimbaza nabija nawet do matury. Zanim nas wywalą z programu, zdążymy nagłośnić historię siostry Moni. Na całą Polskę! To według ciebie nie rekompensuje faktu, że kilku gówniarzy na utrzymaniu rodziców wyśmiejemy nas na fejsie?

– Trafimy na Mistrzów – powiedziała Walka z rezygnacją.

– Będziemy gifami – dodała Weronika.

– Bez przesady, tacy kiepscy nie jesteśmy – zaprotestowałam.

Wszyscy przez chwilę patrzyli na mnie bez słowa.

– Nie jesteśmy – powtórzyłam ciszej.

– Ale jeśli dzięki temu znajdziemy sponsora – podjął Adrian po chwili milczenia – to chyba warto?

Tak, było warto. Jeśli siostra Moni miała dzięki temu chodzić na obu nogach, to fakt wygłupienia się na oczach całej Polski jakoś przestawał być straszny. Szybko się pocieszyliśmy, że nie będziemy pierwsi.

– A to jeszcze nie koniec – powiedział Adrian z błyskiem w oku.

– Jezus – wyrwało mi się.

– Eliminacje odbędą się za jakieś dwa miesiące. Do tego czasu nie musimy siedzieć na tyłkach, możemy zebrać parę groszy. Choćby jakieś dwadzieścia tysięcy. Zawsze się przydadzą, nie?

– Mnie by się przydały – powiedziała melancholijnie Walka.

– Na przykład w jaki sposób zebrać? – zaciekawił się Jacuś.

– Na przykład na różnych konkursach. Pierwsza nagroda to czasem całkiem sporo pieniędzy. Jak nie dostaniemy pierwszej, ostatecznie weźmiemy drugą albo trzecią. A jak akurat nie będzie konkursów, możemy grać chałtury.

– Czyli?

– Sprzedać przedstawienie do podstawówki albo przedszkola. Tak się robi, wiem, bo jeździłem z kumplem z *Przygodami misia*

Tymoteusza. We dwóch zarobiliśmy nawet, nawet, tylko w metrze ludzie na mnie patrzyli jak na pedofila, bo z torby wyglądały mi te cholerne misie.

I tak to jest z Adrianem. Wygląda, jakby interesowały go tylko kwarki i protony, a tu nagle się okazuje, że w jego życiu był miś Tymoteusz.

Słuchaliśmy w sceptycznym milczeniu, jak Adrian rozpisuje nam grafik na najbliższe dwa miesiące. W rozmaitych konfiguracjach, solo i w zespole, mieliśmy zaatakować większość wokalnych i teatralnych konkursów w Polsce w nadziei, że gdzieś się załapiemy. Adrian obliczył, że jeśli nawet wygramy tylko jedną czwartą, zarobimy około trzydziestu tysięcy. Dodatkowe dziesięć mieliśmy skosić na chałturach. Potem pozostały nam już tylko eliminacje do telewizyjnego talent show, a po nich sesja na uczelni. Luz.

- Chyba Bóg cię opuścił – powiedziała Weronika ze zgrozą.
- Tego nikt żywy nie da rady zrobić.
- Ja nie chcę wylecieć ze studiów – przestraszył się Jacuś.
- Ten rok mam cholernie ciężki – dodała Walka. – To się nie uda.

Sorry.

Zrobiło mi się bardzo marnie. Im chyba też.

– Co się nie uda? – spytał nowy głos.

Odwróciliśmy głowy. Za nami stała Monia.

Cień Moni.

Albo raczej jakieś bardzo podobne do Moni stworzenie z horroru.

Przez niecały tydzień schudła chyba z dziesięć kilo i zrobiła się całkiem biała, z potwornymi sińcami pod oczami. Nie miałam pojęcia, że człowiek może tak szybko się zmienić.

Monia patrzyła na nas z czymś na kształt uśmiechu i widać było, że chce tylko po prostu sobie beztrosko pogadać, jak dawniej. Tylko że równie dobrze moglibyśmy beztrosko pogawędzić z zombiakiem. Od samego patrzenia na nią beztroska opuszczała człowieka szybciej niż kasa. Ale najgorsze było to, że w Moni zmieniło się coś więcej. Do tej pory, nawet kiedy siedziała zapatrzona w dal niczym Kasandra nad ruiną wszystkiego, jakoś miało się wrażenie, że za chwilę zza rogu wyłoni się coś niesamowitego, ciekawego i radosnego. Przeważnie się wyłaniało.

Przeważnie dzięki niej.

A teraz to znikło.

Przez chwilę gapiliśmy się na nią, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa.

– Wchodzę w to – odezwała się Helena po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy.

– Ja też – powiedziała Weronika.

– Ja też – dodał Jacuś ze skruchą.

– Czyli wszystko jasne – podsumował Adrian z niewzruszonym spokojem.

Walka tylko machnęła ręką.

Od tej pory nikt nawet się nie zająknął o studiach i innych głupotach.

*

Nim jednak zdążyliśmy przystąpić do działania, Jacuś wyskoczył z genialnym pomysłem.

– Słuchajcie, kochani – powiedział następnego dnia w uniwersyteckiej stołówce, nieoficjalnie zwanej Salmonellą. Nazwa wiernie opisywała sytuację, ale można tu było zjeść supę za pięć złotych, a starsze roczniki twierdziły, że taka sama zupa jeszcze parę lat wcześniej kosztowała złotówkę. Zresztą sądząc po smaku, mogła to być ta sama zupa. – A może zamiast się ośmieszać i zawałać studia, zwrócimy się do profesjonalisty?

– Nie ma przeciwwskazań – zgodził się Adrian.

Jacuś sprawdził, czy nikt nie rozpaćkał na krześle czegoś zagrażającego jego nieskazitelnym rurkom, i usiadł.

– No więc jeden taki mój kumpel jest aktywistą – zaczął.

Wszyscy – czyli ja, Adrian i Weronika – wpatrzyliśmy się w niego jak w malowane wrota.

Jacuś pokiwał głową z zadowoleniem i rozejrzał się po stołówce, sprawdzając, czy odpowiednia liczba osób przygląda mu się z podziwem.

– Czyli...? – ponagliłam go, przerywając mu wymianę spojrzeń z kolegą z młodszego roku.

– Czyli działa na rzecz poszkodowanych przez los. Czyli wypadałoby, że na rzecz siostry Moni też.

– A ile za to bierze? – spytała trzeźwo Weronika.

– Nic. Dlatego nazywamy go aktywistą – wyjaśnił Jacuś łagodnie jak dziecku ze szkoły specjalnej.

– Zapewne jest bardzo bogaty z domu – zauważyłam.

Adrian i Weronika spojrzeli na Jacusia, jakby nic nie interesowało ich bardziej od wyjaśnienia tego tematu. Jak ktoś może poświęcać cały swój czas na pomaganie innym, nie umierając z głodu?

Jacuś, ze skupieniem wybierając najmniej tłustą frytkę, przez chwilę nie uświadamiał sobie, że trzy osoby wbijają w niego wzrok jak sępy w smacznego wędrowca. Potem podniósł głowę i drgnął.

– To znaczy co... że... Nie wiem, może jest bogaty, może handluje narkotykami, robi wam to różnicę? Mówię tylko, że człowiek może nam pomóc. Nie takie akcje rozkręcał. Ma wejścia do telewizji i gazet...

– Brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe – zauważyła Weronika, jak zawsze przytomna.

– Jeszcze się nie zgodził – przypomniał jej Adrian.

– No właśnie, a jak się nie zgodzi? – zatroskałam się. – Na pewno się nie zgodzi...

– Jak się nie zgodzi, nic nie stracimy. A nie dowiemy się, czy się zgodzi, jeśli się z nim nie spotkamy – powiedział Jacuś. – Daj człowiekowi szansę się nie zgodzić.

W ten sposób dwa dni później zasiedliśmy w potwornie drogim wegańskim lokalu na placu Konstytucji. Był to jeden z tych dziwnych październikowych dni udających lato. Ludzie, którzy rano wyszli w kurtkach, w pośpiechu zdzierali z siebie, ile się dało. Podjęliśmy grę z pogodą i zajęliśmy miejsca w ogródku, udając, że w naszym kraju w październiku to normalne. Świeciło słoneczko, niebo było niebieskie jak lakier do paznokci i ogólnie czułabym się świetnie, gdyby nie wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą. Łypnęłam zza ciemnych okularów. Nie wydawało mi się. Otaczali nas ludzie piękni i zadbani co najmniej jak nasz Jacuś. Tylko on tu pasował.

Przejrzałam menu i wybrałam jedyną oprócz wegańskiej musztardy dostępną dla mnie cenowo pozycję: wodę. Żeby poprawić sobie samopoczucie, zdecydowałam się na gazowaną z cytryną.

– Dlaczego musieliśmy się spotkać właśnie tutaj? – spytałam nerwowo.

– Bo on tu mieszka – wyjaśnił Jacuś, ubrany nawet piękniej niż zwykle. – I jada tu śniadania.

– Jada śniadania na mieście, jak miło – mruknął Adrian.

– No bo nie ma w domu lodówki. Dbą o środowisko i w ogóle.

Spojrzałam na Adriana.

– Mieszka koło placu Zbawiciela i nie ma lodówki. Zaczynam coś podejrzewać. A ty?

– Też – przyznał zwięźle Adrian.

– Nie ma także telewizora – paplał coraz bardziej zdenerwowany Jacuś. – Bo jest bardzo krytycznie nastawiony do popkultury...

– Jacusiu, kochanie – powiedziałam powoli. – Czy twój kumpel ma brodę?

Jacuś spuścił głowę i nerwowo zamerdał słomką w swojej lodowej latte na mleku sojowym.

– Czy jeździ starym rowerem? – cisnęłam.

Jacuś unikał naszego wzroku.

– Na pewno jeździ – odezwał się Adrian ze słodyczą. – Na pewno jakby mógł, toby jeździł welocypedem.

Jacuś nie wytrzymał interogacji.

– No dobrze, powiem. To jest trochę hipster.

– Jak bardzo trochę?

– No... to jest hipster bardzo.

– Zdefiniuj – zażądał Adrian.

Jacuś zdenerwował się jeszcze bardziej.

– No nie wiem, hipster. – A widząc nasze nieruchome spojrzenia, dodał głośniejszym głosem, machając rękami dla większej jasności: – Hipster!

– Gardzi mainstreamem?

– Gardzi.

– Jak bardzo? Nosi koszulę w kratę? Czyta papierowe książki? Chodzi do Starbucksa z maszyną do pisania?

– Nie wiem, nie wiem! Nie męczcie mnie! – zakrzyknął Jacuś, prawie załamując ręce. – Po prostu, no, hipster.

– Ale jest w porządku? – upewniłam się, bo mnie tknęło.

– O, idzie! – zawołał Jacuś. Nie uszło mojej uwadze, że wymigał się od odpowiedzi.

W naszą stronę zmierzał wysoki brodaty facet. Z daleka wyglądał normalnie. Oprócz tego, że niósł materiałową siatkę na zakupy.

– Fajna koszulka – zauważył Adrian.

– To nie koszulka – syknął Jacuś ostrzegawczo.

Faktycznie, im bardziej zbliżał się facet, tym bardziej oddalało się złudzenie czarnej koszulki z długimi barwnymi rękawami. Barwne rękawy okazały się sięgającym nadgarstków tatuażem. Tatuaż wyglądał też zza dekoltu podkoszulka. Bardzo piękny i skomplikowany tatuaż. Mogłabym podziwiać kolegę Jacusia jak orientalny dywan, ale na moją uwagę czekała jeszcze jego fryzura z włosów wygolonych na skroniach i zebranych w dwie kitki na czubku głowy. Przy czym kitki nie były umiejscowione obok siebie, ale jedna za drugą, jakby stanęły w kolejce.

„Może chociaż niczego sobie nie przekłuł” – pomyślałam błagalnie, bo na widok sztyftów i tuneli robi mi się słabo. Sama nie mam nawet dziurek w uszach.

Niestety. Hipster odwrócił głowę. W uszach zobaczyłam tunele tak wielkie, że przeleciałyby przez nie piłeczka do ping-ponga. W tunelach tkwiły korki. Mój dziadek miał takie w balonach do wina.

– To musi być król wszystkich hipsterów – wymamrotał Adrian niemal bezgłośnie, bo kumpel Jacusia był już blisko.

– Po prostu ma ironiczny stosunek do mody – wytłumaczył go Jacuś bez przekonania.

Kumpel obrzucił nas szybkim, ale prześwietlającym jak rentgen spojrzeniem. Przez jego twarz przemknął jakiś wyraz, zbyt szybko przysłonięty uprzejmym uśmiechem, bym zdążyła go odczytać. (Ale miałam swoje podejrzenia). Hipster usiadł na jednym z dwóch wolnych krzeseł, wybierając to plecami do ulicy. Pewnie po to, żeby nikt nie zobaczył, jak się z nami zadaje. Na drugim krześle położył torbę na zakupy. Materiał był zadrukowany w ironiczne króliczki.

Z torby wyglądał komputer cieńszy od gazety.

– Bożydar – rzucił hipster, nawiązując z nami krótki, ale znaczący kontakt wzrokowy.

Spuściłam głowę. Obok moich butów za pięćdziesiąt złotych znalazły się Buty Hipstera. Nie szaleję za modą, ale nawet ja poznałam luksusowo jedwabistą, choć sprytnie postarzaną skórę. W porywie paranoi zaczęłam podejrzewać, że te buty są ręcznie szyte. Potem przeszedł mnie dreszcz strachu, że to nie paranoja. Poczułam się winna, że śmiem siedzieć obok niego w paskudnych trampkach, które nie są vansami. Właściwie co ja tu robię? Aha, przyszłam o coś prosić... Chcieć czegoś od tego pięknego człowieka? Żebym chociaż miała ze trzy dziurki w uszach.

Tymczasem Jacuś, który po raz pierwszy w życiu wydał mi się odziany skromnie i z umiarem, nerwowo gadał, przedstawiając Bożydarowi naszą sytuację.

– ...jej siostra jest naprawdę w poważnym stanie, rozumiesz, Bożek, a przecież jest taka młoda... Co nie? – rzucił do mnie, oczekując, że się włączę.

Nie mogłam się włączyć. Byłam zajęta gorącą modlitwą o to, by nagle w nosie pojawiło mi się kółko, takie jakie mają krowy. Może byłoby wystarczająco ironiczne.

– Mhm, to straszne... – powiedział Bożek. – W tak młodym wieku skonfrontować się z własną śmiertelnością... Pamiętam, jak po raz pierwszy poczułem lęk przed Wielkim Nieznanym...

Postanowiłam udawać przed samą sobą, że pod ubraniem mam tatuaż, jeszcze lepszy niż hipsterowy, bo robiony przez indiańskie szamanki niewidzialnym dla niewtajemniczonych barwnikiem. Dopiero wtedy poczułam, że mam prawo się odezwać.

– Tylko że, widzisz, dla siostry naszej koleżanki Wielkie Nieznane może się wkrótce stać znane – wtrąciłam.

– Zróbcie wydarzenie na fejsie – doradził Bożek z miną guru.

– Zrobiliśmy, ale odzew jest za mały. Ludzie nie mają pieniędzy.

– To fakt – zgodził się Bożek i zamówił sobie śniadanie za sumę, za którą ja żyję przez pięć dni.

– Pomyśleliśmy, że gdyby ktoś szanowany w środowisku nas poparł, odzew byłby większy – podlizwał się Jacuś.

– Tak się zastanawiam... Kiedy robiliśmy zbiórkę pieniędzy dla, no wiesz, tej aktorki, zebraliśmy taką kupę kasy, że wystarczyło jeszcze na kupno sprzętu do szpitala – powiedział Bożek w zamyśleniu.

– No widzisz, bo ty to umiesz robić – podwoił wysiłki Jacuś.

– Tylko że wasza koleżanka nie ma mocnego nazwiska – zadumał się Bożek. – Potrzebne jest mocne nazwisko albo przesłanie. Jak zbieraliśmy na kopanie studni w Afryce...

– Może takie hasło: „Ratuj życie dziewczyny, którą wszyscy skreślają, bo nie jest sławna?” – palnęłam.

Bożek spojrział na mnie, jakby podejrzewał, że kupuję w Biedronce.

– Takie są prawa rynku – powiedział. – I trzeba im się poddać, bo nie wiadomo, co będzie.

– Będzie, co Bożek da – wyrwało mi się. – Że tak powiem – dodałam, ratując sytuację.

Ale Bożek na punkcie własnego imienia nie był aż tak ironiczny. Zamienił z nami jeszcze parę słów, spożył wegeburgera i odszedł, rzucając na odczepnego niekonkretną obietnicę, że postara się coś zrobić.

– Ty się lepiej zdecyduj – wysyczał wściekły Jacuś, kiedy zostaliśmy sami – czy chcesz, żeby siostra Moni miała tę operację, czy żeby jej nie miała, bo to są dwie zupełnie różne sprawy!

– Ale on mnie wkurzył! – broniłam się niemrawo, ze świadomością, że potężnie spałam.

– Wylazły z ciebie wszystkie kompleksy! Typowa polska prowincja umysłowa! Ten człowiek naprawdę pomaga innym. Ma znajomości wszędzie! Mógł nam rozkręcić akcję na całą Polskę! Więc oczywiście logiczne jest, że zrobiłaś wszystko, żeby go zrazić!

– To po co się tak nazywa? – rzuciłam kompletnie bez sensu, choć w tamtym momencie wydawało mi się to zupełnie rozsądnym argumentem.

– Według ciebie jego rodzice uknuli sobie, że będzie hipsterem?

– Na pewno naprawdę ma na imię Patryk albo Seba

– wymamrotałam pod nosem.

– Od urodzenia nazywa się Bożydar, ty umysłowa żałobo!

– pastwił się nade mną Jacuś. – Oczywiście pierwsza reakcja: zabić innego! Może mnie też? Proszę bardzo! Łap za widły i jazda!

Jacuś bohaterskim gestem rozłożył ręce, prezentując chudą pierś. Wyglądał trochę jak Rejtan, a trochę jak kurczak na rożnie. Ludzie obok zaczęli mi się przyglądać.

– Jeśli ten gość pomaga – odezwał się milczący dotąd Adrian – to pomaganie będzie dla niego ważniejsze niż ta sabotażystka.

Miał rację. Bożek wpłacił na nasze konto pięćset złotych. Więc jednak był w porządku.

Ale nie pomógł nam rozkręcić akcji. Byliśmy w punkcie wyjścia. Przygoda nas witała, czy tego chcieliśmy, czy nie.

ROZDZIAŁ DRUGI,

*w którym nieznana siła pęka mi spodnie, a my zstępujemy do piekieł
(i z nich wracamy)*

Helena, która wyglądała, jakby coś jej się w środku gotowało, siedziała na scenie, przyozdobiona czarną peruką z czerwoną wstążeczką. Na policzkach miała czerwone malowane rumieńce, na powiekach sztuczne rzęsy, a w oczach prawdziwą żądzę mordy. Na widowni dzieci łały się misiami i ryczały, że chcą siku.

Tak sobie wyobrażam piekło.

Ledwie pamiętałam, że weszliśmy w to piekło z własnej woli. To miała być nasza pierwsza, upragniona chałtura, załatwiona przez kumpla Adriana, w dodatku za podejrzenie wielką kasę. Nie mogliśmy pojąć, w jaki sposób przedszkole może zapłacić dwa tysiące za jedno przedstawienie. Adrian wysunął hipotezę, że kierownictwo ma jakieś unijne fundusze do wykorzystania, ale sam nie był do niej przekonany. Oczywiście postanowiliśmy brać kasę i wiać, o nic nie pytając. Chałtura miała tylko dwie małe wady. Po pierwsze, mieliśmy zagrać już pojutrze. Po drugie, chodziło o *Królewnę Śnieżkę*. W której, jak wiadomo, nawet w najbardziej ascetycznej wersji występują macocha, Śnieżka, księżę i krasnoludki.

A nas w zespole było tylko siedmioro. Na domiar złego Adrian akurat w tym terminie nie mógł z nami wystąpić.

– Nie chcieliby jakiejś mniej zaludnionej bajki? – spytał Jacuś.
– Mówili bardzo konkretnie o tej – wyjaśnił przepaszająco Adrian.
– Nie kwękaj, łajzo – warknęła Weronika. – Całuj człowieka po rękach, że przyniósł te dwa patyki!

Jacuś spojrzał na Adriana nawet z pewną nadzieją.

– Nie, dziękuję – powiedział szybko Adrian. – Nie całuj.
– Mogło być gorzej – zauważyłam, żeby poprawić nastrój. – Mogli chcieć *Ali Babę i czterdziestu rozbójników*.

Nikogo nie ubawiłam.

– Może zrobić kukielki? – podsunęła Walka.
– Mianowicie z czego?
– Nie wiem. Z buraka albo kalarepy...
– Sama jesteś burak albo kalarepa. Proszę bardzo, idź i graj z warzywami. Przedszkole będzie zachwycone. Pewnie z tego zachwytu zapłacą ci w kartoflach.
– Przynajmniej miałam jakiś pomysł – mruknęła Walka.
– Może wypożyczyć kukielki z teatru?
– Teraz, zaraz? I będą mieli akurat siedmiu krasnoludków?
– Może nie wszystkie krasnale muszą być na scenie? – ożywił się Adrian.
– Proszę cię – prychnęła Helena. – Królewna Śnieżka i dwa krasnoludki, wersja niskobudżetowa?
– No to nie ma rady – zdecydowałam. – Robimy casting na cztery krasnale.
– To znaczy? – spytała nieufnie Weronika.
– To znaczy, że macie wytypować wśród swoich znajomych cztery osoby, które nie są nienormalne i zagrają za darmo.
– To się wyklucza – zauważył słusznie Adrian.
– Więc są tylko lekko nienormalne. Narzeczeni, wielbiciele, rodzina, dłużnicy. Tacy, co nie odmówią. Powiecie im, że z nami grają, i bez dyskusji. Za mało mamy czasu, żeby pytać o zdanie.
– Fajnie – mruknęła Walka. – Jakieś wymagania?
– Za mało mamy czasu, żeby mieć wymagania. No dobrze, jedno: nie mogą być zupełnie pijani. Próba jutro o dwudziestej, wykon pojutrze o dziesiątej.
– Tak późno? – zdziwił się Jacuś.
Ja też się zdziwiłam, bo Jacuś na ogół ma problemy ze zwleczeniem się z łóżka przed południem.
– Myślałam, że to raczej wcześniej.
– No co ty? – zgorszył się Jacuś. – O siódmej byłoby lepiej. Zaczęłam podejrzewać, że albo rozmawiam z kimś, kto tylko wygląda jak Jacuś, albo chodzi nam o dwie różne sprawy.
– O siódmej rano?
– Dlaczego rano? – spieszył się Jacuś. – Wieczorem, jak w teatrach.

- Jacuś, debilu, jaki teatr? Jaki wieczór? Chodzi o dziesiątą rano!
- Rano? – jęknął Jacuś. – Co za zboczeńcy oglądają przedstawienia o dziesiątej rano?
- Pięcioletni – warknęłam.
- Ach... – Jacuś, zdaje się, dopiero teraz zrozumiał, gdzie występujemy. – Dzieci. Trudna publiczność.
- Wy macie zorganizować kostiumy...
- Może wypożyczymy?
- I będziemy trwonić pieniądze siostry Moni? Ja napiszę scenariusz.
- A dekoracje? – przypomniała Monia.
- Matko kochana, racja. A dekoracje zrobimy teraz.
- Z czego?
- Z czegokolwiek!

Rozstaliśmy się o dwunastej. Dekoracje, od frontu wyglądające całkiem przyzwoicie, z tyłu zdradzały prawdę o swojej kryzysowej naturze. Użyliśmy wszystkiego, co znaleźliśmy, włącznie z papierem toaletowym i folią do pieczenia, przypłacając swoją sumienność nogą Heleny, która spadła z drabiny podczas prac nad śmiałą artystycznie koroną drzewa. To znaczy z drabiny spadła nie tylko noga Heleny. Reszta Heleny podążyła za nią.

Poszłam spać w całkiem niezłym humorze. Wszystko zaczęło się układać. Świat zmierzał we właściwym kierunku. Mieliśmy zrobić coś dobrego. Może pierwszą naprawdę dobrą rzecz. To miłe uczucie.

Normalnie żyjemy sobie, działamy, coś załatwiamy, sądząc, że kierujemy swoją egzystencją. A potem następuje dramatyczne zdarzenie i nawet najmniej podejrzliwi zaczynają powątpiewać, czy to oni siedzą za kierownicą. I nie da się myśleć inaczej, nawet jeśli brzydzi nas teoria, że przypadki nie istnieją i wszystko ma swoje miejsce w planie wszechświata.

Dlatego z pewnym zażenowaniem, ale uczciwie informuję, że splot takich dramatycznych zdarzeń zaistniał w moim życiu już następnego dnia rano.

Spieszyłam się na zajęcia i robiłam wszystko, żeby wyjść. A coś robiło wszystko, żebym nie wyszła. Najpierw zaatakowało mnie spodniami, które pękły mi malowniczo na tyłku. Gdyby choć na nogawce, mogłabym udawać, że to taki styl. Gorączkowo robiąc rachunek sumienia w kwestii tego, co żarłam przez ostatnie dni, jednocześnie przeglądałam w pamięci wszystkie dostępne mi opcje odzieżowe. Wiele się nie naprzeglądałam. Jedne dzinsy były jeszcze mokre, drugie oblane z przodu keczupem (aha, koniec z frytkami!), a przy tej pogodzie w żadnej spódnicy nie wyszłabym bez grubych rajstop. Które dopiero planowałam kupić.

Zdenerwowana i nieszczęśliwa, w okropnym pośpiechu zszłam byle jak te cholerne spodnie. Przy drzwiach przypominałam sobie, że koniecznie muszę oddać książkę Weronice, która już dzień wcześniej bardzo źle przyjęła wiadomość, że na śmierć o niej zapomniałam. Następnie przypominałam sobie, dlaczego nie przyniosłam tej przeklętej książki – bo nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Przewidywana reakcja Weroniki zmusiła mnie do przeorania całego pokoju i odnalezienia książki sprytnie ukrytej w teczce, do której ją włożyłam, żeby nie zapomnieć. Czerwona, rozczochrana i spocona dopadłam drzwi po raz drugi.

Gdzie okazało się, że klucze znikły, choć jeszcze przed chwilą, nim przypominałam sobie o książce, miałam je w ręce.

Przez minutę powtarzałam wszystkie najbrzydsze znane mi wyrazy oraz parę nowych, które wymyśliłam na gorąco. Kiedy klucze mimo to się nie odnalazły, z największym trudem opanowałam nerwy i zaczęłam myśleć. Metodą znaną mi ze starych kryminałów odtworzyłam trasę od drzwi do teczki z książką. Na tej drodze musiałam nieświadomie odłożyć gdzieś klucze. Tylko gdzie? Na pewno ich nie trzymałam, kiedy obiema rękami ryłam w rozrzuconej pościeli. Czyli musiałam je zapodziać wcześniej. Ale gdzie, gdzie? Szczerze mówiąc, mam talent do robienia – tak to delikatnie nazwijmy – bałaganu. Klucze mogły zginąć w tym Mordorze na wieki i pewnie łatwiej byłoby w nim znaleźć Jedyny Pierścień. Musiałabym ich szukać z wykrywaczem metalu. Albo

posprzątać.

Opcja z wykrywaczem wydawała się bardziej realna.

Z tej rozpaczy aż przyjrzałam się sobie w lustrze. Widok czerwonego, lśniącego potem, wykrzywionego pyska nie przyniósł mi ulgi. Dokładnie tak jak pięć minut temu, kiedy przystanęłam tu, żeby...

Klucze leżały pod lustrem.

Chwycałam je z niedowierzaniem i wciąż niczym Świętego Graala i pocwalałam do drzwi. To coś, co mnie od nich odpędzało, odpuściło.

Wybiegłam.

Lecz to samo coś, co urządzało mi poranek według swojego planu, dało o sobie znać chwilę potem. Objawiło się w postaci jakiegoś eleganckiego chama, który szedł chodnikiem, gadając przez komórkę. Szedł tak, jakby cały chodnik należał do niego, a idąc, naturalnie musiał mnie potrącić. I to nie zwyczajnie potrącić, ale grzmotnąc ramieniem jak amerykański futbolista. Aż mnie okręciło.

Z oburzenia najpierw straciłam mowę. A potem eksplodowałam.

– E! – ryknęłam. Głos, który się ze mnie wydobył, nie miał w sobie nic ludzkiego. Byłam gotowa rzucić się za chamem, pobić go, może pogryźć, a z całą pewnością dodać do „e” jeszcze dużo innych słów, które przed chwilą przećwiczyłam w domu.

Cham szedł, nawet się nie oglądając. Wątpię, żeby mnie w ogóle zauważył. A moje zdziczałe spojrzenie padło na wyłaniającą się zza chama Martę. Martę, której w normalnych okolicznościach nigdy nie zauważyłabym na ulicy, Martę, której nigdy bym nie spotkała, gdybym nie zgubiła kluczy, Martę, w której stronę nigdy bym nie spojrzała, gdyby nie cham, Martę, która nie spojrzałaby na mnie albo by spojrzała, ale poznała dopiero po tym wściekłym ryku. Martę, która jest kierowniczką prywatnego przedszkola.

Rozumiecie, do czego zmierzam?

Warszawskie ulice to żywioł. To cały osobny świat, w którym strasznie dużo się dzieje. Aż dziwne, że jeszcze nie wymyślili jakiegoś kierunku na studiach analizującego życie warszawskiej ulicy. Twarzy przewija się tu tyle, że ujrzenie znajomej uważam za znak. W przypadku Marty uznałam, że zignorowanie tak jasnego przekazu wszechświata

byłoby arogancją, więc odpuściłam sobie pierwszą godzinę zajęć, na którą i tak byłam spóźniona, i poszłam z Martą na kawę, bardzo zadowolona, co z tego wyniknie.

A wynikło to, że Marta powiedziała:

– Do mojego przedszkola przyjechali aktorzy z przedstawieniem. Przeszedł mnie dreszcz.

A zatem nie chodziło o to, że Marta da nam zarobić – co przyszło mi do głowy w pierwszej kolejności. Więc o co? Bo że o coś chodzi, byłam już pewna.

– No i? – spytałam ostrożnie.

– No i nigdy więcej już nie przyjadą – oznajmiła Marta złowrogo.

Stłumiłam myśl, która logicznie mi się nasunęła: „...bo leżą zakopani u mnie w piwnicy”, i zadałam kolejne pytanie pomocnicze:

– Bo co?

– Bo to cwaniaki i oszuści. Myśleli, że wydukają parę słów, a ja im za to zapłacę górę kasy. Prawie nie znali tekstu! Jakby się go nauczyli tego samego dnia!

– Coś podobnego – udało mi się zauważyć.

– No nie?! Żałuj, że nie widziałaś ich dekoracji! Jakby je zrobili z papieru toaletowego!

– Yy – wyrwało mi się. Przed oczami stanęły mi nasze biedne dekoracje, którymi zamierzaliśmy olśnić przedszkole.

– Nie przywieźli nawet reflektorów, naciągacze – zmiażdżyła mnie Marta. – Zapłacić musiałam, ale dałam tylko połowę. I ostrzegłam przed nimi wszystkie znajome przedszkola. W Pruszkowie już nigdy więcej nie zarobią!

Na wykład poszłam zlaną zimnym potem. Przestałam wierzyć, że wszechświat nam sprzyja. Zaczęłam podejrzewać, że robi wszystko, byśmy dali sobie spokój.

A swoją drogą – czy wszechświat nie mógłby rozważyć innego sposobu przekazywania wiadomości? Napis na murze, wieszczy sen, gorejący krzak – po co odchodzić od starych sprawdzonych metod?

*

Zaimprovizowane spotkanie sztabu kryzysowego przebiegło zaskakująco sprawnie. Ja, wyczerpana wypadkami, mogłam już tylko trzymać się za głowę. Pozostali, którym los nie powycierał podłogi jak mną, zamiast się przestraszyć, zaczęli myśleć.

– No i co tak lamentujesz? – prychnęła Weronika. – Przecież mówiłam, że mój brat ma firmę, która wypożycza reflektory. Całych sztankietów nam nie dadzą, bo pewnie nawet nie byłoby ich gdzie zawiesić, ale kilka reflektorów stojących luzem na pewno, i to za darmo. Nawet dorzucą do tego stół mikserski i wiecie, kogo jeszcze...?

– Zawiesiła głos dla lepszego efektu.

Wszyscy spojrzeliśmy na nią z przejęciem.

– Dźwiękowca – oznajmiła Weronika z tryumfem.

– Prawdziwego? – spytałam jeszcze w otępieniu.

– Nie, z czekolady. No pewnie, że prawdziwego, a jakiego? Jest trochę niedouczone, bo dopiero na praktyce, ale z grubsza wie, które wtyczki pasują do których gniazdek. Będziesz miała światła jak w Narodowym, te przedszkolanki, po historii teatru każda, nie będą się miały do czego przyczepić.

– I można dodać efekty dźwiękowe – dodał Adrian. – Jakieś wycie wilków czy ćwierkanie ptaszków...

– Skąd? – zaciekawiał się Jacuś.

– Z internetu przecież. Tam jest wszystko, nawet możesz sobie wybrać, czy wolisz szum drzew iglastych, czy liściastych. I jeszcze przyniosę kamerę pogłosową od kumpla.

– Co to jest kamera pogłosowa? – spytała Walka.

– Takie coś – wyjaśnił Adrian. – Długo by tłumaczyć. Zmienia głos. I maszynę do dymu też mogę przynieść. Może się przyda. Nie martwcie się, jak te dzieci nie poumierają ze strachu, to umrą z zachwyty!

*

Pierwsza i ostatnia próba przedstawienia przebiegła względnie

dobrze. Finaliści castingu na krasnalą zjawili się zupełnie trzeźwi i tylko umiarkowanie niezadowoleni. Jeden powiedział nawet, że się cieszy. Na tego postanowiłam uważać.

Ale choć wszyscy byli płci męskiej, jak jeden mąż odmówili przyjęcia roli księcia. Rola ta, choć niezbyt duża, wymagała jednak nauczenia się jednej stroniczki tekstu, i to nie logicznego monologu, ale rymowanych przekomarzanek a to z krasnalami, a to ze Złą Królową, a to z samą Śnieżką. Żadnemu krasnalowi z łapanki nie chciało się tyle wkuwać. Nie skusiła ich nawet perspektywa całowania się z Heleną, co Helenę mocno zabolalo. Jacuś jako księżę odpadał – dostał rolę Złej Królowej, bo od początku nikt nie miał wątpliwości, że na nim będzie jechać całe przedstawienie.

Wobec tego rolą księcia została ucieszona Walka, z racji wysokiego wzrostu i niskiego głosu. Uradowała się jak nie wiem. Zwłaszcza sceną budzenia Śnieżki pocałunkiem.

Helena leżała na dwóch krzesłach i było jej strasznie niewygodnie. Walka stała nad nią i recytowała z kartki:

– Leżysz w trumnie, królewno, nie zbudzisz się na pewno. Ja tego nie powiem – dodała normalnym głosem. – To jakaś głupota.

– Ojeja, Walka – jęknęłam. – Posklejałam tekst z trzech różnych bajek o drugiej nad ranem. Mów cokolwiek, byle w duchu. Że ci smutno, że odwaliła kitę, i coś tam jeszcze, na przykład, że tęsknisz.

– Kiedy nic mi do głowy nie przychodzi – zamyśliła się Walka.

– Streszczaj się – syknęła po chwili Helena, której krzesła wpijały się boleśnie w różne miejsca.

– No dobra. Leżysz w trumnie, królewno, nie zbudzisz się na pewno. Ptaszki nad tobą kołują, smutno cię oplakują. Matko, co za chała. Oto moje pożegnanie, przyjmij me...

Tu Walka zamarła.

– No? – ponagliłam ją, widząc, że Helena czerwienieje.

– Tu jest napisane: „Pocałowanie”.

– No to ją pocałuj.

Walka spojrzała na mnie z niesmakiem.

– No pocałuj – powtórzyłam.

– Właśnie – odezwał się jeden z wynajętych krasnoludów, gapiąc

się na nie obleśnie.

– Właśnie, całuj – dodał drugi, pozerając je wzrokiem.

Walka spojrzała na nich, tym razem z odrazą.

– Całuj! – wrzasnęła wściekła Helena, której krzesła zaczęły się rozjeżdżać.

Spojrzenia, jakim obrzuciła ją Walka, nawet nie będę opisywać.

Krzesła rozjechały się ostatecznie i Helena, jeszcze obolała po upadku z drabiny, grzmotnęła o ziemię z głuchym jękiem.

– Na scenie cię pocałuję – obiecała Walka z niechęcią.

– Na scenie! – ryknęła Helena, z trudem stając na czworakach.

– Na scenie to wiesz, gdzie mnie możesz pocałować?

– Na scenie – podsunęła Monia, apatycznie zapatrzona w dal.

– Bardzo fajny ten teatr – powiedział ze smakiem najemny krasnolud.

Generalnie zgadzam się z tym zdaniem, ale w dniu przedstawienia ogarnęły mnie wątpliwości. Widownia, jak wspomniałam, nie przypominała dzieci znanych mi z literatury i sztuki, tylko coś, co powinno się ujarzmić armatkami wodnymi.

– Ach, jaki piękny poranek! – zawołała Helena, wstając, i przebiegła od tekturowego drzewa do tekturowego płotka, starając się nie utykać i nie jęczeć za głośno z powodu stłuczonej kości ogonowej.

– Ach, jak ptaszki śpiewają!

Ryk milusińskich stanowił dużą konkurencję dla jej głosu. Dlatego dźwiękowiec – na oko wypłosz z gimnazjum, ale skoro za darmo, to nikt mu w zęby nie zaglądał – przegapił sygnał i nie puścił efektu z klaskaniem słowików. Przygotowując efekty, nawet pamiętałam, że słowiki śpiewają po nocach, a nie w piękne poranki, ale uznałam, że nikogo to nie obchodzi, a dzieci już najmniej.

– ACH! – powtórzyła Helena głosem, którego używa się pewnie na hali przy pędzeniu owiec. – JAKŻE te ptaszki śpiewają!

Dźwiękowiec podskoczył i wrzucił efekt. Chyba oparł się przy tym na jakimś pokrętle, bo słowiki ryknęły, aż w oknach przedszkola zatrzęsły się szyby.

Ale korzyść też była, bo dzieci zamilkły.

– Jakże kwiatki pachną – ciągnęła Helena z ponurą determinacją.

– Lecz cóż to? Czy ktoś nadchodzi?

– Jacuś, idziesz – syknęłam.

Spanikowany do obłędu Jacuś, który gorączkowo wkuwał tekst roli, spojrzał na mnie z przerażeniem.

– Jeszcze chwila! Nie mogę zapamiętać tego ostatniego!

– Helena czeka!

– To poczeka! Nic jej się nie stanie! Jeszcze minutę może posiedzieć sama na scenie!

– Jacuś – wysyczałam. – Czy tobie się wydaje, że to festiwal szekspirowski? Idziesz Otella grać? Przed krytykami z całego świata? To jest przedszkole, a ty grasz Złą Królową! Nie wiesz, o co chodzi w *Królewnie Śnieżce*?

– Przestań wywierać na mnie presję! – krzyknął Jacuś zduszonym szeptem i uciekł w głąb korytarza, który służył nam za kulisy.

– Czy ktoś nadchodzi?! – powtórzyła Helena dobitnie.

Wyjrzałam i pokazałam jej, że musi szyć dalej. Helena spojrzała mi prosto w oczy i zrozumiałam, że dziś mnie nienawidzi.

– Nie, jednak nikt nie nadchodzi – powiedziała ciężko. – Ranek tak piękny, że aż sobie chyba... zatańczę.

Zacząłam machać rękami, żeby dźwiękowiec zwrócił na mnie uwagę, a kiedy zwrócił, pokazałam mu pięć palców. Miałam nadzieję, że zrozumie, o co chodzi. O włączenie piątego efektu dźwiękowego.

Nie zrozumiał.

– Piątka! – syknęłam.

Rozłożył ręce.

– Piątka! – powtórzyłam i znowu podniosłam rozcapierzoną dłoń.

Pomachał mi, idiota.

– Piąty efekt! – wycharczałam tak głośno, że aż parę dzieci spojrzało na mnie z zainteresowaniem.

Dźwiękowiec wreszcie pojął i wrzucił piąty efekt.

Szkoda tylko, że coś mi się pomyliło. Bo pod piątką nie było wesołej piosenki, tylko burza z piorunami.

Helena zastygła w pół kuśtykającego płąsu. Bałam się, że teraz to już eksploduje, ale chyba przeżyła jakiś przełom i sytuacja zaczęła ją bawić.

– Ach, ach – stwierdziła. – Jaki doprawdy piękny poranek. A żeby i was spotkał taki piękny poranek.

We mnie też nastąpił przełom. Popędziłam za Jacusiem i przywlokłam go za kołnierz. Wyrwałam mu z ręki kartkę z rolą.

– Idziesz, niedojdo! – warknęłam. – A co nie dograsz, to dowyglądasz! Ale już!

I wypchnęłam go na scenę, jednocześnie włączając nogą maszynę do dymu.

Jacusić objawił się małodetnim odbiorcom w czerwonym świetle reflektora i kłębach sinego dymu, przy wtórce grzmotów. Na widowni po raz pierwszy zrobiło się autentycznie cicho.

Wtedy rozległ się upiorny śmiech, wzmocniony pożyczoną kamerą pogłosową. Wynalazek ten, ukryty pod płaszczem Złej Królowej, sprawił, że cyfrowo wygenerowany głos Jacusia stracił ludzkie brzmienie i bardzo kojarzył się z horrorami o opętaniu. Parę co słabszych psychicznie dzieci zaczęło płakać. Reszta siedziała z wniebowziętymi minami i nie odrywała spojrzenia od Jacusia, który przeszedł przez scenę, przewracając oczami o doklejonych rzęsach. Wyglądał jak nawiedzony przez Szatana transwestyta.

– Witaj, moje dziecko – powiedział nieludzkim basem.

– Witaj, dobra kobieto – odparła Helena pogodnie, najwyraźniej obojętna na wstrząsający wygląd Jacusia. Z tego powodu odnosiło się wrażenie, że Królewna Śnieżka niedowidzi albo jest po prostu przygłupia.

Aktorzy wdali się w nieco improwizowaną pogawędkę, a mnie oświeciło w kwestii nadchodzącej kolejnej katastrofy. Jabłko, którym Jacusić miał wykończyć Helenę, leżało sobie spokojnie na krześle obok mnie.

Noż cholera!

Za jakieś dwie minuty Jacusić miał zacząć truć. Przez głowę przebiegło mi kilka opcji:

1. Rzucę jabłkiem w Jacusia.
2. Przeturlam je po scenie.
3. Wejdę z jabłkiem jako krasnal i niech szlag trafi logikę.
4. Wejdę z tym dziadostwem jako ja, wręcę je Jacusiowi bez

słowa i wyjdę. Dlaczego nie? W końcu, jak sama powiedziałam, to nie festiwal szekspirowski.

A jednak jakoś nie chciałam tego robić. Przedstawienie to przedstawienie i trzeba je grać tak samo uczciwie, czy w Teatrze Narodowym, czy w przedszkolu. I koniec. Kto myśli inaczej, jest tandeciarzem.

Tymczasem Jacuś brylował na scenie. Tak to już z nim jest: przed przedstawieniem trzeba go wynosić z kulis i siłą odczepiać od kurtyny, na którą usiłuje uciec, a kiedy tylko zacznie grać, nikt nie może oderwać od niego oczu. Czy to dzieci, czy staruszki, czy krytycy teatralni. Helena trochę odetchnęła i dostosowała się do niego. Razem grali jak natchnieni, a dzieci siedziały z otwartymi buziami.

W trakcie intensywnego bajerowania Śnieżki Zła Królowa spojrzała na mnie i jakby się zatchnęła.

Stałam w kulisach w kostiumie krasnala, z jabłkiem w rękę i pustką w głowie. Za nic nie umiałam wymyślić, co teraz.

– Ups – wyrwało się Złej Królowej.

Pokiwałam ciężko głową.

Śnieżka łypnęła na mnie, usiłując nie odwracać się w stronę kulis. Wyraźnie widziałam, że mruknęła pod nosem coś, czego królowy nie mawiają. Zwłaszcza w obecności dziatwy przedszkolnej.

– Księgowa podpisała fakturę – szepnęła bardzo zadowolona Weronika, również w kostiumie krasnala, przystając obok mnie. – Mamy dwa tysiące. Przelew w środe.

Nie odpowiedziałam. Podrzuciłam tylko jabłko.

– Co tak się nie cieszysz? Co tak nic nie mówisz? – spytała Weronika. – I w ogóle czy to jabłko nie powinno teraz grać na scenie?

– A jak myślisz? – wycedziłam.

– No to co tak nic nie robisz? Rób coś! – zdenerwowała się Weronika.

– Proszę bardzo. Co? Jestem bardzo otwarta na sugestie – wysyczałam, też zdenerwowana. – Jeśli myślisz, że sterczę w tych kulisach z jabłkiem, bo uważam, że tak mi do twarzy...

I tu nastąpiła jedna z tych, za przeproszeniem, magicznych chwil, które wynagradzają wszystko inne w teatrze. Jacuś spojrzał na maszynę

do dymu. Ja spojrzałam na Jacusia. Coś zaszło. Jakimś niepojętym sposobem oboje zrozumieliśmy, co zrobimy.

Ja włączyłam maszynę. Jacuś w demonicznych podskokach wpląsał na linię strzału dymu. Maszyna plunęła potężnym kłębem, który pochłonął Jacusia i pół sceny. Akustyk, owładnięty tym samym natchnieniem, włączył błękitny reflektor. Ja rzuciłam jabłko, niewidoczne w dymie. Jacuś jakimś cudem je złapał. Znow wydał z siebie przerażający śmiech, zakończony kaszlem od nadmiernego wdychania oparów z maszyny. Kaszel przepuszczony przez kamerę pogłosową brzmiał jak charkot samego Belzebuba. Gdy podświetlony na sino dym opadł, ukazała się upiorna Zła Królowa z jabłkiem, czarodziejsko zmaterializowanym w jej dłoni.

Dzieciaki siedziały jak urzeczone. Tylko co bardziej odporne na sztukę z fascynacją łapały smużki dymu, które zawędrowały na widownię. Zła Królowa potwornym basem wyjaśniła małodetnim widzom, jaką niespodziankę kryje jabłuszko. Małodetni widzowie wyraźnie się przejęli.

Wydawało się, że wszystko wróciło na bezpieczne tory. Odetchnęłam z ulgą.

Jakże niesłusznie.

– Zjedz jabłuszko – zachęciła królownę Zła Królowa z obłudnym uśmiechem.

– Dziękuję, nie jestem głodna – zbyła ją Śnieżka.

– To jest bardzo zdrowe jabłuszko. Ekologiczne – kusiła macocha.

– Zjedz, to nigdy się nie zestarzejesz.

– No nie wiem – certoliła się Śnieżka, ale już nie tak kategorycznym tonem.

– I nigdy nie będziesz miała zmarszczek – podbiła ofertę macocha.

Śnieżka z wahaniem wyciągnęła rączkę po jabłuszko. Na widowni zapanowała martwa cisza. Napięcie można by kroić nożem.

Paluszki Śnieżki prawie dotknęły jadowitego jabłka. I wtedy...

– Nie!!! – wrzasnął jakiś małodetni widz, nie wytrzymując nerwowo.

– Nie jedz jabłka! – dodał drugi. I ani się obejrzałam, jak cała widownia, włącznie z paniami przedszkolankami, które uważały to za

znakomity żart, skandowała: – Nie-jedz-jabł-ka! Nie-jedz-jabł-ka!

Wyczerpana wcześniejszymi wstrząsami, biernie pozwoliłam Helenie poradzić sobie z sytuacją.

– Nie słuchaj ptaszków – przyszedł jej z pomocą niezawodny Jacuś. – Są zazdrosne. Same chciałyby zjeść jabłuszko.

– Na pewno nie! – dobiegł z widowni okrzyk świętego oburzenia.

– Ach, nie słyszę, co śpiewają ptaszki... – oznajmiła lekceważąco królowna, potwierdzając tym samym, że jest nie tylko ślepa i głupia, lecz również przygłucha.

– NIE JEDZ JABŁKA! – ryknęły ptaszki z widowni nie gorzej niż niedawne słowiki.

– Aha... – Śnieżka zadumała się na chwilę. Napięcie wzrosło nie do wytrzymania. Dzieci z zapartym tchem czekały na jej decyzję. Helena powiodła po nich spojrzeniem. Ja też wstrzymałam oddech, ciekawa, co będzie dalej.

– Jednak zjem – oświadczyła królowna z góralskim uporem.

I wtedy runęła na nią jodła. Ta jodła była inna od pozostałych, jednowymiarowych, zrobionych z lekkiej tektury oklejonej zielonymi choinkowymi łańcuchami. Ta jodła, przydźwigana przez Adriana i podobno pochodząca z jakiegoś teatru, była w stu procentach profesjonalną dekoracją, wyglądającą niemal jak prawdziwe drzewo i dlatego wypchniętą na pierwszy plan.

Aha, ta jodła była również bardzo ciężka.

Trafiona drzewem Helena przewróciła się i znieruchomiała na scenie. Spod zielonych iglastych gałęzi wyglądały tylko jej buty.

Jacuś stał przez chwilę ogłuszony, jakby to jemu runęła na łeb choinka.

Po plecach spłynęła mi strużka potu.

– E, ten... – zaczął Jacuś zachrypniętym głosem. Odkaslnął i dodał głośnie: – Ha, ha! Zabiła ją moja zaczarowana jodła!

Nieco później, gdy pomyślnie dobrnęliśmy do końca, sprytnie naginając bieg zdarzeń do zaczarowanej jodły, gdy siedem wysokich krasnoludków pomyślnie wydało poturbowaną Śnieżkę za niepewnego genderowo księcia i gdy aktorzy wyszli się uklonić – przy czym szal na widowni wzbudziła oczywiście Zła Królowa – mogłam trochę odetchnąć

i dopuścić do siebie nieśmiałą nadzieję, że zapas katastrof na ten dzień się wyczerpał.

– Bardzo ładnie – pochwaliła nas dyrektorka przedszkola. Podała mi jakąś kartkę. – To wasz grafik. Dziś w ramach zapłaty macie jeszcze jedno przedszkole, a od jutra do piątku – po trzy. Dziękuję za wspaniałą zabawę.

Odchodząc, dodała jeszcze:

– Akorzy to mają dobrze. Też bym chciała brać pieniądze za takie nic i jeszcze świetnie się bawić...

ROZDZIAŁ TRZECI,

w którym Walka staje do walki i przegrywa

Ojciec Walki był muzykologiem i wielbicielem Wagnera. Matka śpiewaczką operową. Kiedy tacy ludzie jak rodzice Walki chodzą sobie po świecie osobno, na ogół nikomu nie dzieje się krzywda. Kiedy tacy ludzie jak rodzice Walki poznają się i zakładają rodzinę, dochodzi do czegoś w rodzaju wybuchu supernowej i powstania nowej, strasznej rzeczywistości.

Dowód numer jeden: Walka naprawdę nazywa się Waltrauta. Ze zrozumiałych powodów nie rozgłasza tego faktu. Dowód numer dwa: Walka ma starszą siostrę Gudrun i brata, oczywiście Zygfryda – wszystko na cześć *Zmierzchu bogów*. Podobno po Walce rodzice nabrali rozmachu i starali się o chociaż jeszcze jedno dziecko, bo strasznie chcieli sobie kogoś nazwać Wotanem, względnie Brunhildą. Na szczęście im się nie udało.

– Daj spokój! – Walka machnęła ręką, kiedy usiłowałam znaleźć jakieś ludzkie zdrobnienie jej imienia. – Prawda jest taka, że nazywam się jak niemiecka dywizja pancerna, i nic tego nie zmieni. Nie pojmuję, co tym starym odbiło. Nikt nam nie chce uwierzyć, że jesteśmy Polakami od Piasta Kołodzieja. Ta cała cholerna rodzina to jakiś Wilczy Szaniec!

Oprócz imienia Walka miała talent muzyczny i potężny głos po mamie. Niezbyt wyszkolony, bo po maturze wywinęła rodzinie numer i poszła na ekonomię. Rodzice potraktowali to jak dezercję.

– Jeżeli im się wydawało, że będę się wydzierać w operze...!
– powiedziała do mnie kiedyś Walka z mroczną satysfakcją. – Wolę kotlety w przydrożnej restauracji klepać do końca życia! Moja noga nie postawi stopy w operze ani w żadnym innym przybytku, gdzie wyją Wagnera! Wiesz, jak wygląda gabinet mojego ojca?

Jako osoba wychowana w trzech pokojach z kuchnią z podziwem przyjął fakt, że w domu Walki w ogóle był gabinet. Walka nie

podzielała mojego podziwu, gdyż gabinet, w którym jej ojciec pisał wnikliwe teksty muzykologiczne, ozdabiał portret wielkości naturalnej, wyobrażający, oczywiście, Wagnera. Na biurku ojca Walki stał rząd fotografii w ozdobnych ramach, przedstawiały one jednak nie żonę i dzieci gospodarza, lecz rodzinę Wagnera. Ze wszystkich ścian spoglądało nabzdyczone oblicze geniusza, który moim zdaniem na każdym zdjęciu wygląda, jakby miał zatwardzenie i cierpiał z tego powodu. Można zrozumieć, że po dzieciństwie w takim domu ma się dość muzyki klasycznej.

Uznałam jednak, że nie zmuszam Walki do czegoś wbrew jej naturze, bo nie chodziło o muzykę klasyczną.

Tylko o największy w Warszawie konkurs piosenki.

Co prawda w trzech wcześniejszych, nie aż tak popularnych, nie przeszliśmy nawet pierwszego etapu, ale to logiczne, że w większym musiało pójść nam świetnie.

Mówiąc serio, widziałam, że zespół zaczyna się załamywać. Czułam, że jeszcze dwie, trzy porażki i damy sobie spokój ze szlachetną akcją, zarobiwszy nędzne dwa tysiące za królową. Przystaniemy rozmawiać o tej klęsce, potem przestaniemy rozmawiać ze sobą w ogóle, Monia zniknie z naszego życia, zespół się rozpadnie, a nam zostanie do końca życia ohydna świadomość, że się poddaliśmy wtedy, kiedy nie wolno było się poddać. I że zawiedliśmy przyjaciółkę. I że przez nas czyjeś życie zmieniło się na gorsze. O ile w ogóle będzie można mówić o życiu.

A potem pewnie zaczniemy sobie tłumaczyć, że właściwie dlaczego przez nas. Że dlaczego mielibyśmy być odpowiedzialni za życie siostry Moni. Że mamy własne sprawy. Że nam by może nikt nie pomógł.

Gdybym zaczęła tak sobie tłumaczyć, a potem w to uwierzyła, przestałabym się lubić.

A dlaczego mam przestać lubić osobę, z którą będę do końca życia?

– Już wiem, gdzie popełniliśmy błąd – oznajmiłam na spotkaniu w kawiarni, do której wszystkim było blisko. – Niewłaściwie do tego podeszliśmy.

Pokiwali głowami bez słowa i bez przekonania.

– Po prostu na te konkursy trzeba było wysłać nagranie audio. A na nagraniu nie widać, jacy jesteśmy niesamowici. No i możliwe, że się tam w gorączce chwili zdarzyło komuś zafałszować.

– Myślisz? – mruknęła Weronika, nawet nie podnosząc głowy znad piwa.

– Dlatego teraz wyślemy kogoś, kto nie fałszuje.

– Jakie to proste – powiedział filozoficznie Adrian.

– Kogoś, kto takie konkursy załatwia jedną ręką. Kogoś, kto ma muzykę w genach.

Powietrze nad stolikiem zmieniło ciężar właściwy. Wszyscy powoli łączyli wątki.

Walka też.

– Chyba ci odbiło – powiedziała. – Ja rozumiem poświęcenie dla siostry Moni, ale muszę mieć chyba chociaż minimalne szanse, nie? Ludzie do tego konkursu przygotowują się miesiącami. Żeby wypaść oryginalnie, wyszukują jakieś piosenki raz grane w pięćdziesiątym ósmym. W aranżacji na piłę i sitar. I śpiewają, stojąc na głowie. Byle zostać zauważonym. Wiesz, ile osób tam startuje? I co, ja mam iść z gitarzystą? I wygrać? Serio?

– Możesz wziąć pianistę, mamy darmowego – odparłam, udając, że nie zauważam krwawej ironii.

– Widziałaś na YouTube tych, co wygrali w zeszłym roku?

– Pójdiesz w minimalizm. Włóżysz czarną kieckę...

– Ty mnie nie szantażuj minimalizmem! Ty mnie nie szantażuj czarną kiecką! Wiesz, ile tam będzie lasek w czarnych sukienkach? Ze wzrokiem wbitym w dal?

– Walka, masz wygrać i tyle. Z twoimi genami jesteś naszą tajną bronią. Wbijaj wzrok, w co chcesz, ale jedź tam i nie wracaj bez kasy.

– Wygrać! Jak?

– Żeby wygrać, trzeba grać – powiedziałam sentencjonalnie.

– Poddajesz się bez walki? Z takim imieniem?

Walka spojrzała na mnie ciężko.

– Żeby wygrać, trzeba mieć coś w kartach.

– Czuję, że będziesz moim czarnym koniem – oznajmiłam

z czułością. – Moją słodką czarną kobyłką.

– Krowa.

– Klacz. Czarna klacz, Waltrauto.

Tydzień później Walka prosto z kolokwium poszła na przesłuchania do konkursu. Bardzo niewyspana, ponieważ poprzedniego dnia o świcie zagraliśmy ostatnią *Królewnę Śnieżkę* w ostatnim przedszkolu i wszyscy z radości upiliśmy się kadarką. W biały dzień tuż po zajęciach.

– Nie wiem jak ty – powiedział Adrian do Weroniki, kiedy wyzuci z sił opuszczaliśmy progi przedszkolnego piekła – ale ja nigdy nie będę mieć dzieci. Nigdy.

– Zgoda – przyznała Weronika tępo. – To ja też nie. Ani jednego. Nawet takiego małego.

– Horror – zgodziłam się. – Te kobiety z przedszkola to jakieś ciche bohaterki.

Odprowadzani przez ryk cichej bohaterki, usiłującej się przebić przez radosne głosiki młodego pokolenia, poszliśmy prosto do najbliższego spożywczego i bez najmniejszych wyrzutów sumienia uszczknęliśmy z Moniowego funduszu pewną sumkę na rzecz ratowania psychiki. Monia nie tylko nie powiedziała nam złego słowa, ale jeszcze sama wybierała środek ratowniczy.

Środek działał, jednak za krótko. Takiego przynajmniej wrażenia nabrałam na widok Walki następnego dnia, kiedy przyszłam do radia, w którym odbywał się pierwszy etap konkursu, żeby jej pokibicować. Wypatrzyłam ją w sali pełniącej funkcję zbiorczej garderoby. Walka siedziała w kącie, całą sobą sygnalizując, że nie chce tu być. Wokół kręcili się uczestnicy w najróżniejszym wieku i najróżniejszej płci, rozśpiewując się, malując, układając fryzury i rozsiewając nerwową atmosferę. Wszyscy przyglądali się sobie z ukosa jak agenci wywiadu, usiłując rozpoznać najsilniejszą konkurencję.

– Siemka, Walerciu! – zawołałam, klepiąc Walkę po plecach.

– Mogę cię tak nazywać?

Walka spojrzała na mnie jak zwykle bez zachwyty. Nie wiem dlaczego, ale pomimo nieustannych starań jakoś ciągle jej nie zachwykam.

– Wszystko jest lepsze – powiedziała i założyła ręce na piersi, jakby chciała stać się mniejsza. Nie było to łatwe, bo ma prawie metr osiemdziesiąt. – Po cholere przylazłaś?

– Żeby pokibicować przyjaciółce! – rzuciłam, starając się roztaczać pozytywne vibracje.

– To do niej idź – warknęła Walka.

Nie miałam pretensji. Ze względu na nas wladowała się dokładnie w to, przed czym całe życie uciekała. Gorsze byłoby dla niej tylko wyjście na scenę w rogatym hełmie, z warkoczami, dzidą i arią Wagnera na ustach. Podejrzewam, że w rankingu najbardziej obrzydliwych rzeczy, jakie mogły ją spotkać, udział w konkursie wokalnym zajmował znacznie bardziej eksponowane miejsce niż, na przykład, oplucie przez lamę. Przypominam, że lama pluje zawartością żołądka.

Usiadłam obok nadętej Walki i zaczęłam obserwować innych uczestników. Wyglądało na to, że w tłumie kandydatów są osoby, które dobrze się znają. Odnosiły się do siebie jak obce koty – z dystansem, ale gotowe w każdej chwili na siebie nasyczyć. Wydawały się pewne swojej wartości, jakby stanowiły arystokrację wśród zebranych w pokoju. Byli też kandydaci jakby gorszego gatunku – od dzieci do panów i pań w średnim wieku. Arystokraci traktowali ich miło, ale z wyraźnym lekceważeniem. Między tymi grupami błąkało się samopas kilka czarnych koni, w tym Walka: nikt ich nie znał, ale mogli się okazać niespodziewaną konkurencją. Zauważyłam, że sporo arystokratów przygląda się Walce i mnie.

W końcu wypuścili zwiadowcę.

Bardzo przystojny chłopak przysiadł się do nas bezceremonialnie. A ponieważ ja znajdowałam się bliżej, mnie zaatakował pierwszą.

– Startujesz? – spytał z urzekającym uśmiechem.

– Nie, jestem ekipą naziemną – powiedziałam. – Wspieram koleżankę – dodałam, widząc pustkę w jego pięknych oczach.

W tym momencie przestałam dla niego istnieć. Całkiem serio miałam wrażenie, że rozwiałam się w powietrzu. Kiedy pochylił się do Walki, zrobił taki ruch, jakby chciał usiąść na moim krześle – na którym siedziałam. W ostatniej chwili zdążyłam je opuścić.

– Tak, ja startuję – powiedziała Walka ponuro, uprzedzając

pytanie.

– Z czyjej jesteś stajni? – spytał chłopak.

Walka spojrzała na niego tak samo, jak przed chwilą na mnie. Była wyższa praktycznie od wszystkich, więc patrzyła na niego z góry. Muszę przyznać: ona ma w sobie coś takiego, że człowiek bardzo często czuje się przy niej mały.

Obecnie miała w sobie również coś, co nasunęło mi skojarzenie z lamą zbierającą się do splunięcia.

– Z czego? – spytała z uprzejmą pogardą. – To Służewiec czy jak?

Chłopak znów spojrzał tępo. Słowo daję, czasami w oczach widać puste miejsce na inteligencję.

– No, chodzi mi o to, kto cię uczy – powiedział po chwili łagodnie jak do opóźnionej umysłowo.

– Nikt – warknęła Walka.

Uniósł brwi i trawił przez chwilę tę informację. Potem zadał drugie pytanie wywiadowcze:

– Byłaś w Kutnie?

W Kutnie odbywa się inny duży konkurs piosenki, o czym wiedziałam od dawna, czyli od dwóch tygodni, kiedy to sprawdziłam w internecie bazę wszystkich wydarzeń wokalnych w Polsce.

– A po cholere miałabym być w Kutnie? – spytała Walka z zaciekłą niechęcią.

Chłopak uśmiechnął się jednym kącikiem ust i pożegnał nas, pobłażliwie życząc Walce szczęścia. Zauważyłam, że w szeregach arystokracji zapanowało odprężenie.

– Czy to okno musi być otwarte? – spytała z pretensją pani w średnim wieku, zwracając się w naszą stronę.

Zauważyłam, że w Walce znowu coś wzbiera, więc postanowiłam oszczędzić jej choć trochę nieprzyjemności.

– Zamknąć? – spytałam z uśmiechem.

– Oczywiście – powiedziała pani potępiająco. – Jak w ogóle można było otworzyć okno w październiku! Ludzie nie myślą!

– Ludzie nie chcą się udusić – mruknęła Walka.

– Nie oddychaj w tę stronę, bo zachrypniesz – powiedziała pani do mnie więcej dziesięcioletniej dziewczynki. Mała siedziała z nogą

założoną na nogę i tak samo skwaszoną miną jak jej mama.

– Już mnie drapie – powiedziała, patrząc z wyrzutem na Walkę.

Matka gwiazdy wyjęła z torby termos i naląła do zakrętki czegoś, co wyglądało jak bezbarwny glut.

– Nawilżaj struny – poleciła.

Zrobiło mi się niedobrze. Żeby odwrócić uwagę mojego skręcającego się żołądka od widoku małej wciągającej gluta, bardzo dokładnie zamknęłam okno.

– Co będziesz śpiewać, kochanie? – spytałam dziewczynkę.

Mała spojrzała na mnie zimno.

– *Na zakręcie.*

– Wypij jeszcze siemienia, skarbie – wtrąciła matka, podając jej kolejną zakrętkę. Dziewczynka przyjęła ją z wyniosłą obojętnością.

Wymieniłam spojrzenie z Walką.

– „A ja jestem, proszę pana, na zakręcie”? – upewniłam się.

Mała skinęła głową.

– Wiesz, o czym to jest?

– Pewnie. Mama mi powiedziała.

Przeniosłyśmy spojrzenie na matkę młodej artystki.

– Tu chodzi o emocje – powiedziała. – Moja Malwina bardzo dobrze oddaje emocje.

– „Pan widzi krzesło, ławkę, stół, a ja – rozdarte drzewo”?

– drążyłam, nadal w szoku.

– A druga piosenka? – spytała Walka.

– *Czy te oczy mogą kłamać* – dobiła nas mała.

– „Że żona go nie rozumie, że wcale ze sobą nie śpią”?

– wykrztusiłam.

– Moja Malwina jest nad wiek dojrzała – oznajmiła pani i dodała do córki: – Chodź, skarbie, zaraz będzie próba.

Odprowadziłyśmy je wzrokiem. Przez chwilę nie odzywałyśmy się do siebie.

– A może to czterdziestoletnia liliputka – powiedziała Walka w zamyśleniu.

To by miało o wiele więcej sensu.

– Chodź na tę próbę – zdecydowałam z westchnieniem.

- Nawilżysz sobie struny?
- Mogę. Co masz?
- Wodę.
- Nie wygłupiaj się – powiedziała Walka z niesmakiem i poszliśmy.

W sali koncertowej wszyscy siedzieliśmy na widowni. Wokaliści kolejno wchodzili na scenę i wykonywali po kawałku piosenki, żeby akustyk mógł ich odpowiednio nagłośnić. Śpiewali jakoś dziwnie niemrawo.

- E, nie masz się co martwić – oznajmiłam z zadowoleniem.
 - Żadna konkurencja.
 - Zgłupiałaś? – prychnęła Walka. – Markują. Umyślnie tak beznadziejnie śpiewają, żeby nie zdradzać, co przygotowali.
 - Bo? Konkurs za godzinę. Jak zobaczysz, że ktoś śpiewa, skacząc przez płonącą obręcz, to dużo możesz zrobić w tej sprawie?
 - Mogę postanowić tańczyć z szarfą. Jeszcze zdążę kupić w pasmanterii. A kto wie, może komisja lubi szarfy? Po co konkurencji podsuwać dobre pomysły?
 - A teraz ja bardzo proszę państwa o opuszczenie sali! – zawołała mama Malwiny tonem wykluczającym dyskusję.
- Mimo to znalazło się paru opornych.
- Dlaczego? – spytała jedna niesympatyczna dziewczyna z kręgu arystokratów.

Od jakiegoś czasu siedziała obok nas, zabawiając wielbicielki anegdotkami ze swojej kariery. Mimo woli słyszałam te fantastyczne historie o koncertach z różnymi sławami polskiej sceny, referowane takim tonem, jakby dziewczucha robiła sławom przysługę, zgadzając się z nimi występować. Gdybym startowała w tym konkursie, już bym się spakowała i wróciła do domu, widząc bezsens konkurowania z kimś tak sławnym i poważanym. Lecz jakimś cudem antypatyczne dziewczę nie zdołało nawet drasnąć muru obojętności Walki.

- Ty wiesz, jak się chwala koleżanki mojej matki? – powiedziała Walka trochę później, kiedy zaczęłam panikować. – Każda odmówiła występu w Metropolitan Opera, bo jej się terminy nie zgadzały. Choć tak naprawdę to się cieszą, jak zagrają Drugą Góralkę albo Czwartą

Dziewicę Japońską. A moja matka to już najlepsza. Jak byłam mała, nie mogłam pojąć, dlaczego nie piszą o niej w encyklopedii. Zresztą co tak się ciskasz? Chyba to ty miałaś mnie uspokajać?

Faktycznie, trochę się rozkojarzyłam.

W każdym razie antypatyczna dziewczucha chciała wiedzieć, dlaczego miałyby się wynieść. Dziewczyny z jej świty ją poparły.

– Malwinka musi się skupić – powiedziała matka gwiazdy dobitnie. – Jest bardzo wrażliwa. To jeszcze dziecko!

Malwinka stała obok niej i nic nie mówiła. Patrzyła na nas wielkimi oczami, w których powoli pojawiły się łzy. Wszystkim zrobiło się głupio, nawet arystokratom.

– Tak, teraz to dziecko – mruknęłam pod nosem, wychodząc.

– A za chwilę będzie śpiewać o mężach i rozdartych drzewach.

– Płacze na zawołanie – oceniła Walka fachowo. – Mocna zawodniczka.

– Cześć, kochana – zaczęła ją antypatyczna dziewczucha. – Bardzo fajnie śpiewałaś.

– Dziękuję – powiedziała Walka nieufnie.

– Jestem zachwycona twoim głosem – dodała dziewczucha.

– Dziękuję. – Walka nie zmiękła ani na jotę. Wyglądała, jakby czekała, kiedy skończą się występy supportu.

– No i w ogóle masz talent. Dlatego chciałam ci coś powiedzieć.

– Słucham – odparła Walka z taką miną, jakby wcale nie słuchała.

– To nie jest piosenka dla ciebie. Ty jesteś stworzona do występów komediowych, a ta piosenka jest zbyt histeryczna. Powinnaś ją zaśpiewać, tak jak potrafisz najlepiej, czyli na wesoło.

– Na wesoło – powtórzyła Walka tonem, którego nawet nie próbuję opisać.

– Właśnie, bo tak jak ją teraz śpiewasz, to nie ma prawdziwych emocji. Wcale ci nie wierzę. A tę drugą śmieszoną zaśpiewałaś genialnie. Genialnie! To spróbuj obie tak zaśpiewać. Chyba nie powinnam ci tego mówić, bo jak tak zaśpiewasz, to wygrasz, a co ja wtedy zrobię, ha, ha.

– Ha, ha – powiedziała Walka. – Jeszcze jakieś uwagi? Nie krępuj się.

– Naprawdę? No więc... ta druga jest za śmieszna.

– Przecież mówiłaś...

– Tak, wiem. Ale w AKADEMII TEATRALNEJ – te słowa zostały wypowiedziane bardzo dużymi literami – uczono mnie, że widz się nie śmieje, kiedy śmieszny tekst mówi się śmiesznie. Śmieszny tekst trzeba mówić nieśmiesznie, wtedy jest śmiesznie. Jaki masz kostium?

– Nie mam kostiumu.

– Nie masz kostiumu? – powtórzyło dziewczuszyko z wyraźnym przerażeniem. – To nie jest piosenka na brak kostiumu! Komisja bardzo zwraca uwagę na takie rzeczy! Musisz mieć cokolwiek!

– Chyba za późno, nie? – odezwałam się, spanikowana.

Dziewczyna spojrzała na mnie.

– Ty jesteś kto? – spytała.

Spanikowałam jeszcze bardziej. Kto ja jestem właściwie? I jakim prawem?

– Wsparcie – wykrztusiłam.

Dziewczyna odwróciła się do Walki.

– To może niech twoje... wsparcie – powiedziała z bardzo znaczącą pauzą – skoczy do kiosku. Tę drugą piosenkę możesz zaśpiewać z czapeczką z gazety na głowie. To będzie o wiele lepsze niż takie nachalne pokazywactwo, jak w tej chwili. Taki ironiczny znak, rozumiesz. Chodzi o to, żeby rozśmieszyć, ale się nie ośmieszyć.

Poszła i zostawiła mnie w kompletnej rozsypce. Co ona miała na myśli, robiąc tę pełną pogardy pauzę? Za kogo mnie uważała? I czy naprawdę Walka uprawiała jakieś nachalne pokazywactwo? Czy się wygłupi przed komisją? Czy zdąży w ostatniej chwili zmienić interpretację piosenek?

O Boże, Boże, i czy kiedykolwiek mi wybaczy, że ją władowałam w sytuację, w której się ośmieszy?

*

Zespół siedział w komplecie przy stoliku. Parę osób spojrzało na nas apatycznie. Reszta nawet się nie odwróciła. Nasz widok wcale nie podnosił na duchu. Ponura Walka wtargnęła do kawiarni jak nacierająca

armia niemiecka. Ja czułam się jak szampan, którym ktoś potrząsnął, ale go nie odkorkował. Przysięgłabym, że za chwilę eksploduję.

– No, w końcu – powiedział Jacuś z pretensją.

– Komórka ci nie działa? – spytała mnie Weronika z jadowitą słodyczą. – I tej drugiej gwieździe? Już telefonów od pospólstwa nie odbieracie?

– Byliśmy ciekawi, jak poszło – przetłumaczył Adrian z sympatycznym uśmiechem.

Usiadłyśmy w milczeniu.

– Waltrauto... – odezwałam się niepewnie.

Walka nie chciała nawet na mnie spojrzeć.

– Odwal się – mruknęła, patrząc w okno.

– Powiecie coś? – spytała niepewnie Monia, kiedy milczenie zaczęło się przedłużać.

– Chyba nawet nie muszą – zauważyła Helena, odrywając się na chwilę od skserowanego podręcznika.

To, co się we mnie kotłowało, groziło wystrzeleniem korka, ale uznałam, że Walka powinna przekazać wieści sama.

– Wal, Walerio – zachęcałam.

– Won, gadzie – usłyszałam w odpowiedzi, co w zaistniałych okolicznościach wcale mnie nie zaskoczyło.

– Otóż – zaczęłam i poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

– Jezu – mruknęła Weronika.

Ponury nastrój nad naszym stolikiem zgęstniał jak beton.

– O matko, dziewczyny – nie wytrzymał w końcu Jacuś. – Już powiedzcie, że przegraliśmy, i przestańcie nas męczyć! Ja nie zniosę tego napięcia!

– Kto wygrał? – spytała rzeczowo Helena, odrywając się od wkuwania.

Mój korek wystrzelił.

– Koń! – wrzasnęłam ze łzami szczęścia. – Nasz czarny koń! Nasza szkapa kochana!

Usiłowałam przytulić Walkę, ale się zamachnęła, więc w zamian uścisnęłam Jacusia, żeby jakoś zużyć rozsadzającą mnie energię.

– Zostawiła daleko w tyle te wszystkie żałosne chabety na trzech

nogach, to smutne towarzystwo wzajemnej nienawiści! I tę liliputkę na zakręcie! Ha! Nasza laureatka!

Weronika patrzyła na mnie przez chwilę.

– Bredzi bardziej niż zwykle – zdecydowała, zwracając się do Walki. – Ty mi powiesz, co tam zaszło, ale szybko, bo moja cierpliwość się kończy! A jak się kończy, jest źle.

– Potwierdzam – poparł ją Adrian z przekonaniem.

Walka westchnęła.

– No więc...

– Pierwsze miejsce! – wpadłam jej w słowo. – Ona! Z palcem w nosie!

Od kiedy zobaczyłam Walkę na scenie, nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Śpiewała prawie ostatnia. Poprzedzali ją: Malwinka, która na scenie zaczęła ronić łzy, chłopak, który z nami wcześniej rozmawiał, a przed jurorami zdarł z siebie koszulę i odtńczył taniec przy rurze bez rury, dziwna pani w średnim wieku, która śpiewała z misiem, przebrana za dziecko, oraz dziewczuszyko, które wystąpiło w stroju hiszpańskim, z podobno prawdziwym Hiszpanem prosto z Hiszpanii, grającym na hiszpańskiej gitarze, co w sumie dało obraz polskiej nędzy i rozpacz. Był też tłum a to wykonawców w fantastycznych kostiumach, a to idących w minimalizm, a to artystów łkających i wyrywających sobie włosy z głowy, a to śpiewających z tragicznym wzrokiem wbitym w reflektor. Oraz innych błaznów, aktorów, cudaków i wariatów. Kiedy przyszła kolej na Walkę, na twarzach jurorów malował się już tylko tępy ból.

Walka zapowiedziała tytuł pierwszej piosenki, którą miała zaśpiewać. Tę samą piosenkę zaśpiewano przed nią już z dziesięć razy. Na smutno, na cholernie smutno, na rozdzierająco smutno, po aktorsku, tańcząc, odgrywając misterium jednego artysty i co tam jeszcze.

Widziałam, jak jurorzy z trudem opanowują grymas wstrętu. Jednemu się nie udało.

Walka wzięła mikrofon tak zwyczajnie, jakby to był na przykład młotek, i zaczęła śpiewać.

Już po pierwszych nutach jurorzy się odprężyli. Potem w ich oczach pojawiła się przytomność, a później zainteresowanie. W końcu

zaczęli z przyjemnością słuchać. Natomiast matka Malwinki, fanklub dziewczyska i inni, którzy mieli powody, żeby życzyć Walce połamania wszystkiego, nagle zlodowacili i zaczęli wyglądać, jakby wcale nie słuchali.

Im dłużej śpiewała Walka, tym bardziej było się ciekawym, co dalej. Słowa piosenki, same w sobie fajne, tylko znane do znudzenia, nagle wydały się kryć jakąś nieznaną dotąd głębię, drugie i trzecie znaczenie, które do tej pory nie przychodziło do głowy.

Kiedy Walka skończyła śpiewać, poczułam się, jakby coś mi odebrano.

– To prawda? – spytała Weronika surowo. Najwyraźniej straciłam w jej oczach wiarygodność.

– Prawda – mruknęła Walka. – Z wyjątkiem tego palca. Palca nie było.

– Była magia – oznajmiłam, pijana szczęściem. – I dodatkowo cud. Myślałam, że to dziewczysko ma rację i że musisz zmienić wszystko, żeby się nie ośmieszyć.

– Ha, ha – powiedziała Walka. – Czy ja nie znam sztuczek konkurencji? Czy ja się urodziłam wczoraj, jak ty?

– To o co się tak pieklisz? – spytała Helena.

Walka spojrzała na mnie i otworzyła usta, ale w tej samej chwili rozległ się dzwonek jej komórki. Westchnęła ciężko i odebrała.

– Mamo – powiedziała głuchym głosem. – Tak. Tak. Tak. No nie wiem. Dziękuję. Do usłyszenia.

Rozłączyła się.

– Mama gratuluje mi wygranej – oznajmiła, patrząc na mnie wzrokiem ciężkim jak płyta nagrobna.

– Tak szybko? Skąd wie? Od ciebie?

– Na pewno nie – wycedziła Walka.

– Ode mnie też nie – zapewniłam ją.

– Wiem. Z internetu. Już wrzucili wyniki.

– Jakim cudem wpadła na to w internecie?

– Codziennie gogluje, co o niej napisali – wyjaśniła Walka.

Zauważyła, jak spojrzeli na nią inni, i rozłożyła ręce. – Moja matka.

– Dziewczyny – odezwała się nieśmiało Monia. – Ja nie wiem, ale

to chyba dobrze...? To chyba dobrze, że wygrałaś?

Walka trochę złagodniała.

– Dobrze – powiedziała. – Te pieniądze są twoje. Cieszę się, że je dla ciebie wygrałam. Jest tylko jeden problem.

– Straszny problem – dodałam.

– Zamknij się, ty pomociu Szatana. Mogłaś mnie uprzedzić!

– Wtedy byś się nie zgodziła.

– O czym? – spytała bezradnie Monia. – O czym miałaś ją uprzedzić?

– Że oprócz nagrody pieniężnej zwycięzca konkursu jest zobowiązany do udziału w kilku koncertach w całej Polsce – oznajmiłam tryumfalnie. – Na których nasza kochana czarna klacz będzie mogła rzucić słowo o twojej siostrze! Fajnie?

– Bardzo fajnie – powiedziała Monia z nieśmiałą radością.

– Bardzo fajnie – mruknęła Walka. – Moja rodzina tryumfuje. Matka powiedziała, że wreszcie zrozumiałam, gdzie moje miejsce. Uważają, że te studia to była moja fanaberia, a teraz zajmę się, jak oni, muzyką. Wszystko, co osiągnęłam, żeby się od nich odczepić, w parę godzin poszło w diabły!

Helena odłożyła wydruk tak, że szklanki zabrzęczały.

– Uświadamiasz sobie, że chciałabym mieć twoje problemy?

Walka prychnęła.

– Przestań histeryzować – dodała Helena surowo. – W Polsce nie ma obowiązku odnosić sukcesu.

– Raczej odwrotnie – mruknęłam.

– Potem możesz się do końca życia zajmować księgowością, jak już tak bardzo chcesz – podjęła Helena. – Ale teraz robimy, co trzeba. Tak?

Walka milczała przez chwilę. Widać było, że wszystko w niej się buntuje. Ale konkretne spojrzenie Heleny wykluczało jakiegokolwiek ściemy. Kiedy Helena patrzy na człowieka swoimi bezlitosnymi oczami, wykrety i pozory rozwiewają się, zostawiając czystą i brzydką prawdę. Widać było, że nasz czarny koń właśnie spogląda swojej brzydkiej prawdzie w oczy.

Walka toczyła ze sobą walkę – a potem ją przegrała.

– Tak – powiedziała niechętnie.

– Bardzo się cieszę – oznajmiłam. Radość wciąż we mnie bąbelkowała, więc chwyciłam w objęcia najbliższego siedzącego Jacusia i wycisnęłam mu na policzku soczysty pocałunek. Jacuś zeszywniał, uśmiechnął się z przymusem, trochę odsunął się z krzesłem, a kiedy uznał, że nie patrzę, wytarł policzek. W tej cudownej chwili nawet mnie to nie ruszyło. – Bo wiem, co teraz zrobimy.

Walka powoli podniosła głowę i spojrzała na mnie tak, że na swoim miejscu ja bym się nie odzywała.

Wychodzi na to, że nie byłam na swoim miejscu, bo odezwałam się w te oto słowa:

– Teraz, Waltrauto, pójdiesz do telewizji.

ROZDZIAŁ CZWARTY,

w którym rozrabiam jak zając w kapuście, Jacuś kracze z potworną rozkoszą, a kto palem wojuje, na palu ginie

Niesamowite, jak sukces dobrze robi na głowę. Ta prawidłowość wcześniej nie rzuciła mi się w oczy, bo jakoś nigdy nie miałam osobistego kontaktu z prawdziwym sukcesem. Fakt, że właściwie nie całkiem był to mój sukces, niczego nie zmienił.

Stałam się kimś innym. Kimś odważnym, powiedziałabym nawet: odważnym do szaleństwa. Byłam gotowa robić wszystko to, czego dotąd się obawiałam, chodzić tam, gdzie ze strachu dotąd nie chodziłam, i ogólnie rozrabiać jak zając w kapuście.

W ten oto sposób załatwiłam dla zespołu dwa dzoby stulecia. Odkryłam, że wystarczy przestać się bać i nagle wszystko leci z góry, wesoło jak prosię w deszcz. I może nawet pokwikuje.

Tego ważnego dnia – czyli następnego po sukcesie Walki – przyszedłam do kawiarni w takim stanie, że parę osób się za mną obejrzało.

Nie żeby coś mi się zmieniło na okoliczność urody. W szybie, za którą już było ciemno, ukazało się moje odbicie – uroda niestety bez zmian plus szeroki uśmiech wariata i trochę jeszcze wybałuszone pod wpływem szoku oczy. Bez fałszywej skromności muszę przyznać, że wyglądałam jak lemur, który zwariował, i jakoś go to bardzo ubawiło.

Co w najmniejszym stopniu nie zepsuło mi humoru.

Niesamowita sprawa z tym sukcesem. Dlaczego nie spróbowałam tego wcześniej?

Tak mi się spieszyło z wiadomościami, że nawet nie zaczekałam, aż zbiorą się wszyscy.

– Słuchajcie, co się wydarzyło – powiedziałam do Walki i Weroniki, które przyszły pierwsze.

– A wtedy ja mu na to – dodała z rozpędu Weronika do Walki
– „Panie adiunkcie, jo wszystko rozumia, ale jak słysza takie fanzolyni,

to zarozki dostowom na dekiel!”.

Weronika mówi po śląsku, tylko kiedy się boi. Niestety, boi się bardzo rzadko. W tych nieczęstych chwilach zwykle proszę, żeby powtórzyła, i nawet notuję, bo mam ambicję nauczyć się tej pięknej mowy, ale tym razem radość mnie rozsadzała, więc powiedziałam raz jeszcze:

– Słuchajcie, co się wydarzyło...

– Słuchamy – rzuciła z roztargnieniem Weronika, rozglądając się po sali. – Czekaj, idzie Adrian.

– Kumpel wspomniał, że jak będzie trzeba, to znowu nam pożyczysz dymownicę i kamerę – oznajmił Adrian.

– Świetnie. Słuchajcie, co się wydarzyło...

– Ej, ludzie! – zawołała Helena. – Monia mówi, że operacja może się odbyć w styczniu. Jeśli tylko zbierze się dość kasy...

– Świetnie – powiedziałam już trochę przez zaciśnięte zęby. – Słuchajcie, co się wydarzyło...

– Wiecie, co się wydarzyło? – przerwał mi Jacuś, padając na krzesło. – Przedszkola zamawiają u nas jasełka, a Świętego Mikołaja też chętnie wezmą! Ekstra, nie? Walka, ty pasujesz na Mikołaja prawie bez charakteryzacji, to zyski będą potrójne.

– Dziękuję – powiedziała Walka, co jakoś kojarzyło się z zapowiedzią morderstwa.

– **SŁUCHAJCIE-W-MORDE-CO-SIĘ-WYDARZYŁO!**

– ryknęłam.

– No przecież właśnie mówiłem – obraził się Jacuś.

– Wydarzyło się coś jeszcze? – zainteresowała się Helena.

– Czemu nic nie mówisz?

– Co się wydarzyło? – spytała Monia.

Miałam strzelić focha i powiedzieć, że teraz to już nastrój przysł i nie mam ochoty, ale radość za bardzo mnie roznosiła. I za bardzo się cieszyłam, żeby tak epickie wydarzenie streścić w jednym zdaniu.

– Otóż słuchajcie – zaczęłam uroczyście. – Mam kumpla, prawdziwego muzyka.

– Zdefiniuj prawdziwego muzyka – zażądał Adrian.

– Prawdziwy muzyk zarabia na życie graniem – zdefiniowałam.

– A mój kumpel zarabia całkiem nieźle. Poszłam do niego i porozmawiałam z nim od serca. I oto – cud.

Urwałam.

– Zdefiniuj cud – odezwała się nieufnie Weronika po chwili.

– Oddał nam dwa dżoby – powiedziałam zwięźle i zrobiłam pauzę, żeby do wszystkich dotarło.

– Co nam oddał? – spytała nieśmiało Monia.

– Dżoby. Wykony. Oddał nam dwie imprezy za całkiem spore pieniądze. A do tego jeszcze zagra z nami za darmo. Jest tylko jedno ale.

– Zawsze jest – zauważył filozoficznie Adrian.

– Zawsze. Na tej pierwszej imprezie potrzebują pary.

– Jakiej pary?

– Wodnej. Dwóch osób, debilu, kobiety i mężczyzny.

– Po co?

– Nie wiem, może będą ich rozmnażać. Adrian, chodzi o dwoje wokalistów, oprzytomniej. To jest impreza na bogato, jeden głos ich nie zadowala. I bardzo dobrze, bo posłuchajcie, ile płacą...

Teraz zaczęli mnie naprawdę słuchać. Wyczekałam, ile mogłam, bez pęknięcia z dumy.

– Tysiąc pięćset od łba – oznajmiłam tryumfalnie. – Razem cztery i pół tysiąca.

– Chryste Panie na wysokościach – wyszeptał Jacuś.

– Kto nas zaangażował, Emiraty Arabskie? – chciała wiedzieć Weronika.

– Chcą nas zaangażować czy kupić? – dodał trzeźwo Adrian.

– Mamy tylko śpiewać czy inne usługi też wchodzi w grę?

– spytała Monia.

– Bardzo bogaci ludzie. Zaangażować. Tylko śpiewać

– odpowiedziałam po kolei, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Przy stoliku zrobiło się małe wesołe piekielko. Wszyscy okazywali radość i wdzięczność. Tylko Wanka siedziała, jakby jej to nie ruszało.

– Iii tam – powiedziała, kiedy zrobiło się trochę ciszej. – Ja bym w to bogactwo nie wierzyła.

– Bo?

– Bo od kolegów mamy nie takie opowieści słyszałam o tym, jak

mieli śpiewać na jakichś imprezach za miliony, których nie zobaczyli na oczy.

- To są bardzo bogaci ludzie – zauważyłam.
- Jeszcze gorzej.
- Podpiszemy umowę – powiedział Adrian.
- I wyłożymy nią kotu kuwetę, bo do tego się akurat nadaje.
- Weźmiemy prawnika!
- O ho ho – odparła na to Walka cynicznie.
- Spokój! – przekrzyczałam ich. – Zapłacą, kumpel gwarantuje.

Już wcześniej u nich grał i zawsze płacili. Jednakże jest jedno ale.

- Drugie – mruknął Jacuś.
- Drugie. Państwo mają bardzo konkretne wymagania co do piosenek.

- Jakich piosenek?
- Nie wiem. Mam tu listę.

Pochyliliśmy się nad długim spisem. Piosenek było ze czterdzieści.

- Cholera, śpiewania do świtu – mruknął Jacuś.
- Nic mi te tytuły nie mówią – powiedziała Walka.

Helena zajrzała jej przez ramię. Prychnęła.

– O, szacunek – powiedziała. – Teraz to już narozrabiałaś jak zając w kapuście. Zorganizowałaś nam recital disco polo. Gratulacje.

W związku z zaistniałą sytuacją postanowiłam im na razie nie mówić, jaki drugi dżob załatwiłam.

*

W tak zwanym międzyczasie dogoniła nas sława.

– Mówią na mieście, że wynajmujecie się każdemu – zagadnął mnie mój znajomy Marek z teatru tańca, do którego kiedyś próbowałam się dostać. Do teatru, nie do znajomego. Do znajomego dostać się bardzo łatwo, bo mieszka w centrum, i to na Wspólnej, choć nikt mu nie chce wierzyć. A jak już uwierzą, to bardzo długo żartują, więc znajomy myśli o przeprowadzce, mimo że lokalizacja jest najlepsza na świecie. A co do teatru tańca, okazało się, że tam trzeba strasznie dużo tańczyć, więc nic

z tego nie wyszło.

– Każdemu – przyznałam się od razu. – A co, masz kogoś?

– Może nawet mam – powiedział Marek. – Zlecenie jest tak głupie, że nikt go nie chce brać, choć przyjemnie płacą.

– A o co chodzi? – zainteresowałam się. Głupie zadanie od razu mnie zaciekawiło. Nie wiem dlaczego. Może podobieństwa się przyciągają.

– O nic takiego. Tylko jest jeden warunek. Macie jakąś płaską dziewczynę bez tyłka, najlepiej kurdupła, i supersamca?

– Do czego im supersamiec? – spytałam podejrzliwie.

– Do tego, żeby wszystkie panny się posikały z wrażenia. One teraz niestety rozwydrzone. A u nas w teatrze sami kolesie z nisko położonym środkiem ciężkości. I z interesującą urodą.

Czytaj: brzydkie karaczany.

– No, może nawet miałabym coś takiego – powiedziałam ostrożnie.

Zapomniałam chyba nadmienić, że rzeczywiście pracuję z ciekawym zjawiskiem natury: rozkapryszonym, zepsutym do szpiku kości, przeważnie kwękającym i niezadowolonym, genetycznie obciążonym charakterem obrażonej księżniczki – co w najmniejszym stopniu nie odbija się na jego pięknym, supermęskim obliczu. Tym zjawiskiem oczywiście jest Jacuś.

Wiele razy, idąc z Jacusiem ulicą, widziałam oglądające się tęsknie tłumy rozmaitego wieku i płci. Szczerze mówiąc, nie lubię się z nim pokazywać, bo nigdy nie budzę tak powszechnej niechęci w społeczeństwie i nie bywam obrzucana tak morderczymi spojrzeniami, jak wtedy, gdy można mnie jakże niesłusznie uznać za dziewczynę Jacusia.

Zanim się poznaliśmy, podziwiałam Jacusia z daleka w Salmonelli, gdzie zjawiał się czasem, by zasiąść nad kawą albo soczkiem marchwiowym (dobrze wpływa na cerę). Zresztą Jacuś ma to do siebie, że nawet kiedy siedzi nad bigosem, a zajmuje go wyłącznie rozmyślanie, czy kupić na kolację salceson, czy kaszanke, wygląda jak Chopin z Łazienek, z boleściwym wyrazem szlachetnego oblicza dumający nad wielkimi sprawami. W tamtych odległych czasach, zanim poznałam Jacusia bliżej, lubiałam dla rozrywki szukać w nim jakichś wad urody.

Niestety, Jacuś z każdej strony jest piękny, a już jego profil nadaje się do umieszczania na monetach. Nowym znajomym trudno z nim rozmawiać, bo hipnotyzują ich jego płonące oczy. Romantycznie zapadnięte policzki i orli nos nie zdradzają zamiłowania Jacusia do cudzych kanapeczek i w ogóle życzliwego stosunku do jedzenia. Po wielu tygodniach obserwacji wyszło mi, że Jacuś może mieć minimalnie zbyt wysokie czoło. Ale ponieważ opada na nie skrzydło bujnych, naturalnie czarnych włosów, które Jacuś odruchowo odrzuca uwodzicielskim ruchem głowy, problem tak jakby nie istnieje.

A zatem mogłam z czystym sumieniem zapewnić, że posiadam na stanie supersamca. Chudego kurdupla także. Poczułam, że mam kwalifikacje, by się ubiegać o to zlecenie.

Marek zasugerował, żebym się skontaktowała z kierownikiem projektu, bo on sam nie wie za wiele. Nie uwierzyłam mu. Ale uznałam, że nawet jeśli ukrywa jakąś złą wiadomość, to nie jest ona gorsza od wiadomości o siostrze Moni. A zatem wytrzymamy.

Kierownikiem projektu okazał się facet starszy od nas o parę lat, uczący w prestiżowej szkole dla bogatych dzieci. Miał włosy związane w kitkę, kolczyk w uchu i na imię Igor.

– Chodzi o to – zaczął – że te bachory nie są złe, tylko durne, że litość bierze. I nie to, że w ogóle nie czytają, tylko mają wstręt do klasyki. Dlatego postanowiłem je zachęcić seksem.

Trochę się cofnęłam.

– Seks to najlepszy straszak – dodał Igor.

– To znaczy... – powiedziałam powoli, obliczając odległość do drzwi – że zachęcasz je seksem czy brakiem seksu?

– Oczywiście seksem – wyjaśnił Igor z lekkim zaskoczeniem, patrząc na mnie jak wcielenie stroskanej poczciwości. – One biorą na seks i zjawiska nadprzyrodzone. A ponieważ jest mała szansa, żeby pan Wołodyjowski zaczął latać na miotle, postanowiłem iść w seks. No i stąd moje pytanie: czy ten twój chłopak jest seksowny?

– Jak jasna cholera – powiedziałam ze szczerym przekonaniem.

– Zacznesz go pożądać już od progu.

Tym razem to Igor zerknął na drzwi.

Po krótkiej chwili przezabawnych nieporozumień wyszło na jaw,

co następuje: Igor, ambitny nauczyciel języka polskiego, postanowił rozbudzić w gimnazjum miłość do literatury, a konkretnie do *Pana Wołodyjowskiego*. W pierwszej chwili jego myśl potoczyła się bardziej utartymi torami: zamierzał przynieść na lekcję film na podstawie książki. Potem dotarło do niego, że *Pan Wołodyjowski* został nakręcony w czasach, kiedy rodziców obecnych gimnazjalistów pewnie nie było jeszcze na świecie. Dlatego rozwinął skrzydła wyobraźni, co doprowadziło go do następnego wniosku: należy przedstawić młodzieży nowoczesną inscenizację przygód małego rycerza. Z młodymi wykonawcami, którzy rozpalą w widowni ciekawość dalszych losów bohaterów. Do roli pana Wołodyjowskiego, którego podstawową cechą – oprócz męstwa i szlachetności – był, jak wiadomo, niski wzrost, Igor już zaangażował swojego niewysokiego przyjaciela, aktora znanego z popularnego serialu. Słusznie zakładał, że znane nazwisko zaimponuje zblazowanym małoletnim bogaczom. Choć jednak przyjaciel zgodził się zagrać za niską (dla niego) stawkę, inni zawodowi aktorzy nie dali się przekonać do szlachetnej misji. Dlatego Igor zaczął stopniowo rozszerzać krąg poszukiwań, docierając w końcu do nas.

Nam proponowana stawka wcale nie wydawała się niska. Zwłaszcza że projekt miał zająć tylko trzy dni – dwa poświęcone na próby, trzeci na występ.

– No dobrze – powiedział na spotkaniu organizacyjnym w Salmonelli Jacuś, odrzucając wspomnianym gestem bujną czarną grzywę i przyciągając pożądliwe spojrzenia okolicznej gawiedzi.

– Rozumiem, dlaczego Weronika – bo jest kurdupłem, więc będzie pasować do tego drugiego kurdupła z serialu. Ale co ja tam mam robić?

Jacuś ciężko zniósł wiadomość, że nie zagra roli tytułowej. I nie trafiło mu do przekonania wyjaśnienie, że przecież jest o pół metra wyższy od pana Wołodyjowskiego.

– Nie jestem kurdupłem – warknęła Weronika. – Kurdupłami są mężczyźni. Kobiety są słodkimi maleństwami.

– Ty nigdy nie byłaś słodkim maleństwem – odparł Jacuś wyniośle.
– Jesteś jak pirania, od małego maszyna do zabijania.

– Jak nie zamkniesz ryja, to ja ci go zamknę – powiadomiło Jacusia słodkie maleństwo.

– No więc co ja tam mam robić? – spytał nasz amant, omijając ją wzrokiem.

– Jacuś, kochanie – powiedziałam przymilnie. – A jak sądzisz? Jaka rola w panu Wołodyjowskim jest dla ciebie stworzona? Kto tam roztacza zwierzęcy magnetyzm, od którego te wszystkie gimbusy już nigdy nie zasną spokojnie?

Jacuś patrzył na mnie doskonale pustym wzrokiem, świadczącym o kompletnej nieznajomości *Trylogii*.

– Azja – wyjawiłam. – Azja, skarbie.

– Co ty gadasz, Pina – zgorszył się Jacuś. – Mam zagrać kontynent?

– Tak się cieszę, że jestem kurduplem – odezwała się Weronika jadowicie. – Przynajmniej krew mi dociera do mózgu.

Kiedy oboje zjawili się na próbie z Igorem, Jacuś miał już za sobą zaliczone streszczenie powieści, a Weronika wybaczyła mu słowa, które padły na spotkaniu organizacyjnym. Nawet te, które padły z jej ust. Miała prawo się za nie obrazić, bo – jak uzasadniła – nie padłyby, gdyby Jacuś jej nie sprowokował.

Nie zjawił się za to sławny aktor serialowy, który powiadomił Igora telefonicznie na dziesięć minut przed, że rolę umie i wejdzie w nią gładko bez próby, więc próba nie jest potrzebna jemu, tylko amatorom.

Igor powitał Weronikę i Jacusia, mnąc nerwowo kitkę.

– No nie wiem, nie wiem – rzucił. – Całe to przedstawienie, na które dyrekcja dała mi tyle pieniędzy, ma służyć temu, żeby się młodzież zaciekawiła książką. Jak ma się zaciekawić, jeśli główna postać olewa?

Jacuś wzruszył ramionami z miną obrażonej księżniczki.

– Moim zdaniem w tej scenie, którą wybrałeś, pan Wołodyjowski nie jest główną postacią. Główna postać nakręca akcję, a pan Wołodyjowski nie nakręca akcji, tylko reaguje na akcję głównej postaci...

Jacuś ze skromności nie wyjaśnił, kto jest według niego główną postacią, ale Igor szczęśliwie jakoś się zorientował.

Faktycznie, Jacuś miał rację. Jak wiadomo, *Pan Wołodyjowski* pełen jest pościgów, pojedynków i pomysłowych sposobów zadawania śmierci, ale choć szkoła wypłaciła sporą sumkę na inscenizację,

z efektów specjalnych Igorowi starczyło na sztuczną krew i dekoracje. Dlatego postanowił skupić się na wątku szalonej miłości dzikiego Azji do Baśki Wołodyjowskiej i kłopotów, które z tego wynikły.

Po pierwszej próbie Igor trochę odetchnął. Azja w postaci Jacusia faktycznie emanował dzikim seksem, a już scena rozrywania koszuli w celu zaprezentowania ryb, siną barwą wyklutych, wróżyła pisk na widowni. Odtwórczyni roli Ewki Nowowiejskiej, w cywilu instruktorka z domu kultury po studium aktorskim, patrzyła na niego z coraz większym żarem. Z kolei stary Nowowiejski, emerytowany aktor, któremu znudziło się siedzenie w domu i sporadyczne dorabianie w reklamach, niezwykle upodobał sobie Weronikę. Wyglądało na to, że czego jak czego, ale seksu Igorowi w przedstawieniu nie zabraknie. Kiedy czwórka aktorów znajdowała się w jednym pomieszczeniu, atmosfera skwierczała od napięcia. Igor skwierczał z zadowolenia.

Jacuś mniej.

– Jak Boga kocham – pożalił mi się w Salmonelli. – Ta... kobieta przy każdej okazji mnie obłapia i całuje! W usta! Po każdej kwestii! I jeszcze mówi, że musi, bo tak ma w roli! A ten Igor nie protestuje, bo chodzi mu tylko o seks. Zacząłem się bać wychodzić na scenę. Nie wiem, czy wytrzymam. Tracę godność!

– Wytrzymasz – zapewniłam. – Tu nie chodzi o twoją godność, tylko o ważniejsze rzeczy.

– Nie ma dla mnie ważniejszych rzeczy niż moja godność – odparł Jacuś godnie, choć oboje wiedzieliśmy, że łyże w żywe oczy.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, kiedy na drugą i ostatnią próbę przybył słynny aktor serialowy. Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację i zrozumiał, że w osobie Jacusia ma niespodziewaną, ale groźną konkurencję. Nie żeby mu jakoś szczególnie zależało na gimnazjalistach, ale już się przyzwyczaił do przyjemnej myśli, że będzie najlepszy, i nie chciał się z nią rozstawać. Tymczasem Jacuś nie tylko górował nad nim wzrostem, ale całymi garściami rozsiewał feromony na prawo i lewo i promieniał urodą, której sztuczna śniadość z tubki oraz nieznaczące uczernienie oczu nie tylko nie zaszkodziły, ale wręcz dodały seksownego pazura. Ponadto grał jak natchniony, przykuwając uwagę widza. I, rzeczywiście, był przyczyną wszystkich zwrotów akcji tego

krótkiego wycinka powieści.

Słynny aktor serialowy poczuł się zagrożony. Zaczął kombinować, co zrobić, żeby z powrotem ściągnąć na siebie światło reflektorów.

– Tak się zastanawiam – zagadnął od niechcienia Igor.

Ostatnie słowo obudziło w Igorze dreszcz – i słusznie. Jeżeli aktor twierdzi, że się zastanawia, nie znaczy to, że zajmuje go dobro całego zespołu czy przedstawienia. On właśnie pracuje nad zagarnięciem sukcesu wyłącznie dla siebie.

– Tak? – rzucił Igor, symulując zaczytanie w scenariuszu.

– Fajne sceny wybrałeś – zaatakował aktor.

Zaczął od pochlebstwa. Igor zaczął się poważnie niepokoić.

– Ale nie mają dobrej puenty – dodał aktor.

Igor przemyślał sprawę, bo faktycznie, serialowy gwiazdor wyjątkowo miał rację. Krwawą śmierć Azji reżyser przewidział jako wydarzenie z offu. Coś mu mówiło, że Jacuś nie da się nabić na pal dla dobra sztuki i przyszłych pokoleń, a nie miał pomysłu, jak przedstawić to zajście w przekonujący, acz niepozostawiający trwałych śladów sposób.

Aktor, okazało się, miał.

– Weźmiesz jakiś kawał drewna, z Castoramy albo nie wiem, z lasu, zaostrzysz na końcu...

Jacuś, który nieopodal posilał się kanapką Ewki Nowowiejskiej, przestał jeść i zaczął słuchać.

– Położysz tego typa na ziemi, dwaj faceci wezmą go za nogi...

Bułka stanęła Jacusiowi w gardle.

– ...i wbiją pal pod niego. Tak go, rozumiesz, wsuną – między typa a podłogę.

Jacuś zbliżył się do pomysłowego aktora.

– A jak trafią nie między typa, tylko w typa? – spytał.

Aktor spojrzał na niego niechętnie.

– To tak leż, żeby nie trafili. Tak od razu przecież cię całkiem nie nadzieją. A to będzie wspaniała scena, będzie krzyk, będzie krew, będzie przemoc... I pan Wołodyjowski zemści się za Baškę, więc uzyskamy piękne zamknięcie historii.

– Przecież to pan Nowowiejski zemścił się za Ewkę – zauważył

Igor.

– Co ty gadasz, pana Nowowiejskiego zarznął Azja w poprzedniej scenie – obruszył się aktor. Stało się jasne, że z obecnych lekturę przeczytał tylko reżyser.

– Młody pan Nowowiejski. Syn zarzniętego – wyjaśnił Igor boleśnie.

– Chyba nie zamierzasz wprowadzać nowej postaci – powiedział aktor potępiająco. – W filmach też jest inaczej niż w książkach. Trochę zmienimy, a będziesz miał mocny finał!

– A w ostatniej scenie – odezwał się stary pan Nowowiejski – można by pokazać ten pal z Azją... Wicie, już w pionie... Azja rzezi, krew spływa po palu... no i pan Wołodyjowski mógłby powiedzieć ze dwa słowa na koniec.

– W jakim pionie? – przestraszył się Jacuś. – Nic nie wiedziałem, że będę wisiał na palu w pionie! Ja w tym nie biorę udziału! Sami się nabijajcie na pal w pionie!

– Jest za mało czasu, żeby to zorganizować – powiedział Igor i Jacuś poczuł odrobinę ulgi.

– U nas w teatrze robili kiedyś *Pana Wołodyjowskiego* – oznajmił pan Nowowiejski, niszcząc nadzieje Jacusia. – Zaraz do nich zadzwonię, na pewno nam pożyczą ten pal.

Mimo gorących modlitw Jacusia pal został wypożyczony jeszcze tego samego dnia. Wieczorem Igor spotkał się z zadowolonym panem Wołodyjowskim i szczękającym zębami Azją na próbę techniczną.

Pal miał małą podpórkę na nogi i równie małą deseczkę, na której Jacuś miał złożyć swój chudy tyłek. Problem polegał na tym, że podpórka i deseczka znajdowały się dość wysoko. Jacuś, choć miał metr osiemdziesiąt, musiał stanąć na krześle, żeby się dostać na właściwe miejsce.

– A jeszcze muszę być związany – zauważył. – Związany w życiu na to siedzenie nie trafię.

– To może zwiążemy cię, jak już siądziesz? – podsunął pan Wołodyjowski.

Przeprowadzone na próbę siadanie na palu i wiązanie trwało dziesięć minut i obfitowało w soczyste przekleństwa Jacusia, któremu

omsknęła się noga, doprowadzając do upadku z wysokości.

– Nie no, tak się nie da – zdecydował w końcu Igor, ocierając pot z czoła.

– Czyli rezygnujemy z pala w pionie? – spytał Jacuś z nadzieją.

Ale pan Wołodyjowski nie zamierzał rezygnować ze swojej wielkiej sceny tryumfu nad wrogiem.

– A gdyby pokazać, jak podnosimy pal z przywiązanym Azją? – zaproponował. – Zwiążemy go tak, że w życiu nie spadnie. Potem wystarczy tylko podnieść pal i go ustawić.

– Tylko – mruknął Jacuś. – Ja nie jestem gruby, ale wątpię, czy mnie podniesiesz.

Pan Wołodyjowski, który z racji niskiego wzrostu miał liczne kompleksy, potraktował to jak wyzwanie.

– Ty się o to nie martw – powiedział zimno. – Ja cię nie muszę podnosić, ciebie podniosą moje pachołki. Ja tylko będę z ciebie szydzić, kiedy będziesz umierać.

– Przepraszam, jakie pachołki? – zaciekawiał się Igor. Czuł, że kierownictwo nad projektem w nieprzewidziany sposób wymyka mu się z rąk.

– Jakieś – rzucił niecierpliwie pan Wołodyjowski. – Się skombinuje za pół litra, poprzebiera w kontusze i dźwigną tego kolegę tak, że się zdziwi.

Zwołani na szybko woźny i facet od wuefu razem z Igorem podnieśli Jacusia, stękając i klnąc, po czym postawili pal, który okazał się bardzo stabilny. Wszyscy cofnęli się o parę kroków, podziwiając widok.

– Ty miałeś świetny pomysł jednak – pochwalił Igor pana Wołodyjowskiego. – Jak mu tu jeszcze będzie krew ściekać... a on będzie charczeć... No, super! Jacuś, zacharcz!

Jacuś wydał z siebie bardzo przekonujące rżenie.

– Genialnie – przyznał pan Wołodyjowski. – Bardzo ładny obrazek.

– Weźmie się jeszcze jednego faceta – zastanawiał się na głos Igor – żeby nie trzeba było się tak natyrać...

– Ale to dobrze brzmi, jak tak stękają i przeklinają – oznajmił pan

Wołodyjowski. – To sama prawda.

– No, może i tak, ale wolałbym, żeby wszystko było dopracowane – powiedział Igor, zacierając ręce. – Jacuś, możesz już nie rzeźić.

– Nie... mogę... – wyrzeźził Jacuś. – Sznur mnie... dusi... i boję się... odetchnąć... bo to gówno... się... chwieje... i zaraz się wyrąbię... na mordę!

I jakby na potwierdzenie swoich słów, wzdrygnął się, stracił równowagę i runął razem z palem na twarz. Trzech chłopca w ostatniej chwili zamortyzowało upadek, ale Jacuś i tak przez kilka dni nosił na szyi ślad bruzdy wisielczej.

– No dobra, dobra – powiedział Igor, kiedy pospiesznie rozplątywany z więzów Jacuś w końcu przestał obrzucać go przekleństwami i kreatywnymi propozycjami tego, co mu zrobi, jak się uwolni – to dla nas nauuczka, żeby następnym razem nie obwiązywać ci szyi. No wielkie mi rzeczy. Już tak nie przeżywaj.

– Ja właśnie chcę przeżyć – wycharczał Jacuś.

Stojący nad Jacusem pan Wołodyjowski spojrzał na niego z wyższością. Nic nie powiedział, ale w tym spojrzeniu zawarta była wiadomość o jego wykształceniu i doświadczeniu scenicznym oraz o braku wykształcenia Jacusia.

Jacuś wziął sobie to spojrzenie do serca.

„Czekaj, kurdupłu – pomyślał. – To jedyna okazja w twoim półmetrowym życiu, żeby spojrzeć na mnie z góry. Na przedstawieniu zapłacisz mi za to spojrzenie”.

Po czym poszedł do domu i zdobył się na drastyczny ruch: przeczytał *Pana Wołodyjowskiego*. Prawdziwą książkę, nie streszczenie.

Co prawda nie całą, bo od miłosnych podchodów pana Wołodyjowskiego z Ketlingiem, Krzysią i Bašką rozboleła go głowa i zachciało mu się spać. Jednak wgryzł się w dalszy tekst na tyle, by pojąć istotę charakteru dzikiego i okrutnego Azji. Postać bardzo mu się spodobała, a szczególnie jej krwiożerczy stosunek do pana Wołodyjowskiego. Jednak niektóre uwagi autora obudziły w nim wątpliwości. A Jacuś nie miał zwyczaju zmagać się z trudnościami samotnie.

W środku głębokiej nocy drzwi mojego pokoju otworzyły się

gwałtownie. Mam mocny sen, więc mnie to nie obudziło. Nie obudziły mnie także słowne sygnały. Obudziło mnie dopiero gwałtowne potrząśnięcie.

– Pina, do kurwy nędzy! – wysyczał mój współlokator Wojtek.
– Odbieraj swoją jebaną komórkę, bo ludzie spać nie mogą!

Moja komórka, przez przypadek zostawiona w kurtce w przedpokoju, dzwoniła wytrwale od pięciu minut, budząc obu moich współlokatorów.

Półprzytomna wyciągnęłam rękę. Wojtek wcisnął mi w nią dzwoniący telefon i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Hmm? – wymamrotałam do słuchawki.

– No więc powiedz mi, Pina – rozległ się całkowicie przytomny i czemuś trochę obrażony głos Jacusia – jak już raczyłaś odebrać... co Sienkiewicz miał na myśli, jak pisał, że Azja krakał?

Mój otumaniony mózg przez jakiś czas nie chciał się pogodzić z tym, co usłyszały uszy. Potem postanowił udawać, że nic się nie wydarzyło, i iść spać, ale Jacuś mu nie pozwolił.

– No? No?! – rzucił z pretensją, kiedy cisza się przedłużyła. – No co tak nic nie mówisz? Śpisz?

– Ależ skąd, Jacusiu – powiedziałam.

Ironia nie dotarła do Azji, pochłoniętego przygotowaniami do roli.

– No to co tak nic nie mówisz? Co Sienkiewicz miał...

– Jacusiu, skarbie – jęknęłam. – Skąd ci się wzięło wrażenie, że znam odpowiedź na to pytanie?

– Może stąd, że to przez ciebie jutro wydlubią mi oczy i nabiją mnie na pal! – wycedził Jacuś. – Więc jak nie znasz odpowiedzi, to ją szybko poznaj, bo ja się nie dam temu karaczanowi bezkarnie upokarzać! Wiedziałaś, gdzie oni wsadzili temu Azji pal? Wiedziałaś?

– Każdy gimbus wie – syknęłam.

– Nie każdy – odparł Jacuś naburmuszony. – Ale jutro cała szkoła będzie się ze mnie śmiała. Ja im na to nie pozwolę! Ja tak to zagram, że będę bisować to nabijanie na pal!

– Czułam, że ci się spodoba – mruknęłam i natychmiast dodałam, nie dając mu czasu na wybuch: – To o co chodzi z tym krakaniem?

– „Tuhaj-bejowicz zwarł szczęki, wreszcie jednak nie wytrzymał

– zęby jego wyszczerzyły się okropnie, a z gardzieli wydobył się krzyk: A! A! A! – do krakania kruka podobny” – przeczytał Jacuś. – Jak ja mam to zagrać?

– No, drzyj się – poradziłam, trąc oczy.

– O, nie. Nie, kochana. Ja to muszę zagrać tak, żeby temu kurdupłowi wsadzić w mordę dyplom ze szkoły aktorskiej. Tak, żeby mu dupą wyszedł! Jak kracze kruk?

– No nie wiem, pewnie jak wrona – powiedziałam. – Sprawdź w internecie na jakiejś stronie ornitologicznej.

– Sprawdziłem. Ale tu jest jeszcze napisane, że jak pał zaczął przenikać moje jestestwo, to poczułem ból graniczący z potworną rozkoszą. To też musi być słyhać w tym krzyku. Posłuchaj tego. – Jacuś odkaszlnął i zaprodukował ochryply wrzask. – Jak to brzmi?

– Jak kot w marcu – burknęłam. Zaczęło do mnie docierać, że ta rozmowa szybko się nie skończy.

– A była w tym potworna rozkosz?

– Nie odczułam.

– Skup się! – zażądał zdenerwowany Jacuś. – Aaaa! Aaaa! Aaa! No więc? Czujesz rozkosz?

– Nie, Jacusiu – powiedziałam z nieco zaciśniętymi szczękami.

– Wciąż jakoś nie czuję rozkoszy.

– No to już nie wiem! – zaczął desperować Jacuś. – Co robić? No, co robić?

Zacząłam się zastanawiać.

– Poczekaj, bo dopiero zaczynam się budzić. Wrzaśnij jeszcze raz – poleciłam.

Jacuś posłusznie wydał z siebie wrzask konającego Azji. Pomyślałam, że jeszcze trochę i zaczną się do niego złazić kocury z dzielnicy.

– Może obniź głos – poradziłam. – Żebyś tak nie miauczał.

Jacuś zmodyfikował wrzask i zaprezentował efekt.

– Tak?

– Nie, bardziej tak – powiedziałam i sama zaczęłam wydawać z siebie gardłowe krakanie, dbając o to, żeby brzmiała w nim też nutka strasznej rozkoszy.

– O, to dobre! – zachwycił się Jacuś. – A mnie nie wychodzi. Jak ty to robisz?

– W gardle tak mi wibruje – powiadomiłam go, zadowolona z sukcesu i już całkiem obudzona. – O tak: Aaaa! Aaaaa! Aaaa!!! No? Jest rozkosz?

Drzwi mojego pokoju otworzyły się i w progu stanęli Wojtek z Grześkiem. Nic nie powiedzieli, ale to milczenie przerażało.

Krakanie zamarło mi na ustach.

– Pracuję nad rolą – powiedziałam szybko. – I już kończymy. Sorry, chłopaki.

– Jak jeszcze raz będziesz udawać o trzeciej nad ranem papugę w sekstelefonie, wylatujesz stąd na zbity pysk – zapowiedział Wojtek.

– Na dziób – mruknęłam, żeby mieć ostatnie słowo. – Muszę kończyć, Jacusiu, powodzenia – szepnęłam w słuchawkę.

Jacuś już się rozłączył, zajęty doskonaleniem przedśmiertnego wrzasku Azji.

*

Idąc rano na wykon w bogatym gimnazjum, zapewne czuł się, jakby naprawdę czekała go egzekucja. I w pewnym sensie tak właśnie było.

Odkryliśmy bowiem, że publiczność, w której właśnie zaczynają się budzić hormony, jest dziesięć razy gorsza od publiczności przedszkolnej, do tej pory królującej w najgorszych snach Jacusia. Widownia wyglądała jak wzburzone morze albo bardzo duża klatka z bardzo pobudzonymi małpami.

– Trochę się boję – szepnęła Weronika, spoglądając przez szczelinę w kurtynie. Bogata szkoła dysponowała salą ze sceną, z kurtyną i reflektorami.

– Nic ci nie zrobią – pocieszał pan Wołodyjowski bez przekonania.

Pan Nowowiejski spojrzał na niego i nic nie powiedział. On, w przeciwieństwie do gwiazdora serialowego, miał za sobą granie w teatrze dla szkół.

– Nie o to się boję – mruknęła Weronika, poprawiając pas z szabelką, o którą się nieustannie potykała. – Boję się o to, że ja im coś zrobię. Jak nie wytrzymam i nabluzgam, to nam zapłacą?

– Na widowni siedzi dyrektorka – odparł zdenerwowany Igor.
– Zgadnij.

– Zgadłam. A ty, Jacuś, mógłbyś na scenie nie robić tej sztuki z oczami?

– Jakiej sztuki z oczami? – wymamrotał nieprzytomnie zdenerwowany Jacuś.

– Nie potrafię tego opisać. Patrzysz na mnie jak zezowaty hipnotyzer. Co to ma być?

– Żbicze spojrzenie – wyjaśnił Jacuś z wyższością. – Azja ma żbicze spojrzenie. Sprawdziłem w Wikipedii, jak patrzy żbik. Właśnie tak. Mogłabyś przeczytać książkę, wiesz.

Weronika zgrzytnęła zębami.

– Niech to się w końcu zacznie – odezwała się Ewka Nowowiejska.
– Jak się szybko zacznie, to się szybko skończy.

– No to w imię Boże – zdecydował Igor. – Jedziemy. Dajmy tym zwierzętom krew i seks.

– Dajmy – zgodziła się Ewka, spoglądając Jacusiowi w oczy.
Jacuś wydał zduszony odgłos, zapowiadający rzeźnię Azji na palu.

Przedstawienie się rozpoczęło. Otwierająca scena nie zachwyciła wymagającej publiczności.

– A otóż zjechałem tu z Ewulą... – mówił pan Nowowiejski, wprowadzając na scenę swoją córkę.

Widownia powitała ją wyciem.

– Pokaż cycki! – zakrzyknięto z pierwszych rzędów.

Dyrektorka odwróciła się gwałtownie, szukając winnego. Tymczasem na białej koszuli pana Wołodyjowskiego pojawiło się kilkanaście czerwonych światełek.

– Zaraz cię zastrzelą – mruknęła Ewka Nowowiejska.

– Poproszę – odmruknął pan Wołodyjowski.

Młodzież, posiadająca wskaźniki laserowe, bawiła się z ich pomocą bajecznie do momentu wkroczenia dzikiego Azji. Jacuś, który

jak wiadomo, na scenie jest kilkanaście razy lepszy niż na próbie, włączył dodatkowo jakieś reaktory produkujące feromony i atmosfera w sali zrobiła się duszna. Młoda dzicz zamilkła. Czerwone światełka zgasły. Od czasu do czasu rozlegało się czyjeś drżące westchnienie. Dzikie spojrzenie obwiedzionych czarną kreską oczu Jacusia uwięziło wszystkie serca na sali.

Wówczas przedstawienie zmieniło się w solowy popis Azji, któremu pan Wołodyjowski od czasu do czasu nieudolnie usiłował odebrać prowadzenie. Jacuś rozdarł koszulę, eksponując chudy, lecz dziwnie pociągający tors – widownia zastygła jak porażona prądem. Jacuś odegrał gorącą i nieprzyzwoitą scenę z Weroniką, której wyznawał miłość nie tylko słowami, ale i czynami – widownia nie śmiała nawet odetchnąć. Jacuś oberwał od Weroniki pistoletem w oko, zalewając się krwią – widownia jęknęła. Straszny jednooki Jacuś z sadystyczną powolnością podrzynał gardło staremu Nowowiejskiemu – na widowni zrobiło się tak cicho, że nawet nie trzeszczały krzesła.

W końcu gdy Azja został pomyślnie nabity na pal, pan Wołodyjowski wygłosił monolog, którego nikt nie słuchał, i kurtyna się zasunęła, widownia otrząsnęła się z czaru i podziękowała za występ hucznymi brawami.

– Kłaniać się! – syknął Igor.

– Jak mam się kłaniać na tym palu, debile?! – wrzasnął szeptem Jacuś. – Rozwiążcie mnie!

Igor skoczył do niego.

– Noż w mordę, kto to zawiązywał? Ani drgnie!

Widownia wyła i tupiała, domagając się aktorów.

– Dawajcie jakiś nóż! – krzyknął Igor.

– Jaki nóż! – zdenerwował się spragniony oklasków pan Wołodyjowski. – Będziemy go rozcinać pięć minut. Otwierajcie kurtynę, tak się ukłonimy!

Rzucił to tak pewnym siebie tonem, że woźny bez sprzeciwu wcisnął guzik. Kurtyna rozjechała się na dwie strony, ukazując wdzięcznie kłaniających się aktorów i sinego z wściekłości, związanego jak baleron Jacusia na palu.

– Chociaż im pomachaj, chłopie, czym tam możesz – poradził pan

Wołodyjowski złośliwie.

Jacuś nie wytrzymał. Zrobił taki ruch, jakby chciał się rzucić na aktora.

Lubię wyobrazić sobie tę scenę z punktu widzenia pana Wołodyjowskiego. Bardzo wysoki Jacuś, odziany w najeżoną jakimiś twardymi wypustkami zbroję, w hełmie ze szpikulcem na czubku, robi gwałtowny ruch całym ciałem. Słup zaczyna się chwiać. Kurdupel Wołodyjowski spogląda w górę i widzi, jak kolczasty Jacuś zaczyna się przechylać ku niemu, by w końcu runąć z niemiłosiernym rozpędem. Mały rycerz przez chwilę rozpaczliwie usiłuje utrzymać na sobie kłującego Jacusia ze słupem, ale traci równowagę i przewraca się na wznak. A do tej pory niesprawiająca żadnych kłopotów szabla teraz nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności odwraca się podczas upadku i staje na sztorc, by wbić się małemu rycerzowi tam, gdzie on przed chwilą wbijał pal Azji.

Upośledzony wzrostowo aktor serialowy, który tak domagał się mocnego finału, otrzymał mocny finał – w niespodziewanej, lecz jakże atrakcyjnej dla widza i Jacusia formie.

– No mówię wam – oznajmił nam tego samego dnia szczęśliwy, spełniony Jacuś z podbitym okiem i zadraśniętym policzkiem. – W życiu bym się nie spodziewał, że kontakt z tym kurduplem może mi dać tyle przyjemności...

ROZDZIAŁ PIĄTY,

czyli o tym, jak kibel warczał na Walkę i co ziało ogniem

Po *Panu Wołodyjowskim* i dżobie u bogaczy moi koledzy zaczęli grać w grę *Co Zrobimy Pinie, Jak To Się Wszystko Skończy*. Bo oczywiście fakt, że przyniosłam do wspólnej kasy górę pieniędzy, był mniej ważny od tego, że wytypowani do misji Walka i Adrian musieli się nauczyć na pamięć czterdziestu hitów disco polo. Od razu powiem, że gra cieszyła się ogromnym powodzeniem i odżywała szczególnie w pociągach i busach, którymi zmierzaliśmy na miejsce różnych wykonów. Oczywiście najweselej było, kiedy musiałam słuchać, co dla mnie zaplanowali. Zdarzało się, że po dwudziestu minutach milczącego wpatrywania się w listopadowe pola za oknem Weronika przemawiała zduszonym głosem:

- Narobiłabym jej do butów.
- Wyjściowych czy kapci? – uściślał ktoś.
- Wyjściowych.
- Półbutów czy kozaków?
- Kozaków, żeby do ostatniej chwili się nie zorientowała. Najlepiej zamszowych, boby nie doczyściła. Z prawdziwego zamszu.
- Nie stać mnie na kozaki z prawdziwego zamszu – oznajmiałam z satysfakcją.
- Poczekam – odpowiadała Weronika, nie odwracając się od okna.
- Ja potrafię bardzo długo czekać.
- Osiem punktów – oceniał ktoś, przeważnie Adrian, który od zawsze był dobry w rankingach i tabelkach.
- Czemu nie dziesięć?
- Za czynnik opóźnienia. Nie będę czekać dziesięć lat, aż się dorobi, żeby jej narobić.
- Ubrałabym ją w gacie z bananów – odezwała się Helena, wpatrzona w szosę, którą mknęliśmy na Dzień Buraka w Świętochłowicach. – I wrzuciła do klatki z małpami w zoo. W porze

odwiedzin wycieczek szkolnych.

– Słabe – mruknął Jacuś.

– Słabe – zgodził się Adrian.

– Bo ja wiem – wymamrotałam pod nosem.

– Zdjęcia jej będą robić – zauważyła Helena.

– No właśnie. Jeszcze gwiazdą zostanie.

– W klatce z małpami już jestem zamknięta – odpowiadałam na to bez urazy.

Dzięki tej miłej zabawie żadna trasa nam się nie dłużyła.

A początek zabawy był następujący:

W poniedziałek po dzobie u bogaczy miałam kolokwium, więc nie zadzwoniłam od razu do Adriana i Walki. Możliwe też, że trochę się bałam, bo mimo wszystko czterdzieści piosenek disco polo ma swoją wagę.

Nie spodziewałam się jednak, że zastanę ich w Salmonelli już o czwartej. Siedzieli obok siebie, bez słowa, w bezruchu. Z daleka wyglądali na pokłócone małżeństwo, z bliska – bardziej na jedynych ocalałych z wypadku. Spojrzeli na mnie jednocześnie, jakby porozumieli się telepatycznie.

Podeszłam do nich ostrożnie, rozważając wszystkie możliwe scenariusze, włącznie z tym, że rzucą mi pieniądze pod nogi i wyjdą, zrywając ze mną kontakt na zawsze.

– Chcecie mi coś zrobić? – zagałam nieśmiało.

Wymienili spojrzenie, wtedy dla mnie niemożliwe do rozszyfrowania.

– Bo jeśli tak, to zrozumieć – dodałam.

Walka i Adrian milczeli przez chwilę. Najwyraźniej podczas tego wyjazdu stali się umysłem zbiorowym i właśnie dyskutowali.

– Poczekamy na innych – oznajmił w końcu Adrian.

Z czego wywnioskowałam, że zaplanowali samosąd.

Czekając na innych, przyglądałam się ukradkiem Adrianowi i Walce. Nie wyczuwałam złych wibracji. Prędzej szok. Przy czym u każdego z nich ten szok miał inne zabarwienie.

Stopniowo zeszła się reszta grupy. Każdy siadał, pełen złych przeczuć, i pogrążał się w milczeniu, od czasu do czasu łypiąc na tych

dwoje.

– Jest bardzo źle? – nie wytrzymała w końcu Weronika.

– Jeszcze Monia – powiedzieli jednocześnie.

Umysł zbiorowy, wiedziałam.

– Nie powinni więcej jeździć razem – mruknął Jacuś,
potwierdzając moje podejrzenia.

Monia nadeszła i przestraszyła się tak samo jak pozostali. Usiadła bez słowa.

– Oto, jak było – zaczął Adrian biblijnym tonem. – Ten twój kumpel zawiózł nas swoim samochodem. Myślałem, że po drodze jeszcze trochę się pouczę tych piosenek, ale gdzie tam...

Okazało się, że Walka nie potrafi zapamiętać tekstów. Jako osoba, która skończyła szkołę muzyczną – w dodatku osoba genialna – potrafiła od razu zapamiętać raz usłyszaną melodię. Mówiła, że była najlepsza w dyktandach pamięciowych – czymkolwiek są.

Z tekstami było gorzej. Właściwie tak bardzo źle, że w końcu kumpel zatrzymał samochód na poboczu i obaj zaczęli odpytywać Walkę.

– Mała, figlarna niczym cud – śpiewała posłusznie – trafił mi się...

– No? – ponaglił ją Adrian, kiedy milczenie za bardzo się przeciągało.

Walka milczała.

– No przecież się rymuje – dodał kumpel.

– Jest jedno słowo, które mi się rymuje, i wątpię, żeby to było to – powiedziała Walka ponuro.

– Szczęścia łut – powiedział kumpel. – To przecież logiczne.

– Jasne, logika. Istota disco polo – mruknęła Walka.

– I rymy dokładne. Nie pyskuj, tylko wkuwaj. Wieczorem, kiedy gwiazdy mocno śpią, wieczorem zaśpiewajmy razem...

– Z nią?

– Song.

– Rymy dokładne – wymamrotała Walka pod nosem. – Może ja po prostu coś tam zmyślę?

– Niech cię ręka boska broni. Fani cię rozszarpią – ostrzegł ją kumpel.

– Co gorsza, nie zapłacą – dodał Adrian.

Po dziesięciu minutach przepytywania otarł pot z czoła.

– Dobra, to inaczej – zdecydował. – Jedźmy do papierniczego.

Porozpisujemy to na dużych kartkach, porozkładamy kartki za odsłuchami i nikt się nie kapnie.

– Jak coś spieprzycie, to już więcej mnie tam nie zaproszą – zapowiedział kumpel. – A to jest bardzo dobry kontakt i nie chciałbym, żeby został spieprzony.

– Nie zostanie – zapewnił go Adrian z taką pewnością, jakby w to wierzył. – Jeszcze dostaniesz na nich wyłączność, zobaczysz.

Mój kumpel spojrział na niego przeciągle. Na szczęście nie zauważył żyłki pulsującej mu na skroni – jedynej oznaki zdenerwowania u Adriana, przy którym nawet głowy z Wyspy Wielkanocnej wyglądają jak ofiary ADHD.

Walka przez całą drogę do papierniczego siedziała z miną żalostnego szczeniaka. Wychowana w muzycznej dyscyplinie, porażkę z tekstem traktowała bardzo poważnie.

– Dlaczego ty nie masz kłopotu z zapamiętaniem tych bredni?
– spytała Adriana.

– Uważałbym z takimi opiniami – odezwał się kumpel z za kierownicy. – Zwłaszcza jak wjedziemy na terytorium gospodarza.

Walka, od urodzenia słuchająca Wagnera, nie skomentowała.

– Dlaczego? – powtórzyła z uporem.

Adrian poprawił okulary – znak ostrzegawczy znany nam wszystkim.

– Historia rodzinna – powiedział i odwrócił głowę.

Walka знаła go na tyle, żeby nie drażnić tematu. Wyrzuty sumienia dręczyły ją tak bardzo, że aż poświęciła sześć własnych złotych na blok techniczny i wypisała na kartkach wielkimi literami wszystkie teksty poetyckie, które za nic nie wchodziły jej do głowy. Adrian obiecał, że wkroczy do akcji i przejmie piosenkę, gdyby mimo to straciła wątek.

– No więc? – przerwałam im opowieść. – Bo macie gęby, jakby się wam tam stała krzywda, na razie krew się nie leje...

Walka i Adrian spojrzeli na mnie wzrokiem zapowiadającym, że jeśli tak mi się spieszy, to krew, owszem, może się polać.

– A potem zjechaliśmy z głównej drogi – podjęła Walka. – I jakiś czas jechaliśmy przez jakiś zagajnik czy zdziczały park. Aż dojechaliśmy do bramy...

Brama była trzymetrowa, złota od góry do dołu, u spojenia skrzydeł zwieńczona koroną. Na kolumnach, w których tkwiły zawiasy, siedziały orły napoleońskie, z tym że udoskonalone, bo również w koronach.

– Czyli, że ten... jakby Wersal – odezwała się Walka, przyklejona do szyby.

Mój kumpel zachichotał złowieszczo pod nosem.

W gęstniejącym jesiennym zmroku jechali bardzo długą aleją wśród zapalonych latarni. Latarnie były oczywiście złote. Świeciły zaś na różowo.

– To jest na pewno dom mieszkalny? – spytał Adrian z lekkim niepokojem, bo wszystko wskazywało na to, że zmierzają do burdelu dla gangsterów.

– Na pewno – oznajmił mój kumpel dziwnym tonem.

Wzdłuż krętego podjazdu ciągnęły się szpalery drzew, więc Walka i Adrian do ostatniej chwili trwali w napięciu, wyobrażając sobie, co im się za chwilę ukaże. Z koncepcji domu uciech zrezygnowali i pod koniec byli już gotowi na coś rozmiarów Luwru.

Tymczasem zza drzew wyłoniło się coś całkiem innego.

W samochodzie przez jakiś czas słychać było tylko warkot motoru.

– A może to w tych ciemnościach tak... – zaczęła Walka.

– Nie – uciął mój kumpel.

– Ale czy to możliwe? – spytała Walka, do ostatniej chwili przeciwstawiając się świadectwu własnych oczu.

– Tak – powiedział mój kumpel z uśmiechem.

Zbliżali się do bardzo dużego, bardzo różowego pałacu.

– Ja go już gdzieś widziałam – powiedziała Walka po chwili z trudem.

– Zamek Barbie – mruknął Adrian. – Moja siostrzenica ma taki sam.

Walka pokiwała głową, nie odrywając wzroku od różowego cuda.

– A może wracajmy? – zaproponowała nieśmiało.

Kumpel zatrzymał samochód.

– Nie pękaj. Oni nie są nienormalni. Po prostu taki mają gust. I pieniądze, którymi go wyrażają.

Razem z Adrianem zaczęli wypakowywać sprzęt. Walka przez chwilę siedziała, szukając w sobie odwagi, żeby wysiąść.

– A może nie każdy powinien mieć pieniądze? – powiedziała do siebie.

*

Walka nie zdziwiłaby się, gdyby do pałacu zostali wpuszczeni wejściem dla służby. Nie zostali, bo wejścia dla służby nie było. Architekt jeszcze nie zdążył nabyć przesądów społeczeństwa klasowego. Dlatego też wkroczyli głównymi drzwiami w szaleństwo marmurów, różów weneckich, białych stiuków i mebli na zwierzęcych łapach. Mój kumpel, który znał drogę z poprzedniego wykonu, prowadził pochód. W połowie schodów zatrzymał się i przywitał z kobietą, którą Walka wzięła za panią do sprzątnięcia. Dlatego trochę się zdziwiła, kiedy kumpel przedstawił ich przypuszczalnej pomocy domowej.

Przypuszczalna pomoc domowa spojrzała na Walkę bez zachwytu, wzięła kumpla za łokieć i odprowadziła go dwa kroki na bok.

– Ta pani to kto? – spytała, w dalszym ciągu doskonale słyszalna.

– Wokalistka, tak jak sobie życzył małżonek – powiedział kumpel, prawie bijąc pokłony. Pod nieruchomym wzrokiem rzekomej pomocy domowej zaczął się pocić. – Kobieta – dorzucił pomocniczo.

Osoba o powierzchowności pomocy domowej jeszcze raz się upewniła, że Walka wygląda, jak wygląda.

– Taka gruba? – spytała w końcu ze zgorzaniem.

Adrian znieruchomiał. Walka zajęła się oglądaniem złotego stolika na trzech łapach, natomiast kumpel rzucił się zachwalać talent Walki nieprzejeźdźnię szeptycznej babie.

Adrian stanął obok Walki.

– Podziwiasz wystrój? – spytał.

– Myślę, co zrobię tej krowie, jak wrócę – wycedziła Walka przez

zęby.

Adrian bez problemu odgadł tożsamość krowy.

– Jeszcze nie uzbieraliśmy nawet połowy – powiedział surowo.

Walka przez jakiś czas broniła się przed tą prawdą. W końcu poszła na ustępstwo.

– Myślę, co jej zrobię, jak to wszystko się skończy.

Adrian pokiwał głową. Potem poprawił okulary i zapatrzył się w dal. Powoli jego stroskana twarz odprężyła się w uśmiechu. On też myślał, co mi robi. Gra zapuściła korzenie.

*

– Musisz jej wybaczyć – powiedział kumpel do Walki w pokoiku służącym jako garderoba. – Oni dopiero się wzbogacili. W drugim pokoleniu jest już lepiej, a trzecie...! Jeszcze będą stypendia fundować!

Walka bez słowa przebierała się w odzież roboczą. Jako córka wiadomego rodu świadomość tego, co należy nosić na scenie, miała w genach. W luźnej cekinowej sukience, która eksponowała jej zgrabne nogi i wybitny biust, zmieniła się w młodszą siostrę Moniki Bellucci.

– Wystarczy, że zapłacą – mruknęła, zaczynając malować migdałowe oczy. – Nie obchodzą mnie ich pokolenia.

– A mnie obchodzą – powiedział mój kumpel. – Mam nadzieję, że będą żyć długo i szczęśliwie i robić dużo imprez.

I tu kumpel zaczął snuć smutną opowieść o pracodawcach, którzy obiecują pieniądze, a potem nie płacą. Walka nie słuchała, bo знаła temat na pamięć z rodzinnych spotkań. Adrian nie słuchał, bo liczył nogi. Krzesła miały kopytka, stoły lwie łapy.

– Ile miesięcy można czekać? – spytał retorycznie kumpel.

– Szesnaście – wymamrotał Adrian.

Walka łypnęła na niego nieumalowanym okiem.

– Osiemnaście – poprawiła, od razu wiedząc, o co mu chodzi.

– Szesnaście. Trzy krzesła i stół. Coś jeszcze?

– A o. – Walka wskazała szczoteczką do tuszu kaloryfer.

Dla odmiany stojący na ptasich szponach.

– No dobrze – przerwała opowieść zniecierpliwiona Weronika.
– Bardzo to ciekawe i w ogóle, ale co tak siedzicie z pretensjami jak dwie stare panny? Skrzywdził was tam ktoś?

– Weroniko – powiedziała Walka dobrze postawionym głosem, bez wysiłku docierającym do wszystkich kątów Salmonelli. – Ja nie po to zaśpiewałam dwadzieścia pięć hitów disco polo plus bisy, żeby teraz streszczać się w dwóch słowach.

– My już cierpieliśmy – dodał Adrian.

I oboje spojrzeli na mnie takim wzrokiem, że poczułam się jak darmowy kebab.

Biesiada rozpoczęła się o siódmej. Dla zespołu przewidziano miejsce na estradce w kącie sali, przy której stał niewielki stoliczek z poczęstunkiem – dla podtrzymania sił podczas długich godzin pracy. Jeden termos z kawą (bardzo popularny), drugi z herbatą (zgodnie zlekceważoną przez oboje wokalistów ze względu na wysuszenie strun głosowych), paluszki (przypadły w całości pianiście, bo okruszki osadzają się na strunach głosowych), ciastka (pożarte przez chłopców) i owoce (zaklepane przez wiecznie katującą się dietą Walkę). Wyglądało na to, że śmierć głodowa im nie grozi. Co prawda gospodarze nie zapewnili wody, tylko słodkie napoje gazowane, jednomyślnie wzgardzone przez cały zespół, ale Walka i Adrian profesjonalnie przywieźli ze sobą po dwie butelki wody do nawilżania gardeł. Byli gotowi.

– Byle poszedł pierwszy set – mruknął pianista. – Potem się schleją i przestaną uważać.

– Ale będą bardziej awanturujący się – zauważył przytomnie Adrian.

Mój kumpel przypomniawszy sobie różne przeżycia z poprzednich wykonów i westchnął.

Wchodząc na scenę, każde z nich na swój sposób modliło się o cud. Nie chcieli dużo: żeby widzowie byli już zbyt pijani, by nie usłyszeć, jak się tu kaleczy ich ukochane piosenki. I cud faktycznie nastąpił, tylko inny. Głównie za sprawą Walki, która zawsze na scenie stawała się inną osobą. Tutaj dodatkowo chciała udowodnić, że się nadaje. Z grubej, myślącej słowa dziewczyniny przedzierzgnęła się

w powabnego demona scenicznego, wkładającego w piosenki tyle ognia, że nawet koneserzy gatunku zaczęli kiwać głowami do taktu. Mój kumpel, który już widział, jak dobroczyńca przepędza go yorkami ze swojego różowego zamczyska, odetchnął. Po skończeniu seta wypowiedział największy komplement, jaki może paść z ust muzyka: „Spoko”. I zarządził pół godziny przerwy.

Walka usiadła przy stoliku, jeszcze drżąc z wysiłku. Adrian poszedł do łazienki. Wrócił bardzo szybko.

– Idź się wysikać – rozkazał Walce.

Walce, której stres zacisnął wnętrzności, wszystkie czynności fizjologiczne były w tej chwili obce.

– Nie muszę – powiedziała.

– Musisz – odparł na to Adrian z taką gwałtownością, że wstała i poszła do łazienki bez dalszych dyskusji. Może działo się z nią coś, czego sama nie zauważała? W tym dniu była gotowa w to uwierzyć.

Przebiegająca z tacą pani w fartuszkach wskazała jej właściwe drzwi. Walka otworzyła je i niespodziewanie znalazła się w krypcie.

Marmur, marmur, wszędzie czarny marmur. Czy powiedziałam już, że wszystkie pokoje w zamku Barbie były potwornie wysokie? Strzelające w nieboskłon ściany oświetlało bursztynowe światło z mosiężnych kinkietów o złotych szybkach. Wszystko wyglądało ponuro, dostojnie i cmentarnie.

Łazienka składała się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym umieszczono umywalkę z lustrem na całą ścianę oraz ręczniki – oczywiście czarne jak pogrzebowe chorągwie. Do drugiego wiodła brama Walhalli.

Walka z drżeniem nacisnęła klamkę.

Za bramą Walhalli wznosił się tron. Monumentalny, straszny, wyniosły. Wyniosły, bo stojący na cokole, na który wchodziło się po dwóch schodkach. Nieskazitelną czerń tronu podkreślały złote funeralne girlandki na rezerwuarze.

Walka jak we śnie weszła po schodkach, choć skręcone pod wpływem szoku wnętrzności wykluczały skorzystanie z tronu. Chciała tylko doświadczyć tego, co było udziałem siedzących na cokole – spojrzeć na otaczający ją świat z góry niczym władczyni podziemnego

mocarstwa.

A kiedy sobie spojrzała i zrobiła krok naprzód, żeby zejść z cokołu, tron zacharczał. Charkot zdawał się dobiegać z tamtego świata, jakby ołtarz czarnego boga przywołał z zaświatów jakiś nieludzki byt... Walka rzuciła się do panicznej ucieczki, nie słysząc już, jak automatyczny mechanizm inicjuje spłukiwanie wody.

Wstrząśnięta, oszołomiona, wpadła na kolejną panią w fartuszkach. Ta miała obwiedzione grubą kreską dzikie oczy bogini kanibali i wściekle czarne węzowe loki. Prerażona Walka odwróciła wzrok od tego przerażającego widoku i skamieniała ze strachu. Bogini kanibali niosła tacę, na której unosiły łby dziesiątki węży!

Sparaliżowana Walka stała w korytarzu jak pomnik zgrozy. Po chwili minęła ją druga kobieta z tacą pełną węży. Przy trzeciej ochłonęła na tyle, żeby spojrzeć uważniej.

Następna kelnerka, także kruczowłosa i opalona w stopniu nieprawdopodobnym pod naszą szerokością geograficzną, niosła tacę z artystyczną kompozycją z owoców. Z morza winogronowych kulek wychylały się nie węże, lecz delfiny, przemyślnie przysposobione z rozciętych na końcach bananów w skórkach. Rozcięcia były pyszczkami, w których łypiące oczkami z goździków delfinki wesoło trzymały kulki winogron. Całość wyglądała figlarnie i tylko zmały umysł Walki mógł w tym dostrzec węże bogini Kali.

Zaraz potem nadeszła nowa transza brunetek. Walka zaczęła podejrzewać, że w okolicy albo była wyprzedaż hebanowej henny, albo właściciel miał fantazję zatrudnić same południowe piękności. W dodatku te czarnowłose czarodziejki niosły na tacach... głowy.

Artysta najęty do wykonania owocowych rzeźb najwyraźniej czerpał inspirację z gry Angry Birds, gdyż w wyszczerzonych mordach, uzyskanych z małych arbuzów i dużych melonów, zwieńczonych ananasowymi pióropuszcami, dawało się dostrzec duże podobieństwo do Króla Świń – tylko takiego, którego opętał jakiś demon. Arbuzowe mordy szczerzące żółtawe zęby, za którymi majaczyła krwawa czerwien mięszu, wybałuszały ślepią w postaci gigantycznych śliwek. Długie białe ryje zostały pracowicie wyciosane z jakiegoś twardego warzywa, którego Walka nie zdążyła zidentyfikować. Każdy łeb otoczony był

oddziałkiem równie zębatych główek z pomarańczy o małych szalonych oczkach. Pomarańcze śmiały się od nieistniejącego ucha do ucha w sposób kojarzący się z działaniem magicznych papierków z kwasem.

Walka podążyła za tym orszakiem bezwolnie jak szczur za Flecistą z Hameln. Dotarłszy do sali bankietowej, ujrzała, jak wszystkie łby, delfinki i chmary uchachanych pomarańczy na haju lądują wokół imperatora owocowych pysków: Arbuzowego Gada z białym grzebieniem na głowie i czerwonymi ślepiami. Jego podłużna paszcza rozchyłała się, ukazując ostre białe zęby i trzy rozdwojone języki.

Walka zrobiła jeszcze kilka kroków. Z bliska okazało się, że to nie języki. Arbuzowy Gad pożerał żywcem trzy delfinki, które nadal uśmiechały się wesoło, trzymając winogronka w mordkach.

Walka zawróciła ku bezpiecznej scenie. Usiadła bez słowa.

– Widziałaś? – spytał wesoło Adrian.

Spojrzała na niego w otępieniu.

– Widziałam rzeczy, których nie da się odwiedzić – powiedziała głucho. W oku błysnęło jej rozżalenie. – Kibel na mnie warczał – poskarżyła się i zapadła w poszokowe milczenie. Adrian rozsądnie postanowił jej nie przeszkadzać.

*

Dwa kolejne sety przebiegły bez problemów. Walka profesjonalnie nie dawała po sobie poznać, w jakim stanie się znajduje. Adrian czuł, żeby w razie wpadki wkroczyć do gry, ale wpadek nie było. Między jedną piosenką a drugą podeszła do nich sama pani domu, przyodziana z przepychem pasującym do wystroju.

– Bardzo ładnie gracie, chłopcy – pochwaliła, konsekwentnie nie przyjmując istnienia Walki do wiadomości. – Znacnie się na rzeczy.

Mojego kumpla nie ucieszył komplement. Kiedy pani domu oddaliła się nieco, przez jakiś czas siedział w milczeniu. Potem po prostu musiał się usprawiedliwić.

– Ja normalnie gram jazz – powiedział. – Tylko że oni tyle płacą...

– Jasne – zgodził się Adrian.

Kumpel jeszcze trochę sobie pomilczał.

– Muzyczna prostytutka – mruknął. Potem nieco się rozpogodził.

– Ale za tę kasę...!

– Właściwie z jakiej okazji się tu wygłupiamy? – spytał Adrian.

– Syn dobroczyńcy ma coś tam – mruknął mój kumpel, przechodząc do kolejnej piosenki. – Studia skończył czy specjalizację zrobił...

– Który to? – zaciekawiła się półgębkiem Walka.

– A o. – Kumpel wskazał jej głową dystyngowanego młodzieńca w doskonale skrojonym, stonowanym garniturze. Młodzieniec był dyskretnie elegancki i szlachetnie skromny jak książę krwi. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że na świat wyszedł z łona różowego zamczyska.

Obok młodego arystokraty siedział jego rówieśnik o urodzie wiejskiego proboszcza. Kiedy spojrzenie Walki zatrzymało się na nim, chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha, upodabniając się raczej do wiejskiego głupka.

Walka odwróciła wyniośle wzrok. Przywykła do wyśmiewających się z niej debili i umiała ich ignorować. Co nie znaczyło, że nie jest jej przykro. Powtarzająca się przykrość jakoś z czasem nie staje się mniejsza.

Debil nadal wlepiął w nią oczy. Wyglądał jak zachwycona żaba, dźgnięta w tyłek piorunem. Walka poczuła, że włosy na karku jej się jeżą.

Wariat na widowni.

W tej samej chwili rozległo się głośnie dzwonienie łyżeczką o kieliszek.

– Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał pan domu.

Wariat odessał się wzrokowo od Walki, która odzyskała zdolność oddychania.

– Mój syn – podjął gospodarz – od miesiąca jest urologiem. Jest bardzo skromny i nie chciał, żeby o tym wspominać, ale to pierwszy doktor w naszej rodzinie, więc...

Gospodarz dał znak i kolejna południowa piękność wtoczyła do sali wózek.

Walka spojrzała, spodziewając się najgorszego.

Najgorsze nastąpiło.

Ale nie w postaci jakiegokolwiek wyszczerzonej mordy czy kłębowiska węży rodem z *delirium tremens*.

Tort był zwieńczony anatomicznym odwzorowaniem męskiego organu rozrodczego, dumnie celującego w sufit.

Walka skamieniała ze szklanką wody w dłoni.

Syn gospodarza domu także wydawał się nieco stropiony. Potem trochę odtajał, najwyraźniej uznawszy, że z punktu widzenia urologii ozdobie nie można niczego zarzucić. Rodzina wiwatowała i klaskała.

– A teraz... niespodzianka! – zawołała pani domu.

Wszyscy ucichli.

– Większa? – mruknął Adrian.

Czarnowłosa piękność zrobiła jakiś nieznacznym ruch i cukierniczy wyrób bluznął w górę fontanną iskier.

– O w mordę – szepnął Adrian.

– Zieje ogniem, skubany – dodał mój kumpel z uznaniem.

Walka nic nie mówiła, bo nie mogła.

Matka szczęśliwego urologa chwyciła za nóż i wbiła go w organ z ciasta.

Zanim rozległy się oklaski, w ciszy rozległ się brzęk.

To szklanka wypadła ze zdrętwiałej dłoni Walki.

*

Moi przyjaciele, umilający gościom spożywanie śmiałej myśli cukierniczej, byli przekonani, że nic już nimi nie wstrząśnie.

Zasadniczo mieli rację.

Z jednym małym wyjątkiem.

Grubo po północy, gdy goście roz hulali się na dobre, a Walka i Adrian zaczęli nieśmiało wierzyć, że ten wieczór kiedyś się skończy, do estradki podszedł pan domu.

– Ja was bardzo szszszanuję – zaczął z pewnym trudem. – Jesteście w porządku chłopaki... – (Najwyraźniej Walka nie miała tu szczęścia).

– Ale mam prośsbę...

– Tak? – spytał mój kumpel ostrożnie.

– Tak sobie właśnie pomyślałem... że zrobiłbym niespodziankę mamusi... Jest taka piosenka, to zagrajcie dla niej, dobrze...? Mamusia się ucieszy.

– Jaka piosenka? – spytał cierpliwie mój kumpel.

– Leciała jakoś tak... Na na na na na na... pam param pam pam param... świaaaat... No, znacie? – zakończył gospodarz takim tonem, jakby odwalił swoją część roboty. Spojrzał wyczekująco na mojego kumpla, spodziewając się pewnie zobaczyć w jego oczach błysk rozpoznania.

Kumpel analizował dźwięki, które wydobyły się z gospodarza. W oku nic mu nie błyskało.

– Jak?

– No... Na na na na na na... pam param pam pam param... i na koniec: świaaaat... Mamusia bardzo to lubi. Na pewno znacie... Płacę ekstra.

Magiczne słowa sprawiły, że kumpel podwoił wysiłki – z żadnym skutkiem.

– Przepraszam – odezwał się Adrian, jak zawsze dystyngowany niczym oksfordzki profesor. – Czy tam dalej nie było tak: „I czarno-białe dniii...”?

– Tak! Tak! To to! – uradował się gospodarz. – Lecę po mamę!

Adrian i mój kumpel w ostatniej chwili chwycili go za marynarkę i przetłumaczyli mu, że potrzeba im co najmniej pół godziny na ogarnięcie tematu. Gospodarz nie chciał o tym słyszeć, ale na szczęście jego mamusia akurat wybyła do toalety. Krakowskim targiem ustalono piętnaście minut na przygotowanie niespodzianki.

– Stary, co to jest? – wysyczał mój kumpel, odpalając laptopa, żeby wysłuchać kompletnie nieznanego mu piosenki i chociaż spisać funkcje.

– I skąd to znasz? – dodała Walka.

– To jest nieśmiertelny przebój *Dwadzieścia lat, a może mniej* – wyjaśnił Adrian z goryczą.

– Chwała Bogu, cztery akordy na krzyż i budowa cepa

– wymamrotał kumpel, gorączkowo pisząc. Włożył słuchawki i szybko przegrał całość, a potem po cichu powtórzył to samo z dźwiękiem na

głośnikach. – Tak?

– Tak – mruknął Adrian niechętnie.

Walka wyczuła, że za tą niechęcią kryje się jakaś smakowita historia.

– Gadaj – powiedziała poważnie.

Adrian poprawił okulary i spojrzał w bok.

– Gadaj – wycedziła Walka. Wszystkie niedole tego wieczoru, do tej pory spychane poza świadomość, powróciły, a wraz z nimi nieopanowana fala emocji. – Nie ma tak, że przez cały dzień tylko mną się poniewiera! Tylko mnie straszy ten sracz z piekła! I węże na talerzach! I świńskie ryje! Tylko mnie się tu obraża! I jeszcze się do nas zwracają: „Chłopaki”! Tylko na mnie się gapi ten wioskowy wariat! A jak mnie porąbie siekierą i obleję egzaminy, to będzie wyłącznie twoja wina, bo nie chciałeś gadać!

Adrian przez chwilę przyglądał się jej, jakby oceniał, czy już wzywać pogotowie.

– Dobra, dobra – powiedział ugodowo. – To bardzo krępująca historia i nie lubię o tym mówić, ale jak cię z tego powodu ma wariat porąbać i jakiś kibel ma za tobą ganiać, to już powiem. Po prostu moja mama kochała tę piosenkę...

Chodzi o to, że Adrian, obecnie boleśnie chudy i z zapadniętymi policzkami, w dzieciństwie był chłopcem okrągłym, serdecznie dokarmianym przez babcię, która wypracowała u niego podwójny podbródek i profesorski brzuszek. Z racji wyglądu idealnie nadawał się na ofiarę kolegów. Tego losu udało mu się uniknąć tylko dlatego, że miał fajne gry komputerowe i dawał kolegom pograć. Sam też dobrze grał, czym zyskał sobie minimalny szacunek. Niestety, jako wychowany w domu pełnym kobiet jedyny syn był pieszczoszkiem i ukochanym synkiem mamusi, która lubiła się nim popisywać na rodzinnych uroczystościach. Okrągły Adrian z wypiętym brzuszkiem, ubrany w białą koszulę z muszką, stawał w dużym pokoju i zaczynał śpiewać, głosem mocnym i ładnym, ale z manierą weselnego wokalisty:

„Nie miiiijałem prawie nic, a chciiiijałem jej darować świaaaaat...”.

Wszystkie ciotce i babcie biły brawo. Aż nadszedł czarny dzień. Dzień, w którym wychowawczynie zorganizowała spotkanie towarzyskie

rodziców i uczniów. Nie trzeba było długo czekać, by mama Adriana wyrwała się z tekstem: „A mój synek ma śliczny głosik! Adrianu, zaśpiewaj to, co lubię”. Naiwne dziecko zaśpiewało...

Trzeba było roku intensywnych wysiłków, żeby koledzy z klasy znowu zaczęli się do niego odzywać.

– No i to właściwie wszystko – zakończył Adrian, a Walka pokiwała głową.

My natomiast siedzieliśmy w Salmonelli i czekaliśmy na ciąg dalszy. Ciąg dalszy nie następował.

– Ja chyba nie rozumiem – powiedziałam. – Siedzicie tu z gębami, jakby ktoś wam krzywdę zrobił... macie do mnie pretensje...

a tymczasem jedyne, co się wydarzyło, to to, że na nią warczał kibel, a tobie kazali śpiewać piosenkę, którą znasz. W czym problem?

– Po pierwsze – przemówił Adrian, nie zwracając na mnie uwagi – wymyśliliśmy z Walką jedną fajną grę. Opowiemy wam przy okazji, na czym polega. Po drugie... – Tu spojrzał na mnie tak, że trochę się cofnęłam. – ...co innego siedzieć bezpiecznie w Warszawie, a co innego przeżywać wszystko osobiście. Następnym razem jak coś takiego nakręcisz, to sama w tym bierz udział.

Walka spojrzała na mnie potępiająco.

– Po trzecie – dodał Adrian, sięgając do kieszeni – tu jest honorarium za *Dwadzieścia lat, a może mniej*. Odpaliliśmy jedną trzecią twojemu kumpłowi, ale nie chciał wziąć. Powiedział, że cały zarobek ma iść na siostrę Moni.

Położył kopertę na stoliku.

Wszyscy spojrzeliśmy na nią jak na bombę. Odważyłam się wziąć ją do ręki i zajrzeć do środka.

Odłożyłam kopertę na miejsce.

– Co tam jest? – zaciekawiła się Weronika.

– Nie wiem – powiedziałam.

– Co, nigdy tego nie widziałaś? – spytała Walka.

– To znaczy wiem. Ale to nie może być to, co mi się wydaje.

– No co tam jest, do cholery?! – zniecierpliwiła się Helena. Wzięła kopertę i przez jakiś czas patrzyła do środka. Patrzyła długo, konkretnie i bez emocji.

- I co tam jest? – spytała Monia.
- Jest tam sporo banknotów – oświadczyła powoli Helena. – Na sumę tak z pięciu tysięcy złotych.
- Zarobiłeś taki majątek na jednej piosence? – spytał Jacuś z szacunkiem.
- Gospodarz był w dym pijany – wyjaśnił Adrian. – Do tej pory czekamy, czy mu się nie odwidzi.
- Może nie – powiedziała Walka. – Mamusia była zachwycona.
- Fach w rękę – mruknął Jacuś z ironią, zza której ostrożnie wyglądała zazdrość.
- Bisował – dobiła go Walka. – A gospodarz powiedział, że chciałby go u siebie widzieć na następnej imprezie.
- A ciebie? – spytałam.
- A do mnie do ostatniej chwili mówił: „Chłopaki”, więc nie oczekuję.
- Po moim trupie – zapowiedział Adrian.
- A to się jeszcze okaże – odezwała się złowieszczo Weronika.
- Za pięć tysięcy można kupić bardzo ładny rower...

ROZDZIAŁ SZÓSTY,

w którym złodziej szeleści, a zwierzęta siadają na stypie

– Owce – rzuciła Walka.

Mój kumpel pomilczał chwilę, wpatrzony w szosę.

– Owce na grobowce siadły – powiedział w końcu.

– Patrz, znowu nam wychodzi pogrzebowo – zauważyła Walka pogodnie.

– Ciekawe dlaczego – mruknął mój kumpel. – Barany.

Mniej więcej od dziesiątego kilometra za Warszawą grali w siadające zwierzęta i coraz bardziej im się to podobało.

– Barany na kurhany siadły – odparła Walka niemal bez zastanowienia.

Oboje jechali na pogrzeb w doskonałych humorach.

Co nie jest objawem zezwierzęcenia. Raczej zdrowej psychiki.

Nikt nie chce, żeby chirurg płakał nad otwartym pacjentem. Tak samo muzyk zapewniający oprawę stypy nie może zalewać się łzami razem z żałobnikami. W tym celu musi się uprzednio uzbroić.

Żaden znany mi muzyk nie powie tego wprost. Ale nawet normalny człowiek w takiej sytuacji ma reakcję obronną. Odkąd pamiętam, na cmentarzu chichoczę jak świr i żadne spojrzenia nie są w stanie tego zmienić. Pewnie gdybym była bardziej osobiście zaangażowana w pogrzeb, sytuacja wyglądałaby inaczej. Na razie na szczęście nie jestem.

Dobra. Po namyśle stwierdzam, że może nie powinnam była podawać siebie jako przykładu normalnego człowieka.

A zatem Walka i mój kumpel o swoich pracodawcach myśleli z normalnym ludzkim współczuciem, a w ramach normalnej ludzkiej reakcji zdrowego organizmu kwiczelili ze śmiechu przez całą drogę. Przez dziesięć pierwszych kilometrów bawili się w znaną i lubianą grę towarzyską Co Zrobimy Pinie, Jak To Się Wszystko Skończy. (Od tego czasu mój kumpel nie patrzy na mnie już tak jak kiedyś. Prawdę mówiąc,

omija mnie wzrokiem. Nie chcę wiedzieć, co wymyślili). Potem przeszli na siadające zwierzęta, które towarzyszyły im aż do końca tej niedługiej podróży pod Warszawę.

Pogrzeb był drugim z dwóch dzobów, które wspaniałomyślnie oddał mój kumpel, wzruszony opowieścią o siostrze Moni. Muszę tu zastrzec, że kumpel nie całkiem kierował się szlachetnością przy oddawaniu tego drugiego grania. Zapewnianie muzycznej oprawy stypy spotkało go po raz pierwszy i był nieco przerażony. Głównie z powodu repertuaru. Nie wiedział, co się grywa na takich imprezach. Znał tylko dwie nadające się na tę okazję pieśni kościelne i nie widział szans, żeby wypełnić nimi ponad dwie godziny uroczystości. W rozpaczy wrzucił w Google hasło „pogrzebowe”. Google opluł go breją tak sprzecznych wyników, że kumpel do reszty się przeraził. Dlatego z ulgą rozłożył odpowiedzialność na dwie osoby.

– Kobiety raczej nie pobiją – powiedział do mnie z zadowoleniem.
– A gdyby nawet, to ona im chyba potrafi oddać.

Tego Walce nie powtórzyłam.

Problem repertuaru Walka rozwiązała w pięć minut. Zadzwoiła do mamy i już po chwili wręczała mojemu kumpelowi czterostronicową listę odpowiednich na tę okazję rozdzierająco smutnych standardów jazzowych i bluesowych. W dodatku większość znała od kołyski, więc zmontowanie programu zakończyło się, zanim się zdążyło rozpocząć. W tej chwili mój kumpel pokochał ją na śmierć i życie.

Z każdą mijającą chwilą upewniał się, że Walka jest odpowiedzią na jego modlitwy: wokalistką z głosem tak wielkim, jak małe miała ego. Ponieważ taka kombinacja z reguły w przyrodzie nie występuje, wyparta przez model z dokładnie odwrotnym układem cech, kumpel, nie wierząc własnemu szczęściu, gorączkowo rozmyślał, jakby się tu stać wyłącznym posiadaczem takiego skarbu.

– Chciałbym ci coś zaproponować – odważył się w końcu.
– Robaki.

– Dziękuję, nie lubię – mruknęła Walka.

– Głupia jesteś. Robaki niech siadają. Mówię o płycie.

– Nagrobnej? – spytała Walka całkiem poważnie, zatopiona w pogrzebowym temacie.

– Naszej. Wspólnej.

Walka odwróciła wzrok od okna i spojrzała na swojego kumpla, jakby w tej oto właśnie chwili zwariował za kierownicą.

– Mówisz o naszej wspólnej nagrobnej płycie – powtórzyła powoli.

– Aha.

– Normalnej płycie, do słuchania! Naszej! Debilko! Bym się też mógł z tobą ożenić, gdybyś na przykład miała ochotę.

Walka odwróciła się w zamyśleniu do okna.

Cisza się przeciągała.

– No i? – nie wytrzymał nerwowo kumpel. – Co powiesz?

– Robaki na hamaki siadły – powiedziała Walka, nie odrywając wzroku od pejzażu za oknem.

– A – mruknął kumpel. – No chyba że tak.

Przez jakiś czas krajobraz jego duszy był tak samo szary i beznadziejny jak obrzydliwość za oknem. Dodatkowo upstrzony ruinami planów na przyszłość.

Potem do swojego kumpla dotarło, że Walka właściwie nie powiedziała: „Nie”. A więc jeszcze istniała nadzieja. Chyba. O ile Walka się nie obraziła... Mój kumpel miał dwie siostry i wiedział, że kobiety lubią się obrażać cholera wie o co i potem nie odzywać do końca życia.

– Grasz czy nie? – rzucił i zastygł w oczekiwaniu.

– Ścierwojady – powiedziała Walka dość normalnym tonem.

Mój kumpel się rozpromienił, jakby znalazł w kieszeni zapomnianych dzinsów dwieście złotych.

*

– Zaraz się powieszę – wymamrotała Walka kątem ust.

– Kiedy, jak nie teraz – odmamrotał mój kumpel. – Cmentarz blisko... Może cię jeszcze obejmie usługa gratis. W pakiecie z tą stypą.

– Jeszcze trochę tu pogramy i oboje nas obejmie szpital dla czubków – odsyknęła Walka.

Mijała pierwsza godzina uroczystości żałobnej. Ciśnienie stawało się nie do wytrzymania.

– Jeżeli coś się za chwilę nie zmieni... – jęknęła szeptem Walka. Wszechświat usłyszał jej prośbę.

W progu domu pogrzebowego stanął facet o urodzie wiejskiego proboszcza.

Walka zaklęła bardzo brzydko i spróbowała schować się za klawisz.

– Odbiło ci? – warknął mój kumpel, jedną ręką przytrzymując kołyszącą się klawiaturę.

– Ratuj – odszepnęła Walka, gwałtownie przedzierając się wśród kabli nagłośnienia. – Nie wiem, jakim cudem, ale to ten świr z różowego zamku!

Przechodzący przez salę świr odwrócił głowę i spojrzał na Walkę, która znieruchomiała na krok przed palmą doniczkową, za którą usiłowała się schronić.

Uśmiechnął się w znany Walce sposób – jak żaba zachwycona tym, że piorun strzelił ją w tyłek.

– A, teraz go sobie przypominam – mruknął mój kumpel. – Po tym głupim ryju.

– On do mnie robi ten ryj – wyjęczała Walka. – Szybko, mów coś do mnie, że niby mamy swoje sprawy! Może się zniechęci...

– Co mam mówić? – rzucił kumpel, ani na chwilę nie przestając grać.

– Cokolwiek! Już!

– Mikroby.

– Co?

– Mikroby. Mikroby niech siadają.

– Jak to: siadają? – wybełkotała Walka w panice, kątem oka rejestrując, że głupek z różowego zamku rusza w ich stronę.

– No w grze. Siadaj mikrobami...

– Mikroby na groby siadły – wyszeptała Walka dramatycznie, wpatrzona w oczy mojego kumpla. – Idzie?

– Idzie. Goryle.

– Goryle... Yyy... o Jezu... goryle...

Mój kumpel dotarł do końca utworu. Ostatni mglisty akord rozwiął się w powietrzu.

– Cześć – rozległo się w ciszy. – Jestem Adrian. Pamiętam was z jednej imprezy.

Walka odwróciła się powoli.

– Goryle – powiedziała.

Głupek chwilę czekał. Potem spojrzał pytająco na mojego kumpla.

– Nie, goryle my się nie nazywamy – powiedział kumpel. – Walka szuka rymu, bo właśnie sobie gramy w siadające zwierzęta.

Walka przymknęła oczy, modląc się, żeby głupek uznał ich za wariatów i poszedł w diabły, gdzie jego miejsce.

– A – powiedział głupek i uśmiechnął się, tym razem z żywą inteligencją. – Siadające zwierzęta. Znam to. Goryle... Goryle na mogile siadły.

*

W zapadającym zmierzchu szłam ścieżką przez tereny leśne wokół uczelni. Całą drogę autobusem zadrezczałam się pytaniem, w jaki sposób delikatnie przekazać zespołowi, że zgłosiłam nas na konkurs teatrów amatorskich. Co prawda od zawsze mówiliśmy, że na niego pojedziemy, ale przez moniowe występy zaniedbaliśmy próby. Nie wiedziałam, jak aktorzy przyjmą wieść o mojej samowolce. Ostatnio zaczęłam się ich bać. W końcu od tego rozmyślania rozboleła mnie głowa. Wysiadłam i dla odprężenia zaczęłam liczyć w myślach pieniądze. Dziś, po odebraniu pogrzebowego urobku od Walki, mieliśmy je przekazać Moni, a ona miała je wpłacić na konto swojej siostry.

W niecały miesiąc, wraz z różnymi drobnymi datkami od znajomych oraz tym, co wpłacali ludzie, do których apelowała Walka podczas swoich koncertów, nazbierało się tego około czterdziestu tysięcy. Wszystko to niosłam w torbie, szczelnie zawinięte w reklamówkę z Biedronki. W życiu nie miałam przy sobie takiej góry kasy i wydawało mi się, że moja torba ziele feromonami, do których zlecają się wszyscy złodzieje w mieście. W dodatku władowałam się w te chaszczki wokół uczelni, po prostu stworzone do napadania i okradania. Aż się prosiły, żeby kogoś w nich zamordować. O ile mi było wiadomo,

dotychczas występował tu tylko jeden ekshibicjonista, ale póki co żadnego złodzieja ani mordercy nie widziano. Taki potencjał się marnował! Im dłużej szłam, tym większą miałam pewność, że zaraz to się zmieni. Od pięciu minut (wydawało się, że lat) przeklinałam się za to, że poskąpiłam tych trzech dych na taksówkę. Może przez następne dni nie szalałabym z jedzeniem, ale za to nie szczękałabym zębami ze strachu na myśl o tym, że w parę chwil stracę wszystko, na co pracowaliśmy w nędzy i ponieważ w przedszkolach i różowych zamkach. Mogłam też stracić życie, co przerażało mnie znacznie mniej. Sto razy bardziej wolałam leżeć podziabana siekierą na kawałki w krzakach wokół uczelni, niż stać przed moim zespołem i tłumaczyć się ze swojej głupoty. Takiego ciosu byśmy nie przetrwali. Koniec piosenek, występów, przygód. Początek szarej obrzydliwości zwanej prawdziwym życiem.

Już prędzej sama podziabiałabym się siekierą.

Pochłonięta tymi myślami, dotarłam do najgęstszej kawałka zadrzewionego odcinka drogi do uczelni. Normalnie przechodziłam tędy z lekkim sercem, nie mając do stracenia nic oprócz życia. W tej chwili torba paliła mnie żywym ogniem.

W krzakach coś zaszeleściło.

„To tylko wiatr – pomyślałam. – Albo dziki. Sympatyczne świniaczki, które pieniądze mają głęboko pod zakręconymi ogonkami”.

Bo dziki faktycznie odwiedzały park i z krzaków często dobiegało ich chrumkanie.

W krzakach nie chrumkało.

W krzakach szeleściło.

Typowym szelestem czającego się złodzieja.

Każdy wie, jak szeleści złodziej.

Znieruchomiałam. Co teraz? Mogłam zawrócić i uciekać w kierunku, z którego przyszłam. Ale wtedy musiałabym znowu przebyć tę samą trasę, żeby się jakoś dostać na uczelnię. Mogłam zejść ze ścieżki i rzucić się biegiem na przełaj przez zalesione tereny. (Mało kuszące). Mogłam zaskoczyć tego gnoja, który chce mnie okraść z dorobku życia zespołu, i ruszyć biegiem przed siebie. Może mnie nie dogoni, zanim wypadnę na otwartą przestrzeń?

Myśl, że otwarta przestrzeń niekoniecznie budzi w złodziejach paniczny strach, nie zaświtała w mojej głowie.

Zanim zdążyłam podjąć decyzję, w krzakach zaszeleściło bardziej i na ścieżkę ktoś wyszedł.

Serce zaczęło mi łomotać. No nie wierzę, to się naprawdę dzieje. Nie, to się nie może dziać! Napady złodzieja mogę przeżywać w wyobraźni, ale na serio? Co teraz, co teraz? Zaszarżować i przebiec obok? A jak to przy okazji morderca? Mam mu się uprzejmie sama podłożyć pod piłę elektryczną?

Stałam tak, usiłując podjąć decyzję. Hipotetyczny złodziej/morderca ruszył w moją stronę. Zdaje się, że źle mi idzie spontaniczne działanie, bo stałam i czekałam, aż przyjdzie i mnie okradnie/zamorduje.

Złodziej/morderca zrobił parę kroków i zatrzymał się w plamie mdłego światła, manipulując w okolicach kieszeni. Być może wyjmował jakieś narzędzie, żeby mnie zaciukać.

Pochylił się trochę i szarawe światło padło na jego twarz.

A mnie z serca spadł kamień.

Poznałam miejscowego ekshibicjonistę zwanego Panem Gołym.

– Dzień dobry – powiedziałam serdecznie, zanim zdążyłam się zastanowić. Zalała mnie fala ulgi, że to nie złodziej, oraz radości, że jednak doniosę te cholerne pieniądze na uczelnię, więc musiałam swoje uczucia jakoś uzewnętrznić. – Tak się cieszę, że pana widzę!!!

Pan Goły zastygł podczas rozpinania płaszcza. Jego rozświetloną, oczekującą twarz zmroził wyraz tak strasznego rozczarowania, że zrobiło mi się przykro.

– Bardzo przepraszam, teraz nie mam czasu – dodałam bezmyślnie. A mijając go, rzuciłam na pocieszenie: – Do zobaczenia wkrótce!

Pan Goły został na ścieżce. Tak samo ogłuszony jak ja przed chwilą.

*

W drodze przez resztę chaszczy mój radosny nastrój gwałtownie

się pogorszył. Właściwie dlaczego od początku tej historii czuję się, jakbym była wszystkiemu winna? Zespół ma do mnie ciągle pretensje, na każdym wykonie obrzuca mnie spojrzeniami skrzywdzonych szczeniactwów... Wymyślili sobie grę! A ja boję się im powiedzieć, że zgłosiłam nas do konkursu teatrów amatorskich! Właściwie dlaczego? Czy nie o to nam chodziło? Czy nie wykonuję dobrze swojej roli reżysera i dyrektora artystycznego? I co mnie w zamian spotyka? Pan Goły na ścieżce i permanentny foch w zespole!

Do Salmonelli dotarłam w charakterze szturmującego oddziału bojowego. Zobaczyłam ich już z daleka. O, o, jak to się rozsiadło! Zadowolone! Roześmiane! Pewnie wymyśla, co mi zrobi, jak to się wszystko skończy!

Nadciągnęłam do stolika. Podnieśli na mnie rozradowane michy. Na mój widok miny im zrzędyły.

– Dzień dobry... że tak zażartuję – powiedział Jacuś ostrożnie.

– Dzień dobry – odparłam zimno, upuszczając reklamówkę z majątkiem na stół. – Tu są pieniądze. Przez was rozczarowałam zboczeńca. Jedziemy na konkurs teatrów amatorskich. Mordy w kubek.

I odeszłam. Tak się delikatnie zapodaje temat!

*

– Powiem wam, że tego nie rozumiem – oznajmił Adrian – ale całe to przedstawienie jakieś łatwe się zrobiło. Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję – dodał.

– Kto by pomyślał, że granie *Śnieżek* po przedszkolach tak rozwija – dodał Jacuś z zadowoleniem. – Ale wiedz, Pinka, że nie czuję się rozczarowany.

– Też uważam, że trzeba by coś skomplikować – powiedziała Helena, dla odmiany z troską. – Bo to w końcu konkurs teatralny. I komisja będzie rozczarowana.

Zespół, początkowo ogłuszony moją dziwną pretensją, rzuconą im w Salmonelli razem z fortuną w biedronkowej reklamówce, szybko doszedł do siebie i wyciągnął ze mnie wyjaśnienia. Po wstępnych

uściskach, łzach, pocałunkach i zapewnieniach o tym, jak strasznie mnie kochają, przyszła pora na normalny zespołowy sadyzm.

Pierwsza próba naszej szekspirowskiej przeróbki upływała wśród tłumionych kwików koleżeństwa. Dla świętego spokoju to ignorowałam. Tylko Adrian się nade mną nie pastwił. Nie nasz Adrian – ten drugi, od Walki, który od czasu stypy chodził za nią jak cień.

– Ja nie rozumiem, czego on ode mnie chce – powiedziała mi kiedyś zdenerwowana Walka. – A może to wariat?

– Dlaczego wariat? Podobasz mu się i już.

– No właśnie o tym mówię. Wariat.

– Oj, Walka. Możesz się podobać.

– Nie, nie mogę. Jestem za wielka i za gruba. A on wygląda jak wiejski proboszcz.

W sumie mogłam zachować się jak przyjaciółka i powiedzieć, że wcale nie jest gruba, ale nie przyszło mi to do głowy. W zespole jedno było fajne – oprócz wielu innych fajnych rzeczy. Nie okłamywaliśmy się. Zresztą Walka by mi nie uwierzyła.

– Są faceci, którym to się podoba – oznajmiłam w zamian.

– Czyli wiejski proboszcz, a ponadto zboczeniec – westchnęła Walka.

Mimo to Adrian był twardy. Uparcie przychodził z nią na próby, potem odwoził ją do wynajętego mieszkania swoim strasznym gruchotem i niczego nie chciał. Polubiłam go. Faktycznie tą pyzată gębułą przypominał wiejskiego proboszcza, ale wydawał się całkiem fajny i niegłupi. W dodatku zaproponował, że zawiezie nam na konkurs dekoracje i sprzęt, co mnie tak ucieszyło, że sama byłam gotowa oddać mu rękę i co tylko chciał. Tylko że nie chciał. Dla niego istniała wyłącznie Walka. Było coś wzruszającego w tym żabim spojrzeniu, którym za nią wodził.

– W dodatku zauważ, że zaczął zapuszczać kitkę – dodała Walka z pełną niesmaku zgrozą. – Żeby do nas pasować. Strasznie mu imponujemy. Uważa nas za artystów.

Już za to jedno mogłabym go pokochać.

– Miły jest – powiedziałam ostrożnie.

– Bardzo miły – zgodziła się Walka. – Będzie mi trudno

powiedzieć mu, że nic z tego.

– A może jeszcze mu nie mów? Zrobi mu się przykro...

– Tak, tak – warknęła Walka. – Wszyscy wiemy, jak nie lubisz rozczarowywać zboczeńców.

Ostatecznie wybłagałam, że zerwie z nim dopiero po konkursie. A dokładnie po powrocie z konkursu do Warszawy. Niepokoiliam się o nasze zbierane latami dekoracje.

Tymczasem na próbie wszyscy intensywnie myśleli, jak podrasować przedstawienie, które jeszcze miesiąc wcześniej wydawało się takie śmiałe. Rzeczywiście, coś nas zmieniło. Może *Śnieżka* zagrana w jedenastu przedszkolach. Może pobyt w różowym zamczysku. Może stypa. Takie rzeczy zmieniają człowieka.

– Może by dodać jakiś rekwizyt? – odezwała się Monia. Ostatnio znowu zaczęła wyglądać gorzej i nikt już nie miał odwagi pytać, co z siostrą. A Monia nie wyrywała się ze zwierzeniami. Kurczowo trzymała się każdego objawu normalnego życia i na naszych próbach zjawiała się pierwsza.

– Jaki rekwizyt? – spytałam z umiarkowanym zainteresowaniem.

– No, nie wiem. Znaczący.

– O, symbol, widzicie – ożywił się Jacuś. – Symbole są dobre.

Jurorzy lubią symbole.

– Cudownie – odezwała się Helena, która do tej pory słuchała nas z pewnym politowaniem, jak dorosły wyjątkowo głupich dzieci.

– Symbol czego?

– Tego, o czym jest przedstawienie – błysnął Jacuś.

– Cudownie – drażyła bezlitośnie Helena. – O czym jest przedstawienie?

Zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na mnie.

Szczerze mówiąc, tak się zagubiłam w kolejnych wersjach scenariusza, że już sama nie wiedziałam.

– O wierności sobie – odezwał się niespodziewanie nie nasz Adrian. – O byciu sobą w każdych okolicznościach. I o tym, że to przeważnie niemożliwe. O tęsknocie za sobą takim, jakim mogłoby się być, gdyby nie życie.

Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy, jakby żaba z piorunem

w tyłku nagle przemówiła do nich wierszem.

– Tak to odbieram – dodał po chwili nie nasz Adrian, trochę spłoszony naszymi spojrzeniami.

– E, całkiem fajne to przedstawienie – powiedział Jacuś z uznaniem.

– Nie miałam pojęcia – dodałam.

– To nawet można pokazać bez wstydu – ucieszył się nasz Adrian.

– Nie można – rozległ się grobowy głos.

Dla odmiany wszyscy odwróciliśmy się w stronę drzwi. Czułam się, jakbym brała udział w jakimś układzie choreograficznym.

W drzwiach stała Weronika. Na jej twarzy, rozmarzającej po zderzeniu z późnojesiennym wichrem, malował się bardzo dziwny wyraz.

– Gdzieś się łajdaczyła? – spytał nasz Adrian profesorskim tonem, poprawiając okulary.

– Tam gdzie żadne z was nie bywa, artyści z bożej łaski

– powiedziała Weronika, trochę szcękając zębami. – Jest takie miejsce, gdzie was nigdy nie wpuszczą, chyba że bilet kupicie. Teatr.

Powiało grozą. A może to wiało zimnem od przemarzniętej Weroniki. W każdym razie zadrżeliśmy.

– Oglądałam naszą konkurencję – dodała Weronika złowieszczo.

– Jaką konkurencję? – zaniepokoił się Jacuś.

– Myślałeś, niedojdo, że sami na tym konkursie będziemy? Jadą tłumy. Z całej Polski. Oraz moi kumple z teatru eksperymentalnego. Z którego przedstawienia właśnie wracam. Niech mi ktoś da coś ciepłego, bo tu umrę i nic wam nie powiem.

Rzuciliśmy się na wyścigi do czajnika elektrycznego, na stałe stojącego w wynajętej przedszkolnej sali. Kiedyś nawet przyrządzaliśmy w nim grzane wino. Mogę powiedzieć jedno: bardzo dobrze grzeje (czajnik również).

– Już, kochanie, robię ci herbatkę – kląskał nasz Adrian, prowokując nas do znaczących spojrzeń za jego plecami. – Malinową! Dobrze?

– Niedobrze – warknęła Weronika. – Godom ci, chopie, my som w czornyj rzici i żodyn tej nam nie pomoże. Jak jo ich zobaczyła, toch

dostała takiego hercklekotu!

Weronika mówiąca po śląsku, jak może już wspominałam, oznacza bardzo przestraszoną Weronikę. A że Weronikę łatwo rozzłościć, ale trudno przestraszyć, ja także się przestraszyłam.

– Może przestaniesz siać panikę w szeregach i powiesz w końcu, coś tam zobaczyła? – spytałam.

– Ależ proszę uprzejmie – powiedziała na to Weronika jadowicie. – W tej minucie. Pominę fakt, że żadne z tu obecnych nie raczyło przejść się do żadnego teatru i zorientować się, co jest grane. Artyści scen przedszkolnych. Jeśli ci się wydawało, że sieję panikę, to posłuchaj tego.

I zaczęła snuć wstrząsającą relację.

Okazało się, że kumple z teatru eksperymentalnego nie tylko zrealizowali subtelną i wielowymiarową inscenizację *Kordiana* (tak inteligentną, że choć Weronika powtórzyła mi trzy razy wszystkie zawarte w niej znaczenia, i tak połowa dotarła do mnie dopiero następnego dnia), lecz w dodatku posiadali niezwykle drogie oprzyrządowanie, pozwalające na fruwanie nad sceną na elastycznych taśmach.

– I, rozumiesz, wygina się jak coś z *Omenu*, z głową w dół, i recytuje! I wszystko słyhać! I do tego muzyka jaka! A oświetlenie...!

– Ale na linach...? Jak to wszystko wygląda? – spytał Jacuś z odrobiną nadziei.

– Genialnie – dobiła go Weronika. – Nawet nie wiem, kiedy minęły te dwie godziny. Fantastyczni są. I mają taśmy do fruwania. Wygrają na bank. A my, z naszymi dekoracjami na taśmę klejącą... ech.

– A my będziemy mieć symbol – odezwałam się słabym głosem.

– Symbol. Nędzy i rozpaczy chyba – odparła Weronika bez litości. – Oni symboli to mają, wiesz, dwadzieścia. Mogą w gratisach rozdawać. I taśmy do fruwania mają. I muzykę mają, na takich samplach, jakby im tam prawdziwa orkiestra symfoniczna grała. A my co mamy, kompozycje na fujarkę i trójkąt. A oni mają taśmy do fruwania.

Weronika, która się boi, to jest nieczęsty widok. Jej strach nam się udzielił.

– To może nie jedźmy – wyrwał się Jacuś.

– Właśnie – powiedziała Weronika.

Zrobiło mi się trochę zimno, a trochę beznadziejnie.

– Tak chcecie? – spytałam.

Zespół przez chwilę milczał. Potem coś w tej atmosferze się zmieniło.

– Albo jedźmy – odezwał się po chwili Jacuś ze spojrzeniem szczeniaka, który nasikał swojej pani do szpilek od Prady.

– Właśnie – dodała Weronika. – Tylko coś wymyślmy, do cholery, bo nas wyśmieją.

– I wtedy na pewno się rozczarujemy, Pina – powiedział surowo nasz Adrian. – Zastanów się, czy tego chcesz.

– Wymyślmy – odparłam i w tamtej chwili naprawdę w to wierzyłam. – Tak zapłaczymy, że nikt nic nie zrozumie, ale będzie bał się przyznać, żeby nie wyjść na idiotę.

W tej chwili istnienie wielu spektakli, na które – wbrew insynuacjom Weroniki – chodzę w miarę regularnie, stało się dla mnie zrozumiałe.

ROZDZIAŁ SIÓDMY,

w którym jeleni nie ma na rykowisku, mechanika w warsztacie, a kot nie ma ochoty na Jacusia

Powiem wam, że normalnie kocham teatr. Kocham w nim wszystko: zapach sceny, zapach kulis, bo to są różne zapachy, tę ciszę na widowni, kiedy nie ma ludzi i jest próba, ten gwar, kiedy ludzie zaczynają się schodzić i zagląda się na widownię, już na adrenalinie, no i właśnie tę adrenalinę, która zaczyna mnie nosić, kiedy tylko zobaczę scenę. Serce mi bije, dłonie się pocą, jeśli mam perukę, to spod peruki spływają mi strugi potu, rozmazując makijaż, więc muszę uważać, żeby nie pocić się na makijaż. Przeklinam chwilę, w której przyszło mi do głowy zrobić przedstawienie, i za żadne pieniądze nie zgodziłabym się, żeby to przedstawienie nagle odwołano. Na tej adrenalinie człowiek jest zdolny do różnych rzeczy. Każdy, kto pracuje w teatrze, słyszał różne wersje opowieści o tancerzu, który przetańczył spektakl ze złamaną nogą, bo nikt go nie mógł zastąpić, i zemdlał dopiero po oklaskach, albo o aktorce, która w kulisach dostała wiadomość, że jej mąż zginął w wypadku, po czym zagrała całą sztukę. W dodatku komedię.

W teatrze kocham ekipę techniczną, która wcale nie jest tak wyłącznie techniczna, bo bywa, że człowiek wyspecjalizowany w obsłudze świateł lub montowaniu dekoracji bohatersko, w ramach zastępstwa, wychodzi na scenę w kostiumie na przykład gigantycznego pluszowego psa albo słupa ogłoszeniowego. I nie mówi potem ani słowa, że tego w kontrakcie nie miał. W chwili potrzeby każdy każdemu pomaga i nie słyszałam o wypadku, żeby było inaczej, nawet jeśli po zapadnięciu kurtyny aktorzy przypominają sobie, że się nienawidzą.

W teatrze kocham rekwizytornię, która jest jak grota piratów albo strych w domu moich dziadków. I magazyn kostiumów, lepszy od najlepszego sklepu. Możliwe, że moja miłość do teatru zaczęła się tego dnia, kiedy przyszłam z mamą wybrać suknię do jej przedstawienia i w ciągu pięciu minut stałam się królewną, królem, rycerzem i smokiem

(smok był najlepszy, obcisły, z zielonych cekinów, z niesamowitym pyskiem, który do dzisiaj widzę w fantastycznych snach, bo teatr ma to do siebie, że również się śni).

W teatrze w zasadzie tylko jednego nie kocham: aktorów.

*

Jechaliśmy w dwa samochody czarnym listopadowym świtem. Na to, co za oknem, lepiej było nie patrzeć, żeby z rozpacz nie zacząć chlać od rana. Nie mam zwyczaju oglądać świata o tej porze i, jak się teraz przekonałam, powodu też nie mam. Najchętniej bym zasnęła, aby odzyskać te godziny, które mi zabrano. Niestety, Helena – która kocha organizować – wbiła sobie do głowy, że skoro jedziemy tak daleko za Warszawę, możemy połączyć pożyteczny udział w konkursie z przyjemnym zwiedzaniem okolicy i zapoznawaniem się z jej atrakcjami. W tym celu zaopatrzyła się w wydruki z jakiejś krajoznawczej strony internetowej, które teraz nam bezlitośnie odczytywała jeden po drugim.

– Błagam cię, Helena – wyjęczałam z zamkniętymi oczami. – I tak tam nie pojedziemy, szkoda czasu.

– Ale to tylko dwa kilometry od trasy – odparła ożywiona Helena.
– Posłuchajcie: „Zabytkowy zamek z szesnastego – szesnastego, chomąty! – wieku z romańską kaplicą, wpisaną na listę zabytków”.

– W sumie... – odezwał się nasz Adrian zza kierownicy.

– No, jak dwa kilometry... – dodała Monia.

Helena milczała przez jakiś czas, wpatrując się w swoje wydruki.

– „Niestety, zamek w okresie zimowym jest niedostępny dla zwiedzających” – odczytała w końcu niechętnie.

– Bóg tak chciał – mruknęłam. – A teraz dajcie pospać.

– Nie, ale zaczekaj. „Trzy kilometry dalej wielbicieli Stefana Żeromskiego czeka nie lada gratka – chata, w której pisarz podczas letniego wyjazdu pracował nad opowiadaniem. Można w niej obejrzeć należące do niego przedmioty i kolekcję zdjęć”.

– Proszę was – jęknęłam. – Co mnie obchodzi, że Stefan Żeromski

zapomniał długopisu z jakiejś chaty?

– „Niestety, chata obecnie znajduje się w remoncie i jest zamknięta dla zwiedzających” – odczytała Helena i trochę gwałtownie przełożyła kartki.

Zamknęłam oczy, nadal z nadzieją, że na tym temat się skończy.

– „Cztery kilometry dalej... – zaczęła Helena.

– O Jezu – wyrwało mi się.

– ...znajduje się największe w Europie – o, słyszycie, największe w Europie – zbirowisko starych dębów. Najstarsze liczą sobie nawet czterysta lat i mają status pomnika przyrody”. No, to już musimy zobaczyć.

– Dlaczego? – spytałam z rozpaczą.

– Widziałas kiedyś czterystuletni dąb?

– Nie, i potrafię z tym żyć.

– A ja nie. Adrian, skręcaj za cztery kilometry w prawo.

– Przepraszam – odezwała się Monia. – Bo chyba nie usłyszałam.

Co starych dębów?

– Co?

– Przeczytałaś, że tam się znajduje coś starych dębów.

Helena spojrzała na kartkę zmrużonymi oczami.

– Zbirowisko.

– Zbirowisko?

– Co to jest zbirowisko? – zaciekała się Weronika.

– Dużo zbirów naraz – mruknęłam.

Helena mocniej zmrużyła oczy.

– Zbiorowisko! Zbiorowisko! Coście tacy tępi, wiadomo, że zbiorowisko. Chyba muszę kupić okulary czy co. Adrian, za dwa kilometry w prawo.

– Słyszałem – powiedział Adrian spokojnie, choć bez jakiejś wyjątkowej radości.

– To co, jedziemy oglądać te dęby? – upewniła się Monia. – Pinka?

– A oglądajcie se – wymamrotałam prawie przez sen.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza i zaczęło mi się robić ciepło i miło.

– „Niestety – odczytała Helena – wstęp na teren rezerwatu jest

chwilowo niemożliwy na skutek nieporozumień właścicieli terenu z władzami”.

– Ciekawa okolica – zauważyła Weronika.

– I tak dużo do obejrzenia – dodał Adrian neutralnym tonem.

– Ja się jeszcze nie poddałam – oznajmiła Helena z góralskim uporem.

– Poddaj się, Helena – poprosiła Monia.

– „Pięć kilometrów dalej znajduje się pas trzęsawisk, na których można znaleźć objęty ochroną, niezwykle rzadko występujący na nizinach, okaz porostu zwanego czasznikiem mordozielonym”.

– Mordozielonym – powtórzyła Weronika w zamyśleniu.

– Zielonym na mordzie, tak? No, to szalona okazja. Nie można tego nie zobaczyć.

Helena zbliżyła kartkę do oczu.

– Modro! Modrozielonym! Tu jest zdjęcie, uważam, że atrakcyjne.

I podsunęła kartkę Weronice pod nos.

Weronika przyglądała się zdjęciu z pewną odrazą.

– Takie coś zrobiło mi się kiedyś na chlebie – powiedziała i odsunęła od siebie rękę Heleny z kartką.

– Ale to nie wszystko – ciągnęła zachęcająco Helena. – „Nieopodal znajdują się także rykowiska jeleni, na których często można podziwiać te imponujące zwierzęta”. No? No? Które ostatnio widziało jelenia? Adrian, za trzy kilometry skręcasz w lewo.

Nie mogłam tego słuchać spokojnie.

– Ludzie – jęknęłam ochryple, otrząsając się z letargu. – Nie wygłupiajcie się. Jest zimno. Nie chcę latać po lesie, żeby oglądać pleśń na trzęsawisku. Nawet jeśli ona jest dla ciebie atrakcyjna, Helena.

– Porost – poprawiła mnie Helena. – I jelenie. Jelenie są atrakcyjne.

– Nie będzie jeleni. Jelenie przychodzą na rykowisko, jak mają tę porę, co się... no... co się rozmnażają, jak to się nazywa?

– Tarło – wyrwała się Monia.

– Właśnie. Jelenie przychodzą na rykowisko na tarło. A teraz nie ma tarła i nie ma jeleni. O tej porze pewnie śpią, czego i sobie życzę. Nie róbmy z siebie większych wariatów, niż jesteśmy. Jedźmy jak ludzie na

ten konkurs.

– A skąd ty wiesz, czy jelenie nie mają tarła? – zaprotestowała Helena, która nigdy łatwo nie odpuszcza.

– Bo jest listopad. Żadne normalne zwierzę nie ma tarła o tej porze!

– Kotka mojej siostry ma! Po prostu nie chce ci się wysilić.

A pomyśl, jakie piękne zdjęcia by nam wyszły! Można by to wrzucić na fejsa...

– Boże – jęknęłam. – Zrób coś, bo ona naprawdę nas zagoni na te trzęsawiska. Nie chcę umierać tak młodo i tak głupio, w bagnie, z jakąś pleśnią w zębach!

W tej chwili, jak mi życie miłe, w silniku coś strzeliło, zacharkotało i powoli się zatrzymaliśmy.

W samochodzie przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

– Mówisz, masz – powiedziała w końcu Helena.

Znajdowaliśmy się w środku dokładnie niczego. Po obu stronach szosy ciągnął się księżycowy krajobraz – o ile na Księżycu w kraterach stoi woda. O tej porze samochodów na drodze też było tyle samo, co na Księżycu.

– Jasna cholera – powiedział Adrian, który nie przeklina.

– Wspaniale, Pina. Po prostu wspaniale – warknęła Helena i gwałtownie wysiadła.

– Ale o co chodzi? – spytałam, wygrzebując się z ciepłego wnętrza na wstrętny wilgotny ziąb wczesnego listopadowego poranka.

Monia i Weronika stanęły obok mnie. Adrian został za kierownicą. Mam wrażenie, że coś do siebie mówił. Nie byłam ciekawa co.

– Zaczęłaś kwękać, roztaczać negatywne vibracje i proszę – wyjaśniła Helena.

Nie wiem, jak ktoś tak konkretny i twardo stąpający po ziemi może jednocześnie wierzyć w vibracje i aury. Helena łączy to w sobie bezszwowo.

Zza zakrętu wyłoniła się czarna sylwetka auta.

– Uratowani! – ucieszyła się Monia.

Okazało się, że dobre vibracje nie zmieniają rzeczywistości.

– Co się dzieje? – spytał nie nasz Adrian, zatrzymując swojego gruchota.

– Pina zepsuła samochód, bo nie chciała oglądać tarła jeleni
– oznajmiła Helena z autentyczną pretensją.

– I ginąć z pleśnią w zębach – dodała Monia.

Nie nasz Adrian popatrzył na Walkę, która z nim jechała.

– Coś im się stało przez te pół godziny bez ciebie?

– Coś im się stało – odparła Walka. – Ale dużo wcześniej.

Podejrzewam, że w dzieciństwie. Czego nie jedziecie, jełopy? – dodała, przechylając się do okna. – Odpowiadać, tylko na temat i prostymi zdaniami.

– Nie jedziemy, bo stoimy – spełniłam jej życzenie.

Walka przeniosła wzrok ze mnie na samochód. Nasz Adrian właśnie z niego wysiadł i kopnął w oponę. Widok wzburzonego naszego Adriana wystarczył za tysiąc moich słów. Walka i nie nasz Adrian pokiwali jednocześnie głowami.

– No to leżymy – powiedziała Walka.

– Było się tak ciskać? – przyczepiła się znowu Helena. – Było rozsiewać te negatywne myśli? Nie chciałaś pleśnieć w bagnie, to sobie spleśniejesz na tej drodze, zanim tu po nas przyjadą. Spóźnimy się na próbę, wejdziemy na scenę prosto z tego błota, zrobimy z siebie idiotów jeszcze i tu, gdzie nas na razie nie znają!

Wypowiedziała na głos wszystkie moje obawy. Dlatego nerwy mi puściły.

– Helena! – wrzasnęłam. – Ja bym bardzo chciała mieć taką moc sprawczą, żeby myślałam zmieniać rzeczywistość, ale na razie się na to nie zanosz, bo jeszcze masz wszystkie zęby! Ja to mogę nadrobić analogowo ręcznie i dopiero wtedy poczujesz negatywne wibracje! Uspokój się z tymi gusłami i nie obrażaj dwudziestego pierwszego wieku!

– Czy ja... – zaczął nie nasz Adrian.

– Myśli zmieniają rzeczywistość! – odwrzasnęła Helena. – Tak napisali w książce, więc to prawda!

– Czy ja mógłbym...

– Ja nie mogę! A w innej książce napisali, że Grinch ukradł święta! To też prawda?

– Czy ja mógłbym coś powiedzieć... – nie tracił nadziei nie nasz Adrian.

Helena zamarła na chwilę z otwartymi ustami, porażona moim argumentem. Najwyraźniej na moment zaniemówiła, ale coś w niej już wyraźnie wzbierało.

– Bo chciałem zapropo...

– TO BYŁ FILM! – ryknęła tryumfalnie Helena. – FILM! I co teraz?

– TERAZ JA MÓWIĘ! – zawył nie nasz Adrian w sposób niekojarzący się z człowiekiem.

Po raz pierwszy przemówił przy nas takim głosem. Po raz pierwszy, odkąd go poznaliśmy, zachował się tak gwałtownie. Wszyscy spojrzeliśmy na niego z nowym szacunkiem.

Adrian natychmiast się speszył. I nawet się zarumienił.

– Więc, ten... chciałem tylko powiedzieć, żebyście pojechali moim samochodem. Ja tu zaczekam z dekoracjami na pomoc drogową – powiedział, trochę się zacinając.

Samochód Adriana, który był przedpotopowym land roverem, mógł bez trudu pomieścić naszą szóstkę plus jeszcze część dekoracji.

Nie nasz Adrian został w księżycowym pejzażu, w surrealistycznym otoczeniu zastawek z tektury i sklejki.

Patrzyłam na niego, dopóki nie znikł w dali.

– Ja bym za niego wyszła tu i teraz – oznajmiłam. – W tym momencie, na tej szosie.

– Ja też – dodał Jacuś.

– I ja – powiedziała Monia.

– Przekażę – mruknęła Walka.

– Właściwie czemu ty go nie chcesz, bo ciągle nie mogę zrozumieć? – spytałam. – Fajny, dobry, niegłupi. I szaleje za tobą.

– Rozumiem, że ci się podoba ten land rover, ale nie tędy droga – wymamrotała Walka.

– Ale przypomnij mi. Czemu?

Walka milczała przez chwilę.

– No nie podoba mi się – wyznała niechętnie.

– Że z twarzy podobny do żaby?

– Do proboszcza – przypomniał mi Jacuś. – Zresztą to nawet może kręcić.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego. Jacuś rozłożył ręce.

– Zwyrol – mruknęła Walka. – Nie chodzi o twarz.

– A o co? – zainteresowała się Weronika, która jako najmniejsza z nas z braku miejsca siedziała Jacusiowi na kolanach.

– Przestań tak podskakiwać, do cholery – stęknął Jacuś. – Bo mi krzywdę zrobisz.

– Na pewno ci się to podoba, zwyrolu – powiedziała Weronika czule i poklepała go po czubku głowy. – No, Walka? To o co?

Walka milczała chyba z pięć minut. A my przez pięć minut nie odrywaliśmy od niej świdrującego spojrzenia. Nawet Adrian zerkał w lusterko wsteczne. Możliwe, że wyglądaliśmy jak stado hien nad ofiarą.

W końcu Walka westchnęła.

– To już powiem prawdę. Jest za gruby – wyznała ze skrucą.

Spojrzeliliśmy po sobie. I znowu na nią. A ona na nas. I teraz to ona rozłożyła ręce.

No taka sytuacja.

*

Na miejsce dojechaliśmy sporo po dwunastej. Nasza próba była wyznaczona na wpół do drugiej. Przez ostatnie pół godziny napięcie w samochodzie rosło, wszyscy pouczaliśmy Adriana, jak ma jechać, i w rezultacie dwa razy się zgubiliśmy. Pominę opis wrzasków nad mapą i pościgu za jedynym na ulicy przechodniem, który uciekał nam zygakiem, a po dogonieniu okazał się w dym pijany. Kiedy wreszcie ukazała nam się brama w przedwojennym ceglanym murze, a na bramie logo konkursu, od naszego zbiorowego westchnienia ulgi zakolysała się choinka zapachowa na lusterku.

Brama okazała się zamknięta.

– To coś oznacza – oznajmiła Helena złowieszczo. – Wszechświat daje nam znaki. Najpierw tarło jeleni, teraz brama.

Zduśliłam w sobie to, co chciałam jej szczerze powiedzieć, i zadzwoniłam na numer podany na stronie konkursu. Pięć minut później

za bramę wybiegła rozczochrana i zdyszana kobieta. Nawet z daleka widać było jasne światło obłędu w jej oczach.

– Przepraszam – rzuciła, otwierając bramę. – Mówiłam tym zagranicznym kretynom, żeby zostawili bramę otwartą. Oczywiście nie zrozumieli. Zespół z Estonii, rozumiecie.

– Może u nich trzeba wszystko zamykać, żeby nie ukradli – wyraził przypuszczenie Jacuś.

– Tutaj nie ma co ukraść. Najcenniejsze, co mamy, to kościół. Zabytkowy, z szesnastego wieku...

– Niestety, w okresie zimowym zamknięty dla zwiedzających – dopowiedziała odruchowo Helena.

– Nie, dlaczego? Zresztą przecież tam się odbędzie konkurs.

Konkurs w kościele? Zaczęłam się bać, że nie doczytałam regulaminu i wbiliśmy na konkurs przedstawień religijnych. Jeśli tak, to po pierwszych dziesięciu minutach naszego śmiałego *Makbeta* widownia powinna na nas ruszyć z widłami i pochodniami.

Kobieta, najwyraźniej organizatorka, chyba dostrzegła coś w moich oczach, bo zaraz dodała:

– Kościół jest zrujnowany. Już się w nim nie odprawia nabożeństw. Mieli go odnowić, ale coś się stało z funduszami, no i tak... W każdym razie akustykę ma dobrą, reflektory zamontowaliśmy, a przestrzeń wygląda bajkowo, więc powinno się wam dobrze grać.

Odetchnęłam.

– Jest tylko jedna rzecz, o której muszę was uprzedzić.

Wiedziałam!

– Tak? – spytałam, znowu z lekka się dusząc z emocji.

– Jeśli przyzwyczailiście się grać z dwiema kulisami, to musicie się szybko przeorientować. Kulisa jest tylko jedna.

Odetchnęłam po raz drugi. Waga informacji nie od razu do mnie dotarła, podobnie jak zaniepokojone spojrzenie Heleny.

– Iii tam – rzuciłam z wielką pewnością siebie.

Helena spojrzała na mnie jak na idiotkę. Ponieważ często tak na mnie patrzy, nie poczułam się zaalarmowana.

Jak powiedziałam, kocham teatr. Nawet jeśli mieści się w zrujnowanym kościele. Ledwie przekroczyliśmy próg wysokich,

okutych żelazem drzwi, humor mi się wydatnie poprawił. Rozejrzałam się po wnętrzu – faktycznie, wysokie sklepienia, witraże, prowizoryczna scena, reflektory na sztankietach – wszystko mi się spodobało. Nie przewidywałam najmniejszych problemów.

– Garderoby są tam, o – powiedziała organizatorka, kiwając ręką w nieokreślonym kierunku. – I jeszcze muszę wam powiedzieć...

– Kamila! – wrzasnął ktoś, aż echo odbiło się od zabytkowych ścian. – Chodź no tutaj, bo znowu jest problem!

– O rany boskie – mruknęła organizatorka z nutą rozpaczy i odeszła, zapomniawszy o nas w pół sekundy.

– Muszę siku – odezwał się kapryśnie Jacuś, którego teatr także przeistacza, tylko inaczej: uwalnia jego wewnętrzną primadonnę.

– Rób, Jacuś. Rób, kochany! – pozwoliłam radośnie.

– Kiedy nie wiem gdzie – poskarżył się Jacuś jeszcze bardziej kapryśnie i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby oczekiwał, że wezmę go za rękę i zaprowadzę we właściwe miejsce.

– Skoro nie widać, gdzie można, to widać można wszędzie – oznajmiłam beztrąsko i poszłam obejrzeć scenę, zostawiając Jacusia z jego dramatami.

Na scenie próbował inny zespół. Zapatrzona, omal nie wywinęłam orła na zaczajonym pod sceną węzowisku kabli. Zanotowałam w pamięci, żeby w trakcie przedstawienia nie schodzić z symbolicznej scenki, która wyglądała na zrobioną z europalet. Faktycznie, kulisa była jedna, prawa. To oznaczało, że każdy, kto podczas przedstawienia schodził ze sceny w lewo, musiał stać pod ścianą na oczach publiczności i czekać na swoją kolej.

Nadal nie dostrzegałam problemu.

No to najwyżej postoiemy, wielkie rzeczy. Zrobimy przyjemny wyraz twarzy, na wypadek gdyby ktoś na nas spojrzał, ale przecież będzie ciemno, a widzowie i tak będą się interesować tym, co na scenie, a nie koło niej.

Helena stanęła obok. Patrzyła na mnie dziwnie. Najwyraźniej ciągle nie mogła mi darować, że nie obejrzelśmy tarła jeleni.

– Heła, zluzuj gumkę – poradziłam, upojona teatralną atmosferą. – Jakoś to będzie.

- Ach tak? – mruknęła Helena, jakoś dziwnie jadownicie.
- Doskonale. Luzuję gumkę.

I usiadła w pierwszym rzędzie, zakładając ręce na piersi, jak widz, który czeka na ulubioną scenę. To także nie dało mi do myślenia.

Reszta zespołu wważyła się do kościoła jak stado małych labradorków, również pełna radosnego oczekiwania.

- O której próba? – spytała Wera.
- Gdzie garderoby? – spytał Adrian.
- Gdzie tu można coś zjeść? – spytała Walka.
- Zdamy jeszcze podmalować oko? – spytała Monia.
- Wnosić dekoracje? – spytał Adrian.
- Gdzie tu można coś zjeść? – spytała Wera.
- Które dekoracje zabraliśmy? – spytała Walka.
- Gdzie tu można coś zjeść? – spytał Adrian.
- Gdzie tu można coś zjeść? – spytałam organizatorkę Kamilę, która właśnie przebiegła obok nas w łopocie szat.

Organizatorka Kamila spojrzała na mnie szklistym wzrokiem.

- Co?
- Zjeść gdzie można – zapodałam przystępniejszą wersję.
- W mieście. Coś wam miałam powiedzieć... – zaczęła Kamila, wpatrując się we mnie z natężeniem, jakby czekając na odpowiedź. Nie doczekawszy się, machnęła ręką i pogalopowała gasić jakiś kolejny pożar.

– Znaczą gdzie – przekazałam zespołowi. – Idziemy w kanapki, a coś większego zje się później.

Zespół się nie ucieszył.

– A ja nie wziąłem kanapek – oznajmił Jacuś z pretensją, skierowaną nie wiadomo do kogo.

– Zobaczycie, że do końca dnia nic tu nie zjemy – przepowiedziała Helena ze swojego miejsca, nawet się do nas nie odwracając.

– Kiedy zaczynamy próbę? – zapytała Walka ze zniecierpliwieniem.

– Mamy wyznaczoną na piętnastą, czyli za dziesięć minut. Wszystko pod kontrolą – powiedziałam, dając dowód niezziemskiej naiwności. Na wypadek gdyby ktoś jeszcze potrzebował na to dowodu.

– No nie bardzo – odezwał się chłopak stojący obok nas. – Ci na scenie mieli być na trzynastą, tylko była obsuwa. Teraz wchodzimy my, a wy po nas.

Konkurs miał się zacząć o dziewiętnastej.

– To może pojedziemy do miasta na obiad? – zaproponował Jacuś.

– Nigdzie nie pojedziemy – warknęłam. – My będziemy się paść kebabami, a tu nam jacyś wbiją na naszą godzinę i tak to się skończy, że zagramy na konkursie bez próby. Tego chcesz? Tego chcesz?

– To może zrobmy małą rozgrzewkę – podsunęła Weronika, która też zaczęła odczuwać ciśnienie. – Nie na scenie, tylko żeby sobie przypomnieć, co i jak.

– I przyzwyczaić się do tej jednej kulisy – dodał Adrian.

Helena zachichotała złowieszczo, nadal się nie odwracając.

No to zaczęliśmy szeptaną próbę o krok od zespołu na scenie. Nasze wygibasy bez kostiumów i rekwizytów nikogo nie zdziwiły. To także kocham w teatrze. Nikt się nie bulwersuje, kiedy mija go człowiek z szeroko otwartą gębą (rozluźnianie mięśni przed śpiewaniem), prowadzący ożywioną rozmowę z nieistniejącym partnerem (przepowiadanie roli) albo na przykład para pojedynkująca się na plastikowe widelce (udające rapiery) bądź bez widelców (wersja profesjonalna).

Dziewczyna, która stanęła obok i chłonęła nasze wyczyny z otwartymi ustami, też nie była zbulwersowana. Raczej zafascynowana. Z tego powodu od razu mi się spodobała. W ogóle mogła się podobać. Miała lekko skośne oczy, brwi jak skrzydła jaskółki, śniadą cerę, okrągłą twarz, długie do połowy pleców jedwabiste ciemne włosy i w ogóle wyglądała jak mandżurska księżniczka. Ona patrzyła na nas, a my co jakiś czas patrzyliśmy na nią dla samej przyjemności patrzenia.

Dziewczyna śmiała się we właściwych momentach i przejmowała się też tam, gdzie trzeba. Ogólnie rzecz biorąc, była bardzo udaną widownią.

Aż nadeszła pora pierwszej piosenki. Przywieźliśmy ze sobą płytę z podkładami muzycznymi, pracowicie wzbogaconymi w zaprzyjaźnionym studiu o pirackie sample. Modliłam się do świętego Dyzmy, patrona złodziei, żeby nie usłyszał ich nikt z ZAIKS-u czy pokrewnych instytucji, ale na razie i tak musieliśmy śpiewać szeptem

i bez akompaniamentu.

Tu nasza jednoosobowa widownia zaczęła się nerwowo wiercić. „Oj, niedobrze – pomyślałam. – Fałszujemy albo w ogóle piosenki są bez sensu. Może zrezygnować?”. Ale te piosenki były naszą najmocniejszą stroną. W końcu już dawno uznaliśmy, że gramy amatorsko, a śpiewamy profesjonalnie.

Po drugiej piosence mandzurska księżniczka odwróciła się i odeszła. Zdenerwowałam się na serio. Reszta także, choć nikt nic nie powiedział. Oj, niedobrze, niedobrze!

Nieco speszeni, przemamrotaliśmy kawałek sztuki. W tym schizofrenicznym stanie przed premierą – bo do tej pory nie pokazaliśmy naszego dziełka nikomu – na przemian wyrzucało nas na szczyt samozadowolenia i strącało w otchłań rozpacz. W tamtej chwili ewidentnie czuliśmy pod nogami zasysający muł i wodorosty. Symulując, że coś tam przeżywam, jednocześnie obrzucałam się w duchu najgorszymi obelgami. Jak mogłam nie pokazać tego przedstawienia gdziekolwiek, w przedszkolu, na dożynkach, byle tylko zobaczyć reakcję publiczności? Jak mogłam włączyć mimo wszystko ufający mi zespół w sytuację grożącą ośmieszeniem?

Dziewczyna wróciła, niosąc coś dziwnego. Jakby skrzynkę z korbką i klawiszami z boku. Usiadła, kładąc ją sobie na kolanach. Kiedy pochyliła nad nią gładką głowę, już zupełnie przypominała księżniczkę z perskich miniatur. Graliśmy, jakby nic się nie wydarzyło, ale cały czas popatrywaliśmy na nią zezem, znowu podniesieni na duchu. Publiczność wróciła! A wraz z nią nadzieja, że może nie zostaniemy tak od razu wygwizdani...

Nadeszła pora kolejnej piosenki. Jacuś zaczął śpiewać szeptem, żeby nie przeszkadzać zespołowi na scenie.

A wtedy perska księżniczka zaczęła kręcić korbką swojego pudełka i wciskać klawisze. W chwili, w której ujęła korbkę, oświeciło mnie, że to chyba jakiś instrument, ale spodziewałam się usłyszeć coś podobnego do katarynki. Tymczasem pudełko wydało brzęczący jęk, trochę straszny, trochę denerwujący, a trochę piękny. Jęk idealnie wpasował się w głos Jacusia. Piosenka zaczęła brzmieć zupełnie inaczej niż z naszymi ostrymi rockowymi podkładami – i to wcale nie znaczy, że gorzej.

Właściwie...

Próba została przerwana.

– Eeeeej – powiedział Jacuś z płonącym spojrzeniem, idąc tak szybko w stronę dziewczyny, że się trochę cofnęła. – To fajne jest! Co to takiego?

– Co się pytasz, głupi – rzuciła usiłująca go wyminąć Weronika. – Katarynka, jasne. Się tak nie pchaj, ty ogrze.

– Sama głupia – odciął się Jacuś, spoglądając na nią z wysokości swojego metra osiemdziesięciu. – I kurdupel. Katarynka wygląda inaczej.

– Dlaczego wszyscy mówią, że jestem kurduplem? – wściekła się Weronika. – Adrian, powiedz mu!

– Ale katarynka naprawdę wygląda inaczej – powiedział dyplomatycznie Adrian.

– Debil! – wrzasnęła Weronika.

– Karaczan – dobił ją Jacuś.

– Zamknijcie się i dajcie dziewczynie się wypowiedzieć – huknęła Walka operowym głosem. – Cześć, tak w ogóle.

Dziewczyna z instrumentem na korbkę patrzyła na nas wielkimi oczami. Wyglądała, jakby trochę się nas bała, ale bardziej lubiła.

– Nie zwracaj na nich uwagi – przebiłam się przez tłum. – Są nienormalni, ale zabawni. Przeważnie nie gryzą. Pina jestem.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, jakby musiała to sobie przetłumaczyć.

– Jestem Olga – powiedziała z wyraźnym miękkim akcentem.

– Przepraszam, że ja tak...

I bezradnie wskazała pudełko z korbką.

Zespół rzucił się z zapewnieniami, że bardzo im się podobało. Olga wyjaśniła – powoli dobierając słowa – że instrument to lira korbowa, a ona sama przyjechała z innym zespołem z Warszawy. Potem bardzo grzecznie i nieśmiało spytała, czy może z nami pograć na próbie, bo strasznie jej się nasze piosenki podobają.

W tej sytuacji pozwolilibyśmy jej spalić nasze dekoracje, gdyby tylko miało ją to zabawić. Fanka! Prawdziwa fanka! Pierwsza, najpiękniejsza na świecie, najlepsza! W dodatku z instrumentem (trochę

podejrzanym, bo na korbkę, ale zawsze).

To kolejna rzecz, którą kocham w teatrze. Ludzie są tam dlatego, że kochają tam być. I nie jest niczym dziwnym, że osoba z innego zespołu zaczyna grać z konkurencją. Dla samej przyjemności grania. No, może nie byłam na wielu konkursach. Właściwie byłam na niewielu. I nie wiem, jak jest w zawodowych teatrach. Mówię, czego doświadczyłam i co jest przyczyną, dla której kocham teatr.

Nowy zespół na scenie zaczął powoli rozstawiać dekoracje. Zapowiedzieliśmy, że mamy ich na oku i żeby się streszczali, bo czas ucieka. Powiedzieli: „Dobra, dobra”. Nie przekonali mnie.

Przenieśliśmy się z próbą pod ścianę sali, zabierając ze sobą Olgę, której koledzy skończyli próbę przed dwunastą i teraz snuli się po okolicy, śmiertelnie znudzeni. Popatrywali na nią nawet z pewną zazdrością. No ale oni nie mieli instrumentu na korbkę.

– I teraz – powiedział Jacuś – normalnie bym wyszedł na lewo, ale idę na prawo, bo tam jest kulisa. Głodny jestem.

– Nie idziesz na prawo, bo za chwilę musisz wejść z przeciwnej strony, żeby się spotkać z Monią. Trzeba było wziąć kanapki.

– No to się z nią spotkam. To nie wyklucza wyjścia z tej samej kulisy.

– Masz się na nią natknąć. Jak się na nią natkniesz, kiedy lecisz za nią jak pies na smyczy?

– Już ty się o mnie nie martw, ja się potrafię tak natknąć, że nikt się lepiej nie natknie. A ty nie wzięłaś kanapek?

Wzięłam, ale nie zamierzałam ich oddawać tej primadonnie, zawsze na kimś żerującej. Jacuś nie kalał rąk brudną robotą i nie upokarzał się dźwiganiem tobołów, skoro zawsze mógł znaleźć jelenia, który go wyręczył.

– Nie – skłamałam bez drgnienia powieki.

To oczywiście znaczyło, że sama też nie mogę ich zjeść na legalu, jeśli nie chcę zostać rozszarpana przez głodną gawiedź. Postanowiłam się oddalić pod jakimś pozorem i pożreć kanapki w wychodku albo za drzewem.

– No i teraz wchodzi ja – oznajmiła Monia, wkraczając na kawałek podłogi symbolizujący scenę – a on się na mnie natyka.

Jacusz wszedł tuż za nią i rzeczywiście wszyscy uwierzyliśmy, że nie widział Moni i właśnie się na nią natknął. Jacusz jest gigantem wśród nas i z tego podziwu mało mu nie dałam tych kanapek. Na szczęście jednak zdołałam utrzymać uwielbienie w zdrowych granicach.

– I zaczynam śpiewać – powiedziała Monia do Olgi, która pochyliła jedwabistą głowę nad pudełkiem z korbką i przygotowała się na pierwsze dźwięki.

Monia prześpiewała kawałek piosenki. Nagle przerwała.

– No nie wiem... Coś dziwnie brzmi... Może zaśpiewam to jakoś inaczej?

Nikt z nas nie odpowiedział. Jacusz ze skupieniem patrzył na prawdziwą scenę, na którą konkurencja właśnie wniosła wielki gar. Ja zajęłam się Weroniką, która nagle nabrała wątpliwości co do interpretacji jednej sceny. Walka, która przeważnie kompetentnie odpowiadała na takie pytania, rozmawiała przez komórkę, marszcząc brwi. Wobec tego Monia spojrzała wyczekująco na Olgę.

– Co myślisz? Zaśpiewać inaczej? Może na głosie?

Olga patrzyła na nią przez chwilę, jakby podejrzewała, że Monia ostatecznie oszalała.

– Mnie tak podoba się... – powiedziała w końcu łagodnie, żeby nie rozjuszyć wariatki. – Na nogach...

Walka skończyła rozmawiać i weszła na umowną scenę.

– Nie wygłupiaj się z głową – powiedziała do Moni, nie wdając się w wyjaśnianie Oldze różnic między rejestrem głowowym a piersiowym. – Tak jest dobrze. Dzwonił Adrian. Samochód może będzie na wieczór, a może nie będzie. Może wytrzyma do Warszawy, a może znowu zdechnie w szczerym polu. Przygodowo, cholera. Adrian pyta, czy reszta dekoracji jest nam potrzebna.

Czy była nam potrzebna? Bez niej nie zagralibyśmy przedstawienia! W przedkonkursowej gorączce przyszły nam do kolektywnej głowy świetne – tak przynajmniej sądziliśmy – pomysły. Na przykład zjeżdżająca z sufitu belka ze zwisającymi z niej płaszcami, w które bohaterowie ubierają się i zostają unieruchomieni przez przytwierdzone do strojów linki. Była to metafora ról narzucanych przez społeczeństwo i bez niej nie zamierzaliśmy grać.

– Szmaty musi przywieźć. I belkę – powiedziałam. – Nie wiem jak, ale musi.

– No właśnie, on też nie wie – mruknęła Walka i odeszła na bok z telefonem.

Wróciliśmy do próby. Akurat w tej scenie nie grałam, więc siadłam koło Olgi.

– A teraz na scenę wjedzie symbol utraconego dzieciństwa... albo ideałów... sami nie wiemy dokładnie, ale utraconego czegoś fajnego – wyjaśniłam z zadowoleniem.

Z tego pomysłu byliśmy szczególnie dumni. Symbol utraconego dzieciństwa w postaci białego konika na kółkach miał przejechać przez scenę przed melancholijnie zamyślonym Jacusiem.

Zanim doszliśmy do tego, że utracona niewinność ma się symbolicznie zawrzeć w pluszowym koniku na kółeczkach świeżym bratankowi Weroniki, mieliśmy parę innych pomysłów. Wersja beta zakładała, że symbolem będzie białe piórko. Autorem pomysłu był Jacuś.

– Możecie mnie zacząć całować – oznajmił tydzień temu, wchodząc do sali prób w przedszkolu Wesoły Krasnoludek.

– Co? – spytał Adrian, odrywając się od laptopa. Jacuś usłyszał pytanie właściwie, ale w porywie figlarnego nastroju postanowił udawać, że się przesłyszał.

– W co się wam podoba – wyjaśnił uwodzicielsko. – Albowiem przynoszę wam klucz do wygrania konkursu.

Zaciekawiony Adrian powstrzymał się od komentarzy. Wszyscy otoczyliśmy Jacusia, który w związku z tym poczuł się jak na scenie i bez dalszych wstępów przystąpił do prezentacji klucza.

– Chodzi o tę scenę, kiedy moja postać uświadamia sobie, że ideały młodości poszły uprawiać seks na drzewie. O tę z pantomimą. Bardzo dobra scena.

– A, no pewnie – powiedziałam z zadowoleniem, bo to ja wymyśliłam tę pantomimę.

– Gdyby nie ta pantomima – dodał Jacuś. – Żałość. Wieś tańczy, śpiewa i słomą z butów powiewa. Wybacz, Pina, ale taka jest prawda. Ta pantomima to jak wyjaśnienie dla upośledzonych umysłowo. To już od

razu trzeba było zaprosić Krystynę Czubównę, żeby przeczytała, o co chodzi. Przynajmniej widzom byłoby miło.

– To jak twoim zdaniem mamy pokazać, że bohater zaprzepaścił swoje ideały? – spytałam, bardzo mocno urażona.

– Jak pokazać, że zaprzepaścił, to nie wiem, bo nawet nie wiem do końca, co to znaczy. Ale wiem, jak pokazać, że się po drodze zeszmacił, a przeszłość była taka piękna, czysta i biała. A wy wiecie? No? No?

– Nie, Jacusiu – powiedziałam przez zęby. – To tylko ty jeden wiesz takie rzeczy.

– Symbolem, matołki – obwieścił Jacuś ze szczytów swojej wyższości. – Symbolem. Jednym symbolem, który jako obraz jest wart więcej niż tysiąc słów. A w dodatku każdy widz wytłumaczy go sobie na swój sposób. To będzie szaf!

Muszę przyznać, że Jacuś jest świetny w prezentacjach. Jeszcze zanim wyjawiał swój pomysł, nawet ja, autorka wyśmianej pantomimy, byłam nim zachwycona.

– No więc...? – spytała Monia z błyszczącymi oczami.

– Co to jest? Ten symbol? – dodała Walka.

– Otóż... – Jacuś powiódł po nas spojrzeniem spod współprzymkniętych powiek i uniósł brew jak francuski arystokrata. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej coś z gestem iluzjonisty. – O!

Prawie uwierzyłam, że widzę w jego ręce królika.

Wszyscy wybałuszyliśmy oczy na to coś małego między jego palcami.

Piórko. Zwyczajne białe piórko, takie jak z poduszki albo jak te, które gubią gołębie.

Tu muszę coś wytłumaczyć. Zdarza się, że nawet najlepszy aktor czasem straci głowę dla samego siebie. To całkiem zrozumiałe. Ktoś, kogo ciągle oklaskują i uwielbiają, ma prawo zacząć uważać, że jest godny uwielbienia. Zwłaszcza ktoś, kto jest aktorem z miłości do teatru, ale bez dyplomu, i nie posiada zaworu bezpieczeństwa na wypadek uderzenia wody sodowej do głowy. Na szczęście zgodnie z maksymą: „Jest miecz, jest i tarcza”, istnieje wiele soczystych tekstów, w brutalny sposób przypominających aktorowi, że racja bytu komedianta to

zabawianie widzów. Ja stosuję tylko jeden tekst, za to skuteczny. Gdy aktor zaczyna bredzić o posłannictwie i nadmieniać o konieczności posiadania własnej garderoby, słyszy ode mnie zwięzłe i kategoryczne: „Pióra w dupę i na scenę!”.

Jak łatwo się domyślić, najczęściej słowa te wypowiadam do Jacusia. Właściwie obrazek zawarty w tym jędrnym zdaniu zdążył mi się już zrosnąć z nim na stałe.

Dlatego też widok piórka w palcach Jacusia skojarzył mi się tylko w jeden sposób. W moim zaskoczonym umyśle pojawiły się trzy słowa: Jacuś, piórko, symbol. Jacuś, piórko, symbol.

A po nich obrazek Jacusia z piórkiem w tyłku jako symbolem utraconych ideałów.

Stojąc nieruchomo jak słup, mrugnąłam kilka razy, żeby pozbyć się obrazka sprzed oczu.

Obrazek nie chciał zniknąć. Stał mi przed oczami jak krzak gorejący, z każdą sekundą przepalając kolejny neuron w moim mózgu.

– Jacusiu – powiedziałam z trudem, przelitykając ślinę. – W jaki sposób... to... ma symbolizować...

– No biel, biel – rzucił Jacuś niecierpliwie. – Niewinność, ulotność... Rozumiesz, będę siedział, o, tutaj...

Zamknęłam oczy, co nie obroniło mnie przez wizją siedzącego Jacusia z piórkiem.

– I wtedy zrobi się ciemno, a ja będę oświetlony od tyłu, jako taka czarna sylwetka, i zapali się jeden reflektor, najlepiej niebieski, i w nim się pojawi to piórko, rozumiesz, i ono będzie tak lecieć... lecieć... i lecieć, i przeleci przez scenę i zniknie, jak te ideały.

Odetchnęłam z taką ulgą, że w oknach zafalowały firanki w muchomorki.

Adrian też. Najwyraźniej w jego mózgu odcisnął się ten sam obraz, co i w moim.

– I tak będzie lecieć i lecieć, i lecieć? – spytała trzeźwo Helena.

– No – powiedział Jacuś, promieniejąc cichą dumą niczym młoda matka.

– Bo ma motorek? Zdalne sterowanie? Czy będziemy je tresować, żeby wiedziało, gdzie ma trafić?

– Nie, no przecież... – oburzył się Jacuś i umilkł, kiedy prawda do niego dotarła. – Przynajmniej coś wymyśliłem! Ale jak wam się nie podoba...

– Nie, Jacusiu, kochanie, podoba się! – pospieszyłam z zapewnieniem. – Piękny kawał symbolu. Tylko trzeba by znaleźć jakiś sposób, żeby się poruszał...

Po krótkiej, acz gorącej dyskusji, w której padały różne pomysły techniczne (ten najbardziej udany przewidywał, że Weronika, jako najdrobniejsza, przeczłoła się przez scenę od kulisy do kulisy, dmuchając w piórko od spodu), zdecydowaliśmy się wymienić piórko na dziecięcą zabawkę. Może nie tak wymowną jak liryczny puszek, ale i tak dużo lepszą od beznadziejnej pantomimy, według słów Jacusia.

Stąd też teraz w kościele znalazł się biały konik na kółkach, zabrany podstępem dziecku brata Weroniki.

Jacuś zasiadł w głębi sceny zadumany jak Chrystus Frasobliwy. Weronika, wyznaczona do operowania konikiem, stanęła niezdecydowanie.

– No, leć w kulisę – warknął Jacuś, nie zmieniając pozycji.

– Tylko w którą? – spytała Weronika. – Normalnie wchodziłam w lewą, konik, ukryty za kurtyną, stał przygotowany w prawej, i ciągnęłam za sznurek. A teraz nie ma prawej kulisy i nie ma kurtyny. Jak postawimy konika na scenie, to widzowie go zobaczą i nie będzie zaskoczenia.

Helena zachichotała.

– To niech konik stoi w lewej kulisie – zdecydowałam, niewiele myśląc.

– Ale ja się muszę szybko przebrać! Zaraz po koniku wchodzę jako inna postać. Nie mogę wyjść w prawą kulisę!

Helena przyglądała się nam z takim upodobaniem, że brakowało jej tylko kubeczka popcornu.

– To niech ktoś inny się zajmie tym cholernym symbolem – zaproponowałam.

– Mowy nie ma! – zdenerwowała się Weronika. – Ten konik ma jedno kółeczko felerne i trzeba wiedzieć, jak ciągnąć za sznurek, żeby się nie przewrócił! Trzy dni go oswajałam!

Helena zarechotała złośliwie.

– Zluzuj gumkę, co? – mruknęła.

Zrobiło mi się gorąco.

– W takim razie – powiedziałam powoli – wyjdiesz w lewą kulisę, przebierzesz się, a po piosence Jacusia zgasimy reflektory. Zostawisz konika w lewej kulisie, przebiegniesz w prawą i sprawa załatwiona. Gumka luźna, że gacie spadają – dodałam do Heleny.

– Pina się nie spina – wyrwał się Jacuś i sam się ubawił najbardziej. – Szkoda tylko, że jestem taki głodny. Chyba nie będę mógł zagrać z tego głodu.

Normalny człowiek przed spektaklem nie może jeść z nerwów i tremy. Tylko nie Jacuś. Ten przed występem zasysa wszystko jak odkurzacz. Potrafi pożreć na raz cztery kebaby i wiadro frytek. W sumie ja też potrafię, ale potem leżę i trawię jak grzechotnik, a on dalej jest czujny, lotny i genialny. Tym bardziej wkurzające jest, że wiedząc o tej swojej skłonności, jak sęp żeruje na cudzym prowiancie. Zacisnęłam zęby i zdecydowałam, że nie dam gadowi tych kanapek. Nawet gdybym miała je przywieźć nietknięte do Warszawy.

Jacuś grał dalej, ale nie odwracał wzroku od prawdziwej sceny, na której konkurencyjny zespół wrzucał coś do kotła. Wyglądało na to, że sztuka jest osnuta wokół gotowania zupy na żywo. Aktorzy na razie markowali – wrzucali te marchwie i cebule do garnka, pod którym nie palił się ogień, ale garnek stał na kuchence, gotowej do podłączenia. Co jakiś czas ja też z roztargnieniem popatrywałam, jak apetyczne warzywka i owoce lądują w kotle. Mimo woli zaczęłam się zastanawiać, czy zniknięcie jednego jabłka zostałoby zauważone.

Jacuś, któremu w poprzedniej scenie przed oczami przejechały zaprzepaszczone ideały, recytował ostatni monolog. Po nim miał nastąpić finał – wszystkie postaci wychodziły na scenę, belka z ubraniami zjeżdżała, postaci wbijały się w swoje kostiumy i uwieszone na belce śpiewały ostatnią piosenkę. Bardzo nam to dobrze wychodziło, ale nie zabrzmiałoby tak wstrząsająco, gdyby Jacuś wcześniej nie przygotował atmosfery swoją recytacją.

– Ciągle to jutro, jutro i znowu jutro... – mówił Jacuś z udręką, tym większą, że na scenie pojawił się chleb. – Wije się w ciasnym kółku od

dnia do... dnia... hyyyy... – Dźwięk, który wyrwał się z Jacusiowego gardła, zabrzmiał jak charkot konającego zwierzęcia. Zanim zdążyłam się zachwycić tą natchnioną grą, spojrzałam na scenę. Jeden z aktorów właśnie unosił nad kotłem pęto kiełbasek, trzymany jak ofiara składana na ołtarzu.

Jacuś skamieniał, zapatrzony w parówki jak kot w tuńczyka.

– Jacuś, graj – syknęłam, kuksając go w bok.

– Hyyyy... – otrzymałam odpowiedź.

– Jacuś, dam ci kanapkę z tofu – włączyła się Weronika. – Miała być dla Adriana, ale skoro jesteś taki głodny...

– Tak, Jacuś, zjedz kanapkę z tofu – powiedział miło Adrian, którego Weronika ogniem i mieczem wciela w zastępy wegan.

– Nie martw się, kochanie, dla ciebie mam jeszcze dwie – dodała Weronika i Adrian przestał się uśmiechać.

Jacuś na chwilę dał sobie zamknąć usta wegańskim delikatesem. Ale nie umknęły mi jego spojrzenia, rzucane na kocioł na scenie. Gdybym była tym kotłem, już bym wносиła o sądowy zakaz zbliżania się.

Chyba nie jemu jednemu chodziły po głowie takie myśli, bo zauważyłam, że ktoś podszedł do aktorów, właśnie schodzących ze sceny, i spytał, czy nie daliby mu jabłka, bo umiera z głodu. Zespół odmówił, godnie i z oburzeniem. Nieużyte gnojki.

Władowaliśmy się na scenę zaraz po nich, żeby przypadkiem nikt nas nie ubiegł. Właściwie powinniśmy byli zaczekać na przybycie najważniejszego rekwizytu – belki z ubraniami – ale robiło się coraz później i pora rozpoczęcia konkursu zbliżała się nieubłaganie.

– To na kiedy będzie belka? – spytałam Walkę.

– Adrian stoi z nią na poboczu i łapie stopa – wyjaśniła, odkładając komórkę. – Ale wokół ma pełno naszych gratów i nikt go nie chce zabrać. Mówi, że wygląda jak uchodźca, więc ludzie się boją.

– Może ja bym po niego pojechał? – zaproponował nasz Adrian.

– Już raz przepowiedzieliśmy sztukę, skoczę i wrócę, zanim skończycie. Niech ktoś czyta moje kwestie.

I odszedł, zanim zdążyłam zaprotestować. Zresztą nie zamierzałam; belka była ważniejsza od niego, bo on z nami już tu zagrał,

a ona jeszcze nie. Równie ważne było zawieszenie tej belki, a o tym jeszcze nie rozmawiałam z organizatorką.

Kamila właśnie nadbiegała z rozwianą grzywą. Uśmiechnęłam się do niej, ale nawet mnie nie zauważyła. Pomachałam. Szkliste oczy nie zarejestrowały mojego istnienia.

– Stać! – wrzasnęłam, wyskakując tuż przed nią. Wytrzeszczyła na mnie oczy jak znerwicowana mysz na kota.

– Chcemy powiesić belkę nad sceną – zameldowałam.

– Dobrze. Dajcie.

– Będzie za dziesięć minut – skłamałam.

– To dajcie za dziesięć minut – rzuciła organizatorka i już chciała pobiec dalej, kiedy nagle sobie przypomniała. – A! To wy jesteście ci z podkładami? Akustyk nie dojechał. Poprzednia robota się przeciąga. Mam nadzieję, że w ogóle zdąży na konkurs.

Zachichotała histerycznie i tyle ją widziałam.

Odwróciłam się do zespołu, który rozstawiał na scenie nasze zdziesiątkowane dekoracje. Walka rozmawiała przez telefon.

– Adrian już jest? – spytałam.

– Nie, ale Adrian już jest. Właśnie wchodzi.

Olga, która nadal przy nas trwała, spojrzała dziwnie.

Rzeczywiście, do kościoła wtoczył się nie nasz Adrian, uginając się pod ciężarem dekoracji, w tym upragnionej belki z ciuchami.

– Cześć, Adrian! – ryknęłam przez całą nawę. – Gdzie Adrian?

Olga zrobiła jeszcze większe oczy i lekko się odsunęła.

Zespół pobiegł, żeby uwolnić Adriana od ciężaru.

– Nic nie wiem o żadnym Adrianie – powiedział nie nasz Adrian, budząc regularną panikę Olgi. – Przyjechałem stopem. Jedna furgonetka się ulitowała.

– No pięknie – zdenerwowała się Weronika. – Kaj tyn gupielok się podziwywo? Niech łon yno przidzie, to mu zrobia tako chaja, co łoko nie widziało!

Niecałe pięć minut później pojawił się i nasz Adrian. Weronika rzuciła się na niego, ale zamiast zrobić mu awanturę, pocałowała go w usta.

– Aha! – wrzasnęła, odskakując. – Byłeś w McDonalddie!

– Ale skąd, kochanie... – wymamrotał Adrian.

Weronika nie dała się oszukać. Przeszyła go stalowym wzrokiem.

– Jedzie od ciebie odświeżaczem do ust. Zeżarłeś big maca!

Adrian przez jakiś czas szedł w zaparte, lecz odpowiednio przyciśnięty pękł.

– Ale bez frytek – zeznał z błagalnym spojrzeniem.

– I teraz kanapki z pyszniutkim tofu są całe twoje, Werka – dodał Jacuś pomocnie.

Jestem prawie zupełnie pewna, że w tamtej chwili niewiele brakowało do morderstwa dokonanego kanapkami z tofu.

*

Jak powiedziałam, kocham teatr. Nie boję się nagłych katastrof – typu nieobecność belki – bo wiem, że w chwili potrzeby w teatrze spływa na człowieka olśnienie, które pozwala rozwiązać wszelkie problemy. I nawet gdyby nasza belka z ubraniami została gdzieś razem z Adrianem w środku pola, kolektywny umysł zdążyłby z siebie wypluć jakieś genialne alternatywne rozwiązanie.

No i zawsze jest Jacuś.

Dlatego nie zesłam na zawał, kiedy tuż przed rozpoczęciem konkursowego pokazu nastąpiła seria następujących zdarzeń...

Za dwadzieścia siódma organizatorka Kamila przygalopowała do nas z oczami płonącymi dla odmiany radością.

– Jest! Jest! – rzuciła zduszonym szeptem, bo na widowni zaczęli już zasiadać widzowie. – Przyjechał! Bierz płytę i chodź ze mną, wytłumaczysz mu, co i jak!

Zrozumiałam bez długich tłumaczeń, że właśnie objawił się akustyk. Odwróciłam się do naszego Adriana.

– Daj płytę! – zażądałam, on to bowiem ją wypalał.

Adrian odruchowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i zmarł. Spojrzał na mnie.

– O, nie, nie, nie... – jęknęłam. – Nie mów, że zapomniałeś wypalić...

– Nie zapomniałem – powiedział Adrian ze zgrozą. – Wypaliłem. Dla bezpieczeństwa nawet dwie kopie. Które są w samochodzie.

Samochód stał gdzieś w nieznanym warsztacie.

A my mieliśmy grać jako drudzy.

W wyniku półsekundowej narady każde z nas ruszyło do swoich zadań: ja do Kamili, błagać, żeby przesunięto nasz występ, nasz Adrian do nie naszego Adriana, żeby ponownie pchnąć go w teren w celu rewindykacji naszego mienia.

Potem pozostało czekać.

Reszta zespołu, której na razie o niczym nie powiedziałam, nie chcąc wywoływać niepotrzebnej paniki, ulokowała się w kulisie, żeby obserwować grę konkurencji. Było co podziwiać. Zespół z Estonii miał spektakl tak natkany symbolami, że przy nim wyglądaliśmy jak przedszkolaki. Kordian na linach w ogóle nie dawał się opisać słowami. Od razu uznaliśmy bez najmniejszej zazdrości, że to zwycięzca, innego wyjścia nie przyjmowaliśmy do wiadomości. Byli też tacy z Trójmiasta, co rewelacyjnie śpiewali. Zespół Olgi grał sztukę tak nowoczesną, że nic nie rozumiałam. Czyli to musiała być wielka sztuka.

Kiepsko się to dla nas zapowiadało.

– O Jezu, jaki głodny jestem – wyjęczał Jacuś. – Jezu, jaki jestem cholernie głodny. E, Pinka! Wiesz, jaki głodny jestem?

– Coś słyszałam – mruknęłam, patrząc na korowód postaci na scenie, chyba symbolizujący Polskę albo historię, albo nie wiem co. Najbardziej zbijał mnie z tropu Stańczyk, bo występował w potrójnej postaci i na szczudłach. To musiało coś znaczyć i omal nie zwariowałam, usiłując to pojąć. Spektakl zbliżał się do końca, po nim mieli wystąpić ci z gotowaniem zupy na scenie, a po nich my.

– Zaraz się wścieknę z głodu. Zjadłbym coś – systematycznie zdawał relację Jacuś.

– Kanapeczkę z tofu? – spytała Weronika, tylko trochę złośliwie.

– Jestem skłonny rozważyć – obwieścił Jacuś grobowo.

Walka co chwila patrzyła na telefon. Nie nasz Adrian – który był już trochę nasz – ciągle nie dzwonił. Walka przeniosła wzrok z ekranu na mnie.

– Masz plan B? – spytała rzeczowo.

– Jasne – odparłam bez zmrużenia oka. – Spakować się i do domu.

Walka przyjrzała mi się, usiłując dojść, czy to żart. Wzruszyła ramionami i znowu spojrzała na scenę.

Ci od trzech Stańczyków skończyli, a ci od gotowania zupy zaczęli wnosić dekoracje. Chłopak, którego postawili na straży warzyw oraz parówek, ściągających ku sobie liczne głodne spojrzenia, na chwilę oddalił się od skarbu.

Też byłam głodna. Przyszedł mi do głowy niezbyt chwalebny pomysł, który pewnie bym wcieliła w życie, gdyby Walka nie złapała mnie za rękę. Drugą trzymała przy uchu komórkę.

– Adrian mówi, że mechanik z pomocnikiem na chwilę wybyli z warsztatu. Warsztat zamknięty, nie da się wejść do środka – przekazała. – Ale żona mechanika mówi, że zaraz wrócą. Adrian ma czekać?

– Ma – rzuciłam, jednocześnie obliczając czas.

Adrian potrzebował jakichś dwudziestu minut na powrót do nas. Przedstawienie tych przed nami będzie trwało pewnie z godzinę. Zakładając, że mechanik wróci nawet za pół godziny, miałam jeszcze dziesięć minut na popędzenie z płytą do akustyka i wyjaśnienie mu, co i kiedy puszczać.

Ale jednocześnie zaczęłam układać plan B. Załóżmy, że mechanik wróci dopiero za godzinę. To już niedobrze, bo nie mielibyśmy podkładów do piosenek. Ale nawet wtedy powrót Adriana miałby sens, o ile Olga zgodziłaby się nam akompaniować. Tak naprawdę nie mogliśmy się obyć bez jednego zaledwie efektu pod sam koniec przedstawienia – jęczących dźwięków jak nie z tego świata, które rozbrzmiewały, gdy bohaterka grana przez Monię stała nieruchomo na scenie. Dźwięki były płaczem jej duszy, jak wyjaśnił nam autor sceny. Bez płaczu duszy ta scena nie miała prawa nikogo wzruszyć.

Chyba żeby...

W zespole Olgi było jeszcze kilka dziwnych instrumentów. O ile mnie pamięć nie myliła, jeden z nich wydawał dźwięki podobne do łkania duszy Jacusia. Poszłam pogadać z zespołem Olgi.

Wróciłam z mieszanymi uczuciami i trzema miedzianymi miskami – czy czymś w tym stylu. Zespół Olgi powiedział, że z nami nie zagra,

ale pożyczyci nam ten instrument (instrument? Moja babcia robiła jedzenie w takich instrumentach), który rzekomo wydaje lepsze jęki niż ja w czasie sesji. Przeszłam błyskawiczny kurs obsługi misek i poszłam szukać ofiary. Ze względu na wykształcenie muzyczne padło na Walkę.

– No i co mam twoim zdaniem z tym zrobić? – zjeżyła się nominowana.

– Proste – powiedziałam tonem niedopuszczającym dyskusji.

– Staniesz w kulisie, złapiesz, o, tu, przejedziesz, o, po tym i...

Największa miska, na której demonstrowałam, wydała z siebie cmentarne wycie.

Spojrzeliśmy na siebie ze zgrozą i z zadowoleniem.

– Dobra jest – powiedziała Walka. – Tylko trochę cicha.

– Czekać, wyjdę i posłucham, a ty wyj – poleciłam i korzystając z faktu, że zespół z zupą nadal się rozstawiał, a na widowni panował spory hałas, stanęłam wśród widzów i nadstawiłam ucha. Nic nie słyszałam.

Zajrzałam za kulisy.

– Już coś robisz? – spytałam.

– Siedzę i wyję jak dusza potępiona – odparła Walka. – Głośniej nie mogę.

– Niedobrze – zafrasowałam się. – Nic nie słyhać.

– A może tak do mikrofonu by? – podsunęła nieśmiało Olga.

– Można by, ale przecież nie odkleję sobie mikroportu – burknęła Walka.

– Nje, mnje o tamten mikrofon rozchodziło się – powiedziała speszona Olga, wskazując palcem.

Wszyscy spojrzeliśmy. Faktycznie, w lewej nieistniejącej kulisie stał mikrofon na statywie, przez który na początku pokazu przemawiała organizatorka.

– Ale ja stoję w prawej kulisie – powiedziała niechętnie Walka.

– To przejdiesz na lewo, też problem – prychnęłam i poleciałam do oświetleniowca.

Facet za konsoletą spojrzął na mnie z udręką.

– Pamięta mnie pan? – zagałam radośnie.

– Nie – powiedział i spojrzął w notatki.

– To ja przyszedłam prosić, żeby przed sceną piątą zrobił pan dłuższy blackout, licząc do dziesięciu.

Facet ponownie na mnie spojrzał, tym razem z odrobiną wstrętu.

– A. Pamiętam.

– To teraz mam jeszcze jedną prośbę – ćwierkałam dalej z fałszywą słodyczą. – Przed sceną czwartą też niech pan zrobi dłuższy blackout.

– Też licząc do dziesięciu? – spytał facet bardzo uprzejmie.

Czułam, że właśnie stajemy się jedną z opowieści o głupich amatorach (techniczni z upodobaniem wymieniają się takimi historiami).

– Nie. Niech pan czeka, aż usłyszysz pan taki jęk – oznajmiłam nieustraszenie.

– Jęk – powtórzył facet, który sam wyglądał, jakby chciał zajęceć.

– Instrumentu – dodałam.

– Dobrze – powiedział facet łagodnie. – Jaki tytuł przedstawienia?

Podaliśmy tytuł. Znalazł nasz scenariusz, zapisał moje życzenia na odpowiednich stronach.

Poszłam sobie, nie mając pewności, czy odniosłam sukces.

Po paru krokach odkryłam, że o czymś zapomniałam.

Zawróciłam.

Oświetleniowiec spojrzał, jakby mnie chciał mnie przetrącić.

– I mam jeszcze jedną prośbę – powiedziałam słodko. – W sprawie mikrofonu.

Facet odetchnął.

– Paweł, do ciebie – mruknął.

Dźwiękowiec Paweł łypnął znad konsoly.

– Chodzi o to, żeby na chwilę włączyć ten mikrofon na statywie – powiedziałam, starając się roztaczać maksymalny dostępny mi czar.

Sądząc po minie dźwiękowca, nie bardzo mi się udało.

– Na którą chwilę? – spytał.

– Przed sceną czwartą.

– Jak rozlegnie się jęk – mruknął oświetleniowiec.

Teraz obaj mieli taką samą minę.

– Dziękuję bardzo – rzuciłam i uciekłam, zanim któryś zdążył mi coś zrobić.

Wróciłam do zespołu.

– Plan B wdrożony – szepnęłam do Walki. – Adrian może się przestać denerwować.

– To bardzo dobrze – odszepnęła – bo mechanik się nie pojawia. Jego żona zaczęła się bać, że ruszył w Polskę. Istnieje duża szansa, że spędzimy noc w tym pięknym mieście.

– Nieważne – oznajmiłam, upojona swoją zaradnością. – Grunt, że mamy plan B. Będzie się działo!

– Dokładnie tego się obawiam – mruknęła Walka.

*

– Zjadłabym coś – szepnęła Helena, zapatrzona w gotowanie zupy na scenie.

– Ooo, a teraz kartofelki dają – powiedziała Monia tęsknie, również śledząc rozwój akcji. – Ja tak lubię kartofelki...

– Ciekawe, co zrobią z tą zupą po przedstawieniu – odezwała się Olga.

– A ja już nie jestem głodna – powiedziała Weronika. – Ja już czuję ciśnienie.

Jacuś się nie odzywał.

Adrian siedział z Walką, która wisiała na telefonie. Widać było, że troska o samochód zagłuszyła w Adrianie treść, głód i wszystkie inne niższe uczucia.

– Jeszcze go nie znaleźli – syknęła Walka, na chwilę odrywając się od relacji zdawanej przez nie naszego Adriana. – Ale żona się wkurzyła i rozpoczęła jednoosobową akcję poszukiwawczą. Czyli teraz to on już znajdzie się szybko. Tylko Adrian pewnie nie zdąży z tą płytą.

– Ooo, i cebulkę smażą – szepnęła Monia w zapatrzeniu.

Smakowity zapach smażonej cebulki torturował mnie w stopniu uniemożliwiającym myślenie. Nadal nie zjadłam moich kanapek, bo Jacuś mógłby mnie zauważyć, a oddalić się nie zdążyłam dalej niż do wychodka, którego stan zaciskał gardło. Przeklinałam swoje skąpstwo słowami, o których nawet nie wiedziałam, że je znam. A jednocześnie czułam, że mój skręcający się z głodu żołądek zaciska jakaś inna siła

– coś, od czego serce zaczęło mi bić szybciej i zrobiło mi się gorąco w środku, a zimno w dłoniach.

Wyczuwałam nadciągające wyjście na scenę.

– Jak tam, Jacuś? – zagadnęłam kontrolnie, siadając obok naszej primadonny, znanej, jak wiadomo, z panikowania przed wykonem.

Jacuś spojrzał na mnie niczym chuda wersja uśmiechniętego Buddy.

– Dobrze – powiedział błogo.

Z czymś mi się kojarzył ten jego uśmiech.

– Zaraz wchodzimy – powiedziałam ostrożnie, spodziewając się, że Jacuś chwyci się za głowę, ucieknie do wychodka albo zacznie w panice wkuwać rolę, którą zna od miesiąca.

– No – zgodził się Jacuś, ciągle z tym dziwnie znajomym uśmiechem.

Na scenie jeden z aktorów zbliżał się do parującego kotła. O ile dobrze widziałam, miał bardzo dziwną minę – jakby trochę płakał, a trochę chciał kogoś zabić. W uniesionych rękach niósł niczym ofiarę jedną jedyną kiełbaskę.

– Czy oni nie mieli więcej tych kiełbasek? – zastanowiłam się na głos.

Jacuś nie odpowiedział. Kątem oka spojrzałam na jego uśmiechniętą twarz i zrozumiałam, kogo mi przypomina.

Trawiącego węża.

*

Jak mówiłam, kocham teatr. Teraz właśnie nadeszła chwila, którą kocham najbardziej.

Scena.

Reflektory oślepiają, ręce zimne, serce wali. Czad.

Ale to jeszcze nie to, to w sumie nie brzmi zachęcająco. Równie dobrze mogłabym lubić stać w światłach nadjeżdżającego samochodu. Bo zapomniałam o jeszcze jednym: o adrenalinie. Nagle robię się gotowa na wszystko i pozbawiona skrupułów. Nie, to znowu jeszcze nie

to, bo to samo mam podczas egzaminów, a ich nie kocham. Jest jeszcze coś. Co? Nie wiem. Ale coś jest.

To coś sprawia, że na godzinę przenosimy się na inną płaszczyznę rzeczywistości. Oddychamy w jednym rytmie, wpadamy na genialne pomysły, odgadujemy nawzajem te pomysły, zanim partner zacznie je wprowadzać w czyn, i w ogóle zachowujemy się, jakbyśmy byli smokiem o siedmiu głowach. Nie, właściwie nie, bo na scenie mamy nie tylko wspólne serce, ale i mózg. Czyli zachowujemy się jak coś o czternastu nogach, jednej głowie i jednym sercu. Coś jakby zmutowany karaluch.

No właśnie. Kocham teatr za to, że na scenie czuję się jak zmutowany karaluch.

Mam nadzieję, że teraz już dobrze to wyjaśniłam.

Pół godziny po rozpoczęciu naszego przedstawienia zmutowany kolektywny karaluch był rozsiany po obu kulisach, w tym jednej nieistniejącej, oraz scenie. Za chwilę Weronika miała stanąć elegijnie z przodu sceny, rozpaczając nad klęską swojego związku z Jacusiem, a Walka miała przejść w ciemnościach, niosąc miski, żeby jęczeć nimi jako dusza.

Nie była zadowolona.

Szczerze mówiąc, z każdą chwilą poziom zadowolenia w Walce obniżał się coraz drastyczniej.

– Dlaczego nie mogę jęczeć tu? – wysyczała, nerwowo oglądając miski.

– Bo mikrofon jest tam – odpowiedział Adrian.

– Dlaczego nie przynieśliśmy mikrofonu tutaj?

– Bo ma za krótki kabel – pospieszyłam z odpowiedzią.

– Dlaczego ty nie możesz jęczeć?

– Walka – jęknęłam. – Stoję jako widmowa postać matki za Werką.

W następnej scenie wchodzi wszyscy oprócz ciebie. Nie bądź bumelantem.

– Nie jestem bumelantem, tylko się cholernie boję chodzić po ciemku.

– Co się może stać? – rzuciłam beztrąsko, demonstrując prawdę o swoim poziomie intelektualnym.

W tej samej chwili zgasły reflektory (póki co, oświetleniowiec dawał radę), więc wyszłam z Werką na scenę. Stałyśmy, czekając, aż Walka przemieści się do nieistniejącej kulisy.

– No idź – syknął Jacuś.

Walka stała z miednicami w objęciach, patrząc trwożnie w ciemność przed sobą.

– Ale ja nic nie widzę...

– A co sobie wiesz tu oglądać? Czego się spodziewałaś, pasa startowego? Szoruj, do cholery, bo będzie za późno!

Ponaglona lekkim kuksańcem Walka ruszyła przed siebie.

Idąc, otwierała szeroko oczy, choć równie dobrze mogłaby je zamknąć. Dokładnie tyle samo widziałyby w dobrze wyciemnionej sali.

Stojąc bardzo blisko niej, usłyszałam pierwsze syknięcie, kiedy nadepnęła na węzowisko kabli pod sceną. Dopiero wtedy ogarnęły mnie złe przecucia.

Całkiem słusznie, czego dowiodły następne wypadki.

Jakieś trzy sekundy później dobiegło mnie głośniejsze stęknięcie i głuche tąpnięcie, a potem stłumione brzydkie słowo. Następnie usłyszałam drugie stęknięcie podnoszącej się z ziemi Walki, zaraz po nim rozpaczliwe i gwałtowne: „Yyy!”, zagłuszone przeciągłym brzękiem, znowu brzydkie słowo i jakieś klepanie.

Z widowni dobiegło parę parsknięć i chichotów.

W tej samej chwili akustyk uznał, że właśnie usłyszał umówiony sygnał, i zapalił reflektory, ukazując wszystkim czerwoną, spoconą z wrażenia i bliską płaczu z wściekłości Walkę, na czworakach obmacującą podłogę w poszukiwaniu miski, którą upuściła.

Powiem tyle: scena płaczu duszy nie zasmuciła widzów tak, jak to sobie obiecywaliśmy.

*

– Denerwuję się – szepnęła Weronika w kulisie.

– E, co ty – pocieszył ją Jacuś. – Denerwować to się powinna Pina, jak Walka ją dopadnie.

Uwięziona po drugiej stronie sali Walka patrzyła na mnie wzrokiem, który widuje się w horrorach. Na razie była daleko ode mnie. Ale za chwilę miała wejść na scenę, z której – nie wątpiłam – wjedzie w moją kulisę niczym dywizja pancerna.

Teraz to już zupełnie nie byłam głodna.

– Pina jest tak jakby martwa, więc równie dobrze może się nie denerwować – powiedziała Weronika. – A ja się denerwuję. Zaraz potem mam przeciągnąć tego konia na sznurku. Jacuś, sprawdziłeś konia?

– Koń jak koń. – Jacuś wzruszył ramionami. – A bo co?

– A bo to, że jeśli znowu coś się wydarzy, to owszem, będą o nas pisać w gazetach, tylko nie tak, jak byśmy chcieli. Dostaniemy nagrodę, aha. Dla największych pokrak w historii teatru. Sprawdziłeś sznurek?

– Sznurek jak sznurek – westchnął markotnie Jacuś, oglądając bezradnie rekwizyt.

Sprawy techniczne, nawet jeśli chodziło o zamocowanie sznurka do dziecinnej zabawki, budziły w nim prawdziwą panikę.

– O matko – jęknęła Weronika i wyrwała mu nieszczęsny symbol dawnych ideałów. Szarpnęła za sznurek. Trzymał się mocno. Obejrzała kółeczka. Nie odpadały, nawet to felerne. Kręciły się. Wszystko wyglądało prawidłowo. – Jak ja się boję, że się wyłożę na tych kablach tak samo jak Walka. Chyba już nawet tekstu nie pamiętam z tego strachu. Co to będzie, jak zapomnę tekstu?

– Powiesz coś własnymi słowami – odezwała się spokojnie Helena. – I kto nam udowodni, że tak nie miało być?

– Jeżeli jeszcze ja się wywalę, a ten kretyn od świateł włączy reflektory, to widownia będzie się śmiała już do końca – histeryzowała Weronika. – Ja tego nie zniosę. Ja po czymś takim nie wejdę na scenę!

Chętnie bym ją pocieszyła, ale kiedy ostatnio pocieszałam Walkę, nie wyszło to najlepiej. Więc milczałam.

– Nic się nie wydarzy – przejęła moją rolę Helena. – Tylko pamiętaj, żeby ten sznurek rozciągnąć na scenie.

– Po ciemku?! – wrzasnęła szeptem Weronika. – Czy ja mam noktowizor w oczach, twoim zdaniem? Skąd będę wiedzieć, czy to scena?

– Pomacasz – odparła niewzruszona Helena. – Jak drewniane, to

scena. Jak ciepłe i piszczący, to widz. W takim przypadku zostaw i macaj dalej.

– Tak bardzo ci dziękuję – wysyczała Weronika. – A mogłam siedzieć w akademiku i kuć...

– Weronika, zasady są proste – powiedział Jacuś. – Sznurek kładziesz na drewnianym, nie na ciepłym. To nawet ja ogarnę.

– To proszę! – Weronika wepchnęła mu zabawkę w rękę. – Leć tam i kładź na drewnianym!

Jacuś natychmiast przestał się śmiać i odrzucił konika jak karalucha.

– Wera, zaraz wchodzisz – szepnęłam.

Weronika w ułamku sekundy z szalejącego, błyskającego obłąkanym okiem potwora przeistoczyła się w skupioną, emanującą łagodnym smutkiem kobietę naszego głównego bohatera. Twarz jej pobladła i niemal otoczyła ją świetlista aureola. Mogłabym przysiąc, że Weronika cały dzień spędziła w samotnej komnacie na szczycie wieży, haftując jednoróżce i wypatrując ukochanego. Nie oglądając się na nas, wpłynęła na scenę. Ze swojego miejsca widziałam twarze widzów w pierwszym rzędzie. Nie śmiali się. Powiedziałabym, że patrzyli z fascynacją na małą, kruchą Weronikę, która z długimi jasnymi włosami i twarzą renesansowej madonny wyglądała jak postać, która zstąpiła z fresku.

Tylko my widzieliśmy lekki powtarzalny ruch głowy, po którym rozpoznawaliśmy na scenie jej panikę. Wera miała do powiedzenia monolog, bezczelnie zmontowany z różnych szekspirowskich sztuk. Już na próbach twierdziła, że nie ma on sensu i trudno go zapamiętać. Teraz pod wpływem gwałtownych emocji w jej głowie najwyraźniej nastąpiło śpięcie skutkujące czasowym wyczyszczeniem danych. Widziałam to w jej spojrzeniu.

Monolog zaczynał się od słów: „Mów szeptem, jeśli mówisz o miłości...”. Czekałam w kulisie, aż Weronika wydobędzie z siebie głos. Wiedziałam, że kiedy przezwycięży pierwsze oszołomienie, reszta jakoś pójdzie.

Weronika powiodła wzrokiem po scenie. Przesunęła nim po mnie jak po przedmiocie: świat zewnętrzny najwyraźniej przestał dla niej

istnieć.

Wstrzymując oddech, zacisnęłam palce na kurtynie.

– Mów szeptem... – wymamrotałam, trochę w nadziei, że Wera usłyszy i się odblokuje, a trochę dlatego, że przez wszystkie próby powtarzam role z aktorami i odruchowo zaczynam mówić wtedy kiedy i oni.

Weronika milczała. Widziałam pot lśniący na jej policzku.

– Mów szeptem! – syknęłam głośniej.

Jacuś, który w głębi kulis plotkował z Monią, spojrział na mnie przestraszony.

Weronika przełknęła ślinę.

– Mów szeptem! – wycharczałam.

Tylko Jacuś, król egocentryzmu, mógł uznać, że ktoś, kto stoi tyłem i wpatruje się w scenę, przemawia do niego.

– Przecież mówię, do cholery... – zaczął głośniej i już z początkiem focha.

– ...jeśli mówisz o miłości! – dokończyłam, wpijając się wzrokiem w Werę.

Jacuś przez chwilę stał z otwartymi ustami. Potem, wykonawszy wielki wysiłek umysłowy, zamknął je i stanął za moimi plecami, również przyglądając się z niepokojem Weronice.

Na widowni jeszcze nie było słyhać rozmów, ale ciężar właściwy milczenia uległ zmianie. Wiedziałam, co to znaczy: za chwilę widzowie zaczną się rozkojarzać. Rozległo się pierwsze kaszlnięcie. Zamknęłam oczy.

I usłyszałam, jak Weronika bierze oddech. Otworzyłam oczy z radosnym uśmiechem ulgi.

Przedwczesnym, co zrozumiałam, gdy dostrzegłam błędne spojrzenie Wery.

– Godej cicho, kej godosz ło przociu. Yno nie myśl se, co jo mu przaja – zaczęła. Na widowni zrobiło się bardzo cicho. – To gryfny synek – niy, nie bardzo szumny i dumny, zdo się, co pasuje mu ta duma...

Mimo woli pomyślałam, że dawno nie słyszałam takiej ilości śląskiego naraz i że brzmi w nim ta melodia, która tak strasznie mi się

podoba. Miałam nadzieję, że inni też ją słyszą.

Lekko dusząc się z powodu nadal zapartego tchu, trochę szcękając zębami z emocji, wsłuchiwałam się jednocześnie w Weronikę i w milczenie widowni. Wydało mi się, że znowu zmieniło ciężar – na ten, który lubię. Stało się głębokim, treściwym milczeniem słuchających ludzi.

Nawet nie wiem, kiedy monolog dobiegł końca, ale nie mogłam odetchnąć, bo po nim nadeszła chwila, której Weronika tak się bała. Zapadły egipskie ciemności. Z zaciśniętymi zębami i łomoczącym o nie sercem odliczałam sekundy, wiedząc, że oświetleniowiec zaraz włączy reflektory. Weronika runęła w jedyną kulisę, zdarła z siebie bluzkę, narzuciła babciny kaftanik, nie zwracając sobie głowy guzikami, wbiła na głowę kapelusz, wyszarpnęła Adrianowi z dłoni okulary, które jej podawał, chwyciła sznurek od konika, którego piastowała Monia, i ruszyła w ciemność.

Po dwóch krokach przestałam ją widzieć. Stałam w strasznej niepewności, nie wiedząc, czy Weronika nie wywróci się na tych cholernych kablach, a oświetleniowiec nie ukáže jej w połowie drogi, w rozbebeszonym kostiumie, prawie topless i jeszcze w dodatku nie wiadomo dlaczego trzymającej sznurek, którego drugi koniec ginie w kulisie. Jeżeli już włożyła na nos okulary – takie ze sklepu ze śmiesznymi kostiumami, z podwójnymi szklami – nie mielibyśmy czego szukać ani na tym, ani na żadnym innym konkursie aż do emerytury. A Weronika pewnie mogłaby wyemigrować. Z tej planety, jeśli jej zdjęcie trafi do internetu.

Reflektory się zapaliły. Byłam tak bardzo pewna, że zobaczę Weronikę zastygłą w pół kroku, z biustem na wierzchu, w kapeluszu z chwiejącym się kwiatkiem na plastikowej giętkiej łożyczce i z głupimi pinglami na nosie, że kiedy ujrzałam pustkę, nie zrozumiałam, co to jest. Umysł nie potrafił zinterpretować obrazu, który przekazywały mu oczy. Powoli ten obraz – Jacuś w cierpiętniczej pozie na scenie, Weronika zaczajona w lewej kulisie, bez pingli, zapięta na ostatni guzik, oraz sznurek! sznurek biegnący równiutko wzdłuż krawędzi sceny – jakoś wtopił się w rzeczywistość i pozwolił się zaakceptować jako realny.

Dopiero kiedy oczy zaczęły mi wyłazić na wierzch, zrozumiałam,

że od jakiegoś czasu nie oddycham.

Zacząła się scena. Przy jęklivych dźwiękach liry korbowej Jacuś przeżywał utratę dawnych ideałów. Dałam Weronice znak i oto ideały wjechały na scenę. Na widowni zrobiło się bardzo cicho. Mimo woli pomyślałam, że to białe piórko, powoli lecące w mroku, faktycznie byłoby o wiele bardziej rozdzierające, i że Jacuś jak zwykle miał rację. I jeszcze – że powinnam mu po występie dać te przekłete kanapki. Potem pomyślałam, że konik też daje radę.

Na widowni było bardzo cicho. W kulisach też. Dlatego zaczęłam słyszeć coś niepokojącego. Jakiś powtarzalny dźwięk.

Coraz głośniejszy. Coraz bardziej wkurzający.

Jakiś pisk.

Skurwysyn konik skrzypiał kółeczkami.

Czas zwolnił. Zaczęłam dostrzegać bardzo wiele rzeczy, a przez moją głowę przebiegł tabun myśli.

Pomyślałam, że chyba coś się przeciwko nam sprzysięgło i jest nam pisane zostać pośmiewiskiem wśród teatrów amatorskich, bo te kółeczka jeszcze pięć minut temu obracały się bezgłośnie. Wiem, bo Weronika sprawdziła w kulisie, czy konik nagle z tajemniczych powodów nie przestał jeździć.

Usłyszałam, że pisk jest coraz głośniejszy. Za pół sekundy na widowni zaczną się śmiechy.

Zauważyłam dzikie spojrzenie Weroniki.

Zauważyłam napięte mięśnie na szyi Jacusia.

Zauważyłam też, że Olga wpatruje się w Jacusia, jakby czekała na jakiś znak.

Zupełnie bezradna patrzyłam, co się będzie dziać.

Weronika przestała ciągnąć za sznurek. (Zwariowała?). Biały konik zatrzymał się mniej więcej na środku sceny. Jacuś wstał. (Co?! Miał siedzieć do końca sceny jak żywy Chrystus Frasośliwy!). Podszedł powoli do konika. Olga w tej samej chwili zaczęła grać inaczej, dostosowując się do tempa i nastroju Jacusia. Przy sennych, pozytywnych dźwiękach Jacuś powoli się pochylił, podniósł konika i z nieopisaną czułością przytulił. Światła łagodnie zgasły.

Na widowni przez chwilę panowała cisza, a potem wybuchły

oklaski.

Wspominałam już, że kocham teatr?

*

Wracaliśmy w środku nocy, zziębnięci, głodni jak diabli i w fantastycznych humorach.

Główną nagrodę dostał oczywiście Kordian na linach. Dwie kolejne – ci z Estonii (przeczuwałam, że to wielka sztuka!) i z Trójmiasta (naprawdę genialnie śpiewali).

Ale za to odzyskaliśmy samochód, zwrócony nam przez wściekłą jak jasna cholera żonę mechanika. Która dała nam pięćdziesięcioprocentową zniżkę z powodu wybryków męża. Już to samo wystarczyłoby, żeby świat znowu stał się piękny.

I dodatkowo dostaliśmy nagrodę publiczności, wyrażającą się w dwóch tysiącach złotych.

Co prawda podejrzewałam, że to z litości – z powodu tragicznych doświadczeń Walki z miskami – ale nie zamierzałam wybrzydząć. Złapałam symboliczny czek i uciekliśmy gazem, zanim się rozmyślili.

Ponadto Weronika nie mogła się opędzić od fanów, chętnych do nauki języka śląskiego. Po pierwszej propozycji zamierzała się obrazić, myśląc, że to żart. Przy trzeciej bez drgnienia powieki podawała swój numer telefonu i stawkę.

Teraz pruliśmy czarną nocą przez czarne pola i czasem śpiewaliśmy, a czasem graliśmy w siadające zwierzęta. Nikt nie próbował się bawić w Co Zrobimy Pinie, co też było sympatycznym akcentem.

Tym razem Walka jechała z nami, a Helena z Jacusiem przesiedli się do jadącego z tyłu nie naszego Adriana. Możliwe, że Helena nadal miała focha o te jelenie – i o to, że przewidywania co do kulis w sumie się nie sprawdziły. Nie byłam zdolna przejąć się jej problemami. Daliśmy radę po raz kolejny! A do kasy siostry Moni przybyła nowa górka pieniążków. Naprawdę zaczynałam widzieć przed sobą światło.

Siedząc obok Adriana, wpatrywałam się w ten widoczny kawałek

szosy jak w jasną przyszłość. Przed nami pojawił się zakręt. Adrian zwolnił.

– Stać! – wrzasnęłam nagle.

Adrian odruchowo wdepnął hamulec. Zahamowaliśmy tak gwałtownie, że omal nie strzeliłam głową w przednią szybę. Za moimi plecami rozległy się jęki.

– Czy cię całkiem... – zaczęła Weronika.

Otworzyłam drzwi, nie czekając na ciąg dalszy, i popędziłam przed siebie.

Na środku drogi leżał kot.

Ostrożnie go dotknęłam. Żył. Był strasznie chudy i brudny. Zobaczyłam z daleka, jak wczółguje się na jezdnię. Musiał widzieć nadjeżdżający samochód. Albo był tak chory, że było mu wszystko jedno, albo chciał, żebyśmy go uratowali.

Albo przejechali.

Kot poruszył uchem. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. W świetle reflektorów jego oczy były zielone jak agrest. Zespół wysypał się z samochodu i stanął wokół.

– Co się stało? – spytała Walka.

– Żyje? – spytała Weronika.

– O co chodzi? – spytała Helena, która do nas dołączyła. – Znowu się zepsuliście?

– O matko, jaki cudny – jęknął Jacuś.

– Śliczny – szepnęła czule Monia. Wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać.

Kot syknął i zmrużył wrednie oczy.

Monia cofnęła rękę z rozczarowaniem.

Kot spojrzał prosto na mnie i wydał dziwny dźwięk. Nie było to miauknięcie. Brzmiało raczej jak ochryple gruchanie.

– Czegoś chce – zauważyłam z niepokojem. – Czego on chce?

– Może zapytać o drogę – mruknął Adrian. – A jak myślisz?

– Pogłaszcz go – powiedziała Monia.

– Przecież nie lubi – burknęłam, ale ostrożnie wyciągnęłam rękę.

Kot obwąchał ją dokładnie, a potem wtulił głowę w moją dłoń.

Podrapałam go za uchem. Jego mruczenie dotarło nawet do najdalej

stojącego nie naszego Adriana.

– Strasznie jest zimny – zauważyłam.

Jakby na potwierdzenie moich słów kot zapiszczał żałośnie.

– No pewnie, że zimny, ty też byś była zimna, jakbyś leżała na jezdni w taką noc – rzuciła Weronika. – Co za bydlę wyrzuca kota w listopadzie?

Kot jęczał coraz głośniej.

– A może się zgubił – podsunął nasz Adrian.

– Nie ma obróżki ani nic – powiedziała Monia. – I strasznie chudy, zagłodzony. To dziwne, bo w polu zawsze może sobie jakąś myszkę upolować.

– Albo bażanta – dodał ze smakiem Jacuś. – Kurczę, znowu bym coś zjadł.

– Może jest chory? – podsunęła Helena. Musiała podnieść głos, żeby przebić się przez jęki kota. – Ja też. To znaczy też bym coś zjadła.

– Co robimy? – spytała konkretnie Walka. – Nie będziemy tu stać do rana. Bierzemy go czy nie? I też bym coś zjadła.

Wszyscy z wyjątkiem kota zamilkli. Kot jęczał dalej, ale teraz w jego głosie oprócz żalości słyhać było wyraźne wkurzenie. To wkurzenie się udzielało. Zacisnęłam zęby, żeby nimi nie zgrzytać. Miałam ochotę urwać łeb nieszczęsnemu stworzeniu, jeśli nie zamilknie. W oczach Heleny dosztrzegłam to samo uczucie.

– To co robimy z kotem? I czy coś zjemy? – spytała w końcu Monia.

– Zjedzmy kota – warknęłam. – Dwa problemy rozwiązane.

Kot umilkł. Może mi się wydawało, ale spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Ja go nie biorę – zastrzegłam od razu. – Nie mam warunków i nie przepadam za kotami.

– A może on ma właściciela? – zastanowiła się Monia.

– Czy kot, który ma właściciela, tak wygląda? – rzuciła zniecierpliwiona Weronika. – Może miał, ale właściciel go wyrzucił. To się zdarza.

– Ja bym go wziął – powiedział Jacuś. – Zawsze miałem ochotę sprawić sobie kiciusia...

Wyciągnął rękę do kota, który pacnął go łapą.

– Kiciuś nie ma ochoty na ciebie – zauważyłam.

Kot odwrócił głowę w moją stronę. Zagruchał. Wstał z trudem i podszedł do mnie, lekko powłócząc tylną łapą. Spojrzał mi prosto w oczy i poważnie położył łapkę na moim kolanie. Wyglądał, jakby zwracał się do mnie z uroczystą prośbą.

– On chyba zdecydował się na ciebie – zauważył Jacuś z uciechą.

Kot zagruchał ponownie.

– Ja nie lubię kotów – zaprotestowałam w panice. – Nie umiem kotów! Nie wiem, co robić z kotami! Nie mam pieniędzy na kota!

– To go nie bierz i jedźmy – powiedziała podstępnie Walka.

– Wtedy on tu zamarznie! – jęknęłam w rozterce.

Kot dalej patrzył mi w oczy. Położył drugą łapkę na moim kolanie i wyprostował się tak, żeby znaleźć się bliżej mojej twarzy.

Niepewnie wzięłam go na rękę, brudnego i w ogóle.

Natychmiast przywarł do mnie całym ciałem, ale nie zwinął się w kłębuszek. Położył głowę na moim ramieniu. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Hipnotyzer – mruknął Jacuś.

– No cześć – powiedziałam do kota.

Wtedy on westchnął głęboko, wtulił się we mnie mocniej i zamknął oczy.

– Żebym ja tak umiał laski wyrywać – powiedział Adrian z uznaniem.

ROZDZIAŁ ÓSMY,

w którym opisuję krajobraz po kotostrofie

Następne dni przyniosły kilka odkryć.

1. Powinnam była zostać weterynarzem. To najszybszy sposób zbitcia majątku.

2. Kot jest kotką. W sumie zdrową, choć wygłodzoną. Niby jest dość duża, ale to jeszcze kocie dziecko. Prawdopodobnie mieszaniec dachowca z kotem bengalskim.

3. Bengal jest psem wśród kotów.

4. Ale nie do tego stopnia, żeby kąpiel nie była POWAŻNYM problemem.

5. Jeśli do tej pory nie zwariowałam, to stanie się to w ciągu kilku następnych dni.

Kotka, która, póki co, nie miała imienia – i nie wyglądała, jakby go potrzebowała – dostała ode mnie wyprawkę w postaci kuwety i worka żwirku. Od razu jej zapowiedziałam, że nie ma co liczyć na drapaki, drogie zabawki, kocimiętkę i inne fanaberie miastowych kotów, bo jesteśmy ubogie. Nie przejęła się, co nappełniło mnie nadzieją.

Niesłusznie.

Zaraz pierwszego dnia wspólnego mieszkania, kiedy wróciłam z uczelni, moim oczom ukazał się – no, może nie Mordor, bo tak mój pokój wygląda na co dzień – ale jakby Mordor po przejściu trąby powietrznej. Kotka olała brak drapaka, ponieważ za drapak uznała wszystko. Na szczęście nie uznała wszystkiego za swoją kuwetę.

Z regału pod sufitem patrzono na mnie uważnie zielonymi oczami, obserwując moją reakcję na kotostrofę.

Wiedziałam, że to dziecko, więc nie należy mówić przy nim brzydkich wyrazów.

– To nie twoja wina – powiedziałam zduszonym głosem. – Nie przemyślałam tej decyzji. Była noc, a ja miałam źle w głowie po konkursie. Nie mam warunków, żeby trzymać kota, i właśnie mi to

udowodniłaś. Zacznę ci szukać dużego, ładnego domu, który będziesz sobie mogła swobodnie demolować.

Zabrałam się do odgruzowywania, począwszy od bomby biologicznej, którą była kuweta.

Za moimi plecami rozległ się łomot.

Przykucnięta przy kuwecie, odwróciłam się gwałtownie (zrzuciła książkę czy coś innego ciężkiego?) i ujrzałam obok siebie wężowo wijący się ogon. Reszta kota znajdowała się pode mną i ocierała się o moje nogi z taką werwą, jakby brała udział w zawodach w ocieraniu się w stylu dowolnym.

– Co z ciebie za kot? – powiedziałam z wyrzutem. – Spadasz jak worek cegieł. Koty są bezszelestne, mama ci nie mówiła?

Gdzieś pode mną odchodziło bardzo przejęte gruchanie. Gruchano chyba na jakiś temat. Znajda usiłowała mnie o czymś poinformować. Może, że nie jest fajnie siedzieć przez sześć godzin w małym pokoju.

W sumie też bym nie była zachwycona.

– Jakoś musimy rozwiązać ten problem – zgodziłam się z nią.

– Chodź, pogadamy z chłopakami. Tylko rób dobre wrażenie. Myślisz, że potrafisz?

Znajda usiadła dwa kroki ode mnie, wyprostowała się i schludnie owinęła ogon wokół przednich łapek.

– Pierwszorzędnie – pochwaliłam. – Może się nabiorą. Idziemy.

Rozmowa nie szła tak dobrze, jak liczyłam. Na widok nowych rejonów mieszkania znajda całkiem się rozkojarzyła, prowadzenie negocjacji zostawiając mnie. Muszę tu przypomnieć, że wynajmuję mieszkanie do spółki z dwoma facetami. Fakt ten budzi zawsze wiele emocji, na które już machnęłam ręką. Mieszkam z chłopakami, bo mieszkanie z dziewczynami okazało się dla mnie zbyt trudne. Bo dziewczyny mają mnóstwo uczuć i ja co chwila te uczucia urażałam. A jak już je uraziłam, to nie chciały mi powiedzieć, co się stało. Więc dopytywałam się tak długo, aż zaczynał mnie trafiać szlag, wtedy obrażałam ich uczucia po raz kolejny i tak w kółko. Nie przeczę, że były też dobre strony mieszkania z dziewczynami, ale negatywy przeważały nad pozytywami. Aż w końcu z rozpaczki eksperymentalnie zamieszkałam z dwoma kumplami.

Moi współlokatorzy, na co dzień całkiem bezkonfliktowi, tym razem stawili opór.

– Nie lubię kotów – powiedział Wojtek. – Koty są dla bab. I jak się poznawaliśmy, mówiłaś, że też nie lubisz.

– Bo nie lubię – przyznałam. – Ale ona powiedziała, że jest prawie psem.

Wojtek spojrzał na mnie wzrokiem, do którego już się zaczynam przyzwyczajać.

– Kot do ciebie powiedział?

– O, mamy kotka. Właśnie chciałem spytać, czym tu tak wali – odezwał się Grzesiek, mój drugi współlokator, który właśnie się obudził, choć była trzecia po południu, i wszedł do kuchni, drapiąc się w zadumie po głowie. Po drodze podrapał po głowie również kotkę, która spojrzała na niego wzrokiem damy, którą ktoś uszczypnął w tyłek.

– Będzie zostawiać kłaki. Ja to znam, moja była miała kota. Co to była za gnida... Mówię o kocie.

– To tylko na jakiś czas – powiedziałam żarliwie. – Dopóki nie znajdę jej domu. Chodzi mi tylko o to, żeby mogła chodzić po korytarzu i kuchni. To nie jej wina, że jakiś drań wyrzucił ją z domu...

– Będziemy chodzić cali zakłóceni. I śmierdzący kuwetą – zapowiedział złowieszczo Grzesiek.

Kotka wskoczyła na stół kuchenny i z fascynacją przyjrzała się kubkowi, który Wojtek dostał parę dni temu od swojej dziewczyny. Potem zaczęła przykładać do niego nosek, miejsce po miejscu, jakby składała na nim lekkie pocałunki. Rzuciłam jej ostrzegawcze spojrzenie. Podniosła wzrok na sufit i wbiła w niego surowy wzrok. Najwyraźniej czymś jej podpadł, bo nie zauważyłam na nim nawet muszki owocówki.

– Spróbuję znaleźć taką krytą kuwetę i zmienię żwirek – obiecałam. Przy ostatnim słowie spojrzałam na kotkę, która właśnie, łapką precyzyjnie wygiętą w kształt łyżeczki, przesuwała kubek poza krawędź stołu.

TRZASK!

– I odkupię kubek – powiedziałam słabo po chwili.

Wojtek przejechał ręką po włosach.

– Jak ja się teraz wytłumaczę Beacie? Do końca tygodnia ma jej tu

nie być!

Poszedł do swojego pokoju.

– Kota! – rozległ się niedługo później jego krzyk. – Kota ma nie być! Jasne?

Kotka spojrzała na mnie cynicznymi zielonymi oczami i ziewnęła.

*

Tydzień później kotka dalej była i nadal nie miała imienia.

Przyprowadziłam osiem osób chętnych do adopcji. Osiem razy znalazła taki pokaz wredoty i dzikości, że siedmioro chętnych mało nie połamało sobie nóg na schodach. Ósma, najtwardsza, oznajmiła, że jej to nie przeraża, bo jest doświadczoną kociarą z dwójką własnych kotów, i że zresocjalizuje zwierzaka.

Dwa dni później zapukała do moich drzwi o siódmej rano.

W oczach miała obłąd, w rękach transporter.

– Masz tę diabolicę – powiedziała, wpychając mi w ręce plastikowe pudło. Przez kratkę spojrzały na mnie ironiczne zielone oczy. – Moje koty dostały przez nią nerwowej sraczki. Przeżyłam dwa dni w piekle i więcej nie chcę. Transporter możesz sobie zatrzymać, bo przeszedł jej zapachem i koty go rozszarpiały.

Wojtek, który akurat wychodził ze swojego pokoju, stanął jak skamieniały.

– Robię, co mogę – powiedziałam przepaszająco.

– Ona też – mruknął Wojtek i poszedł do łazienki.

Otworzyłam drzwiczki transportera. Kotka wyłoniła się z niego niczym gwiazda, której odźwierny przytrzymuje drzwi, i bez wahania skierowała się do mojego pokoju.

*

Kiedy nie wiesz, co zrobić, zrób imprezę.

Ta zasada nigdy mnie nie zawiodła. Zresztą trzeba było oblać

konkursowy sukces.

Otworzyłam pierwszą z wielu butelek wina.

– Ono musi pooddychać – zapowiedziałam surowo i sięgnęłam po miskę sałatki.

Kiedy znowu odwróciłam głowę, ujrzałam przyssanego do butelki Jacusia.

– Co robisz, szkodniku? Mówiłam, że trzeba mu dać pooddychać!

– No właśnie robię mu oddychanie... usta-usta – wymamrotał Jacuś półgębkiem.

Wyrwałam mu butelkę.

– Olga, pilnuj wina – poprosiłam. – Stój tu i nie odchodź.

– Będę. Będę tu stała okonjem – zapewniła mnie Olga, która zaczęła odkrywać idiomy naszego języka.

Znajda wskoczyła na stół i z zainteresowaniem powąchała szyjkę butelki. Polizała ją, mrużąc oczy.

– Następny pijaczyna – mruknęłam. – Zjeżdżaj, cholero.

– Jest śliczna – zachwyciła się Olga, podobnie jak wszyscy, którzy nie znali kotki bliżej. – Jak się nazywa?

– Aktualnie Cholera – wyjaśniłam. – Czasami Złaź Stamtąd W Tej Chwili albo Niech Ja Cię Złapię, Kocia Twoja Morda. Różnie.

Mocny charakter kotki zdążył mi dać do wiwatu i pozbawił mnie wrażliwości na zielone oczy i elegancką sylwetkę.

– Jak ja bym ją chciała mjeć... – powiedziała Olga tęsknie.

– A jak ja bym chciała, żebyś ją miała... – mruknęłam. – Spróbuj z nią pogadać.

– Mam... z nią... – Olga spojrzała na mnie bezradnie. Pokazałam jej gestem, żeby pogłaskała kotkę. Olga wyciągnęła rękę. Znajda odsunęła się ze zgorzaniem, podeszła do mnie i otarła się głową.

– Coś się na mnie uparła? – spytałam ze zmęczeniem. – Wcale nie jestem taka fajna.

– To by się zgadzało – oznajmił Jacuś. – To wino już odetchnęło wreszcie?

Wziął korek i rzucił przez pokój.

Kotka oderwała się ode mnie, postawiła uszy i elastycznym susem rzuciła się w ślad za korkiem. Dopadła go pod ścianą, chwyciła

w pyszczek i wskoczyła na stół. Położyła korek przed Jacusiem.

– A niech mnie – powiedział ten z podziwem.

Kotka trąciła korek nosem i spojrzała na Jacusia z nadzieją.

Jacusz rzucił.

Kotka przyniosła.

– Faktycznie jakby pies – zauważyłam.

Poklepałam ją po grzbiecie.

– Koty tak nie lubią – ostrzegła Helena.

Kotka zamruczała i podstawiła mi grzbiet pod dłoń.

– I kot już zwariował – powiedziała Helena z przygnębieniem.

– Wszyscy tak skończymy.

– Niektórzy wcześniej od innych – mruknął Wojtek.

Zimna wojna kotki z Wojtkiem nadal trwała. Grzesiek już dawno przestał protestować, a niedawno przyłapałam go przy śniadaniu na karmieniu znajdy szyneczką. Ale Wojtek nawet na imprezie rzucał na kotkę niechętnie spojrzenia, ignorowane przez nią z monarszą obojętnością.

Podobno koty nienawidzą zamieszania i obcych ludzi. Znajda jednak zachowywała się podczas przyjęcia jak królowa balu. Kiedy po jakichś pięćdziesięciu rzutach znudziło ją aportowanie, zaczęła zabawiać gości. Zaczepiła wszystkich, spróbowała wszystkiego, wydłubała parę kulek winogron z niepilnowanej sałatki, a w największą ekstazę wpadła, kiedy nie całkiem trzeźwa Walka zaczęła śpiewać. Kotka usiadła przed nią, potem stanęła na tylnych łapkach, wspierając się przednimi o kolana Walki, w końcu, rozszarpywana emocjami, wskoczyła na stół, a z niego na ramię Walki, i zajrzała śpiewaczce z fascynacją do ust. Po paru nieudanych próbach upolowania języka położyła się wygodnie na ramieniu Walki, oparła głowę o jej szyję i przymknęła oczy z zadowoleniem.

– Dobry kot, muzykalny – powiedział Jacusz. – W sam raz dla nas.

– Wiedziała, komu wyskoczyć przed samochód – dodał Adrian.

Kotka uśmiechnęła się do siebie.

*

Odprowadziłam moją kompanię do przystanku. Podczas imprezy niepostrzeżenie spadł pierwszy śnieg. Zrobiło się jaśniej i bardzo zimno. Ale myśmy zimna nie czuli, upojeni niedawnym sukcesem i jeszcze bardziej niedawnym winem. Z wyjątkiem Weroniki, która nie pije i nie daje się przekonać, że wino jest produktem stuprocentowo wegańskim, zasadniczo wręcz sałatką. Dlatego ona jedna była niezadowolona.

– Gorąco! – stwierdził Jacuś, rozpinając kurtkę.

– Cudownie! – dodała Walka.

– Moczymordy – mruknęła Weronika. – Jest zimno.

– Skąd! Gorąco! Wyspy Bahama! – szalał Jacuś.

Weronika miała siny nos i może to odebrało jej ochotę do żartów.

– Co ty powiesz – warknęła. – A to białe na chodniku to co?

– Wiórki kokosowe! – zakrzyknął Jacuś zwycięsko.

– Dziwny ten twój kot – stwierdziła Monia.

Nie musiała mi przypominać. Podczas wychodzenia gości kotka urządziła scenę. Plątała nam się pod nogami, miaucząc, a kiedy otworzyłam drzwi, pierwsza wyszła na korytarz i przystanęła, czekając na nas. Wyraźnie chciała się przespacerować.

– Trzeba było ją zabrać – dodał Adrian.

Westchnęłam. Tego mi brakowało, żeby z kotem na sznurku pokazywać się na dzielni. Grzesiek zabrał bardzo rozczarowaną znajdkę do mieszkania, ale jeszcze na schodach słyszałam rozpaczliwe miauczenie. Nie da się ukryć, miałam wyrzuty sumienia.

– Czas podjąć decyzję – powiedziałam, żeby je zagłuszyć.

– Idziemy do tego talent show czy nie?

– Idziemy! – zakrzyknął Jacuś. – Naprzód!

– Nie wygłupiaj się, debilu. Serio startujemy? Bo brakuje nam jeszcze sto tysięcy zeta.

Dodam tu, że ku naszemu szczeremu zdumieniu suma na koncie przeznaczonym dla siostry Moni prezentowała się bardzo okazale. Oczywiście nie tylko za naszą sprawą – pieniądze płynęły też od różnych organizacji, a także od ludzi dobrej woli z fejsa i innych serwisów. Ale trzeba przyznać, że głównie na stan tego konta miały wpływ występy Walki, a także nasze wykony, na których opowiadaliśmy smutną historię

siostry Moni.

W tych okolicznościach naprawdę zaczęliśmy wierzyć w siebie.

– Idziemy – zgodziła się Walka. – Jak się powiedziało: „A”, trzeba powiedzieć: „Kuku”.

I zaczęła się zaśmiewać razem z Jacusiem.

– Ty mi powiedz, Weronika – zwróciłam się do jedynej trzeźwej w towarzystwie. – Tobie jednej uwierzę. Zgadza się iść? Może nie być fajnie. Mogą nas ośmieszyć i upokorzyć.

Monia się nie odzywała, ale widziałam, że słucha uważnie.

– Czyli jak co dzień – powiedziała Weronika, pociągając nosem. – Idziemy. Możesz mi wierzyć.

Faktycznie, Jacuś miał rację. Jakoś zrobiło się ciepło.

Ale na wypadek gdybym miała oszaleć z tego szczęścia, zaraz nastąpiły dwa równoważące wydarzenia. W połowie drogi do przystanku dogoniła nas Olga, która została z Grześkiem i Wojtkiem. Tylko na nią spojrzałam i przez mgłę oparów alkoholu zobaczyłam, że coś jest nie tak. Olga przybiegła w rozpiętej kurtce, z rozwianym ciemnym warkoczem.

– Pinka! – krzyknęła z daleka. – Idź! Coś Wojtkowi wydarzyło się! Od razu zrobiło mi się zimno.

– Co się wydarzyło? – spytałam nerwowo.

Olga stała przez chwilę, szukając właściwych słów.

– Upadł na głowę – powiedziała w końcu. – Chyba doznał utraty mózgu.

Przez chwilę sama podejrzewałam się o obie te rzeczy.

– Urazu mózgu? – zareagowała trzeźwa Weronika. – Dzwoniłaś po pogotowie?

– On nje chce – powiedziała bezradnie Olga. – Trzyma się za głowę i mówi, że pogotowie będzie trzeba zawezwać do kota.

Oj, niedobrze. Przyspieszyłam kroku. Za mną poszła reszta.

W domu ujrzałam leżącego u siebie Wojtka, który łypnął na mnie spod spoczywającej na jego czole torby mrożonego szpinaku.

– Nic mi nie jest – powiedział ponuro. – Tylko łeb sobie rozpieprzyłem i kolano też. Ale jak już będę mógł wstać, to zabiję sukę.

Okazało się, że kotka weszła mu pod nogi akurat wtedy, kiedy

niósł do zlewu górę talerzy. Tych talerzy też już nie mieliśmy.

Zajrzałam do swojego pokoju. W znanym mi już miejscu na szczycie regału, pod samym sufitem, w mroku świeciły zaniepokojone oczy.

Znajda wiedziała, że przegięła.

A druga katastrofa wydarzyła się pięć minut później. Zadzwoił nie nasz Adrian i Walka w porywie pijackiej szczerości powiedziała mu, dlaczego go nie chce. A potem bardzo długo do nikogo się nie odzywała.

*

Zawsze kiedy urządzam imprezę, zapominam o jednym fakcie: impreza rzeczywiście pomaga na problemy, ale tylko dlatego, że potem w porównaniu z tym przeklętym bólem głowy wszystko przestaje się liczyć. O trzeciej nad ranem, obudzona przez pękający łeb i pragnienie przeżerające gardło, powlokłam się do kuchni. Drzwi mojego pokoju były uchylone, co przyjąłam z ponurą rezygnacją, bo znajda już czwartego dnia pobytu odgadła, do czego służy klamka. W kuchni zabawiłam nieco, od czasu do czasu wpadając z krótką wizytą do łazienki. Staralam się nie hałasować, ale koordynacja ruchowa stała się dla mnie umiejętnością ponad siły. Poza tym wydawało mi się, że zrobiło się mnie znacznie więcej. W każdą stronę kończyłam się dalej niż zwykle. Przejście między meblami bez ich potrącania okazało się niewykonalne.

W końcu, gdy wprowadziłam wystarczającą ilość wody do płynącego w moich żyłach alkoholu, polazłam z powrotem do łóżka. Po drodze spojrzałam na uchylone (oczywiście) drzwi pokoju Wojtka. Przystanęłam i zajrzałam do środka. Wojtas spał ze zmarszczonymi brwiami. Spod kołdry wyglądała jego noga z kompresem na spuchniętym owłosionym kolanie.

Do kolana przytulała się kotka. Jej mruczenie słyszałam nawet ja.

Wojtek zasnął z ręką na jej grzbiecie. Znajda jakby poczuła moje spojrzenie, bo otworzyła oczy i spojrzała na mnie poważnie.

Cichutko poszłam do siebie.

*

– Pogięło cię? – spytał Wojtek.

Jeśli nawet, to przecież nie w tej chwili, więc uznałam pytanie za retoryczne i włożyłam kolejny kocyk do transportera. Znajda, nadal bezimienna, kręciła się podniecona obok, gotowa w każdej chwili wejść.

– Na próby ze mną chodzi – powiedziałam po jakimś czasie, bo Wojtek nadal stał nad nami. – Więc czemu nie na eliminacje?

– Mówiłem do kota – wyjaśnił Wojtek, kręcąc głową.

Faktycznie, brzmi to dziwnie, ale zaczęłam nosić kotkę na próby. Pierwszy raz zdecydowałam się na ten desperacki krok w przyływie szaleństwa, do którego doprowadziły mnie powtarzające się co próbę straszne sceny: znajda goniąca za mną do wyjścia, odnośnienie jej do mieszkania, bo wymykała się w ostatniej chwili, a potem jej płacz zza zamkniętych drzwi, długo rozbrzmiewający na schodach i w mojej głowie. Żaden znany mi pies nie rozpaczał tak po wyjściu człowieka, nie mówiąc już o kotach. Wreszcie pękłam. Po kolejnej scenie poszłam do pokoju po transporter, rozważając, jak to wyjaśnię zespołowi i jak przewiozę kuwetę autobusem. Ledwie otworzyłam kontener, kotka wbiegła do niego, nawet nie czekając na włożenie kocyka, i runęła w środku niczym Rejtan.

Do tej pory nie potrafiłam zgadnąć, dlaczego uwzięła się akurat na mnie, choć mogła wybierać wśród tłumu kocich wariatek, które paliły się do noszenia jej na rękach i rzucania jej pod łapki puszczonek z owocami morza oraz myszek z kocimiętką. Z czasem nabrałam paranoicznego przekonania, że nie chodziło jej o mnie, ale o dostanie się do teatru. Zespół zaczął snuć teorie, że to inkarnacja jakiegoś aktora, bo na próbach uspokajała się i leżała z zadowoleniem na kocyku, obserwując nasze wygłupy. Ożywiała się, kiedy ktoś zaczynał śpiewać. W miarę możliwości wskakiwała wtedy delikwentowi na ramię i z zaciekawieniem oglądała mu wnętrze ust, czasem sięgając tam łapką. Nie mogąc wejść na ramię śpiewaka, ocierała się o nogi, wyprężając ogon i wydając z siebie to dziwne gruchanie.

Kotka, wciąż bezimienna, na próbach zachowywała się jak anioł. Pozbawiona możliwości wyjścia na próbę, stawała się demonem.

Dlatego teraz, odprowadzona wzrokiem Wojtka, który na do widzenia popukał się w głowę, wyszłam z transporterem na wietrzny grudniowy poranek, by dołączyć do reszty czekającego na mnie zespołu.

Wybieraliśmy się na casting do programu.

– A może byś ją nazwała? – zaproponował Jacuś po drodze.

– W celu? – spytałam półgębkiem, bo lodowaty wiatr świstał mi między zębami.

– Żeby wiedziała, że o nią chodzi.

– I tak wie – mruknęłam, osłaniając transporter.

Trochę się bałam, że zimowy wiatr wykończy zwierzaka. Z wnętrza transportera nie dobiegały lamenty, ale może dlatego, że lamentująca zamarzła.

Zajrzałam przez kratkę do środka. W gnieździe z grubo usłanych kocyków z lumpeksu błyszcząły zmrużone oczy. Wydało mi się, że słyszę nawet mruczenie.

– To może, żeby ją wołać – nie ustąpił Jacuś.

– I tak przychodzi, kiedy chce – odparłam.

– To w celach marketingowych – odezwała się Helena zza szalika.

– Co ona powiedziała? – zaciekawiła się idąca z tyłu Walka, której nawiało śniegu do uszu.

– Właśnie też nie rozumiem – mruknęłam.

– A jak cię pytają telewizory, jak się kicia nazywa, to co im powiesz? – spytała surowo Helena.

– A jak nas pytają, jak my się nazywamy, to co im odpowiemy? – wtrącił Adrian.

– Weronika, Adrian, Pina i tak dalej – odparła Weronika. – Mózg ci zamarzył?

– Jeśli startujemy jako grupa, ze względów marketingowych warto by się jakoś nazwać – powiedział Adrian, wycierając okulary.

– Kurczę, on ma rację – mruknęłam. – Trochę późno się zorientowaliśmy. Trzeba nazwać grupę.

– Trzeba nazwać kota! – dodała dramatycznie Monia. – Cały internet stoi na kotach. Wszyscy się będą kicią interesować.

– Jeśli przejdziemy – zauważyła Helena trzeźwo. – Bo jak w komisji siedzi ktoś uczulony na koty, to żegnaj, sławo.

– Nie gadajcie na zimnie! – zdenerwowałam się. – Wszyscy zachrypniemy i nie przejdziemy, nawet gdyby tam w komisji siedziało Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

Na wcześniejszej naradzie uzgodniliśmy następujący plan: wystąpimy jako zespół – wszyscy z wyjątkiem Walki, która wystartuje osobno, jako solistka. W ten sposób zwiększaliśmy swoje szanse, a poza tym szkoda było marnować potencjał Walki w grupowych wygłupach. Jej atutami były: genialny głos, talent, uroda i jeszcze parę drobiazgów. My mieliśmy Jacusia i kotkę.

Którą, faktycznie, trzeba było jakoś roboczo nazwać.

– Wy coś wymyślcie – powiedziałam – bo jak na nią patrzę, to mi przychodzą do głowy same brzydkie słowa.

– Może Milenka – zaproponowała Olga, która nie знаła tej cholery tak dobrze jak ja.

– Może Zaraza – zaproponowała Helena, która znała ją lepiej.

– Dlaczego tak njeładnie? – spytała Olga, nie karcąco, bo nie była zdolna do paskudnych uczuć, ale ze zmartwieniem.

– Ostatnio ta cholera dostała jakiejś manii na tle torby Heleny – wyjaśniłam. – Raz usiłowała wyemigrować w niej z domu, innym razem zjadła Helenie długopis i część notesu z ważnymi notatkami... i chyba zdarzyło jej się popuścić do środka.

– Nie chyba – mruknęła Helena. – Nie zapomnę tego powrotu do domu. Nie macie pojęcia, co to jest wykluczenie społeczne, dopóki nie wsiądziecie do autobusu w godzinach szczytu z torbą jadącą kocią kuwetą.

– Mania – odezwała się Monia. – To brzmi ładnie.

– I prawdziwie – zgodził się Jacuś.

Z transportera dobiegło aprobujące gruchanie.

– Czyli casting na imię wygrała Mania – oznajmiłam. – Szybko poszło. To teraz jeszcze tylko nazwa grupy.

– Tylko – prychnął Jacuś.

Wsiadliśmy do autobusu i zbiliśmy się w grupkę z tyłu.

– Może coś, że jest nas siedmioro? – podsunęła Monia.

– Osmjoro – doprecyzowała nieśmiało Olga, poprawiając wymykający się futerał z lirą.

Na twarzach zespołu odmalował się wysiłek umysłowy. Na odmalowaniu się skończyło.

– Może coś w tym kierunku, że jesteśmy z Warszawy – podsunął Adrian.

– Ja nie jestem – powiedziałam.

– Ja też nie – dodała Weronika.

– W sumie nikt nie jest – zauważyła Helena. – Oprócz Moni.

– Ja jestem z Grodziska – zaznaczyła Monia.

– No ale że tu studiujemy... – nie poddawał się Adrian. – I że śpiewamy... Coś jak Poznańskie Słowiki. Może Warszawskie Słowiki?

– O Jezu, Adrian, nie rób mi wstydu przy ludziach – jęknęła Weronika. – Kogo nazywasz słowikiem?

– Już prędzej słoiki – dodał Jacuś.

– Warszawskie Słoiki – powtórzyła Monia. – Ej, lubię to.

Wsiedliśmy do autobusu jako normalni (założmy) ludzie, wysiedliśmy jako słoiki. I było nam z tym dobrze.

*

– Powiem wam – odezwała się Helena gdzieś w trzeciej godzinie oczekiwania – że nawet jeśli nic tu nie zwojujemy, i tak czuję się cholernie wygrana. Już nigdy, NIGDY nie pomyślę, że jestem największą wariatką na tym świecie.

– Z drugiej strony jednakże – zauważył trochę markotnie Jacuś – ciężko będzie dalej myśleć o sobie w kategoriach gwiazdy.

– Nie myślę o sobie w kategoriach gwiazdy – obruszyła się Helena.

– Nie o tobie mówię – powiedział Jacuś ze smutkiem.

Tłum, który nas otaczał, był najbardziej. Najbardziej dziwny, najbardziej beznadziejny, najbardziej genialny. Na casting przyszło wszystko, co było w Warszawie i okolicach kolorowe, błyskotliwe albo zdiagnozowane ze skierowaniem do leczenia.

Na tym tle naprawdę nie wyglądaliśmy najpokraczniej.

Co faktycznie mogło cieszyć, ale i niepokoić. Przyszliśmy tutaj, żeby się czymś wyróżnić. Na razie wyróżniała nas tylko kotka. A i to nie bardzo. Po jakimś czasie odkryłam, że jeden gość z irokezem i kolczykami przyprowadził jaszczura na smyczy. W życiu nie pomyślałabym, że możemy wyglądać jak bezpieczna przeciętność. Myślałam, że lokujemy się w pierwszej dziesiątce popaprańców, cudaków i wygłupów. Teraz okazało się, że nie – i że tęsknię za naszą pierwszą dziesiątką.

– Nie zamierzałam tak łatwo z niej rezygnować.

Obok nas usiadła dziewczyna. Miała niebieskie włosy i takie nogi, jakby jej matką była lalka Barbie. Miała też dziwnie znaną mi twarz. Po chwili przypomniałam sobie, że wygrała jakiś program telewizyjny.

– Jaka sicna kicia – powiedziała dziecinnym głosem.

Nowo nazwana Mania właśnie ostrożnie wychyliła się z transportera. Rozejrzała się po otaczającym ją zwierzyńcu, nie wykazując chęci, żeby pokrażyć w tłumie.

Dziewczyna z nogami Barbie wyciągnęła do niej rękę. Mania odsunęła głowę i zmrużyła oczy. Czubek jej ogona zadrgał.

Dziewczyna zlekceważyła znaki ostrzegawcze.

– Sicny, cudny futsacek! – zaszczebotała.

Mania spojrzała na nią jak na upośledzoną umysłowo.

Dziewczyna potarła ją za ucho.

Zamknęłam oczy, żeby na to nie patrzeć. Dlatego sytuacja przedstawiła mi się od strony dźwiękowej. Syk, jakby ktoś odkręcił butlę z wodą gazowaną, parsknięcie, a potem pisk idiotki z genami Barbie.

Kiedy otworzyłam oczy, idiotka tuliła do siebie rękę, a w głębi transportera świeciły wściekłe oczy. Przysięgłabym, że słyszę mamrotane kocie przekleństwa.

– Przepraszam – powiedziałam. – Koty tak mają.

– Mam nadzieję, że na przesłuchania nie traficie do Ani – wycedziła idiotka. – Jest uczulona na koty i na pewno was nie przepuści.

I poszła, zostawiając mnie z tą wiadomością.

– Rozumiem twoje racje – powiedziałam do transportera – ale ogarnij się, sabotażystko. Gra idzie o większą stawkę niż twoja kicia

godność.

Jak się okazało, cały ten tłum przesłuchiwały dwie osoby, wymieniona przed chwilą Ania i ktoś jeszcze. Wyglądało na to, że posiedzimy tu do północy. Problem kociej kuwety (o której zapomniałam) zaczął wydawać mi się ważniejszy od tego, czy dobrze wypadniemy.

– Może zdążę ją odwieźć do domu – powiedziałam z wahaniem.

– I akurat nas zawołają, jak cię nie będzie – przepowiedziała Helena. – Mowy nie ma.

– Poradzicie sobie beze mnie.

– W życiu – oburzyła się Helena, co mi niesamowicie pochlebiło. Jednak jestem dla nich ważna! – To znaczy normalnie byśmy sobie poradzili, ale masz tę solówkę, a ona robi całą piosenkę. Nikt oprócz ciebie i Walki tak wysoko nie wyciągnie, a Walka z nami nie śpiewa.

No tak.

– Patrzcie, jakby się teraz przydał ten jej Adrian – zauważyła nietaktownie Weronika.

Walka odwróciła wzrok. Po tamtym telefonie po pijaku Adrian znikł bez wieści. Nie dzwonił od dwóch tygodni, a kiedy Walka zadzwoniła do niego, rozmawiał z nią miło, ale nie zaproponował spotkania. A to ruszyło Walkę bardziej, niż się spodziewała. Niepostrzeżenie przywiązała się do Adriana tak, jak ja do naszego miejsca w czołówce miejscowych wariatów.

– Przecież Adrian nie śpiewa – mruknęłam, żeby się roześmiała i zamknęła.

– Co ty gadasz, mnie chodzi o to, że ma ten samochód i zawsze nam tak fajnie pomagał we wszystkim – powiedziała Weronika, której coś padło na umysł.

Walka wstała gwałtownie i odeszła.

– A tej co się... – zaczęła Weronika i zastygła z otwartymi ustami.

– O. O! Aha...

– Otóż to – warknęłam.

– Głupio wyszło z tym Adrianem – zauważyła Helena. – Stawiałam na to tarota i powiem wam, kiepsko.

– Bardzo kiepsko – zgodził się nasz Adrian. – Dwudziesty

pierwszy wiek, a baby dalej wierzą w gusła. Czarnego kota nie zabiłaś chyba na rozstajach dla odczynienia uroków?

Z transportera dobiegło syknięcie.

– Obraził się? – spytała Monia.

– Kot chyba tak – powiedziałam. – Adrian – nie wiem. Możliwe.

A może raczej stracił nadzieję.

– A myśmy stracili jego – westchnęła Helena z takim bólem, jakby sama kandydowała do ręki Adriana.

– I z Mańką też trzeba coś wymyślić – dodałam. – Jeśli ta przesłuchująca naprawdę nie lubi kotów...

– Nie wypuszczać z transportera – wymyślił Adrian.

– Zacznie się tak drzeć, że nas zagłuszy – powiedziałam, bo już coś o tym wiedziałam.

– Może i lepiej – mruknęła Helena.

– Zostawić w transporterze pod drzwiami – podsunęła Monia.

– Jeszcze kto ukradnie – przestraszyła się Olga.

– Nie, tyle szczęścia to ja nie mam – mruknęłam, ale szczerze mówiąc, serce mi się jakoś ścisnęło na tę myśl. Może przyzwyczaiałam się nie tylko do wiodącej lokaty na liście porąbańców.

Nie mieliśmy szansy wymyślić nic konkretnego, bo pięć minut później stanęła przed nami Walka.

Na widok jej spojrzenia Weronika przełknęła ślinę. Weronika, jak wiadomo, rzadko się peszy.

– Tak że ten... Bo tego... – zaczęła. – Bardzo cię prze...

– Ja już byłam – przerwała jej Walka z nieprzeniknioną twarzą.

– Znam tę Anię, chodziła na lekcje do mojej mamy. Zagadałam z nią, żebyście mogli teraz wejść. Zaraz was zawoła.

– Jak ci poszło? – spytałam, podrywając się nerwowo i zamykając transporter.

– Okaże się za dwa tygodnie – rzuciła Walka i usiadła w pewnym oddaleniu.

Spojrzałam na grupę. Monia cicho dzwoniła zębami. Helena dostała purpurowych rumieńców, z którymi wyglądała jak najpiękniejsza góralka we wsi. Jacuś nerwowo poprawiał kunsztowną fryzurę typu:

„Wstałem z łóżka, nic nie zrobiłem z włosami i wyszło tak o”. Adrian

wyglądał jak boleśnie uśmiechnięty badacz życia rozwielitek.

Po prostu skazani na sukces.

Pomyślałam, że jeśli nam się uda, to chyba dam na mszę, bo inaczej niż w kategoriach cudu nie da się tego wyjaśnić.

*

Dwa tygodnie później wyszło na to, że trzeba będzie dać na tę mszę. Pani, która zadzwoniła do mnie z produkcji, powiedziała, że zapraszają nas do pierwszego etapu programu.

Najpierw długo się upewniałam, że chodzi o nas. Potem – że nie chodzi o Walkę. W końcu prawda do mnie dotarła i pomyślałam ze skruchą, że będę musiała całować zespół po butach w ramach przeprosin za to, że go nie doceniałam.

– Tylko koniecznie zabierzcie kota – dodała pani. – Ania, która was przesłuchiwała, powiedziała, że on jest urodzoną gwiazdą telewizji.

Powoli odłożyłam słuchawkę. Z najwyższego miejsca na regale pod sufitem zagruchano. Nie wiem, na jaki temat, ale była w tym ironia.

– Tylko bez komentarzy – warknęłam. – I niech ci czasem nie przyjdzie do tego wrednego kociego łba, że cię będę po czymś całować, gwiazdo telewizji. Jeszcze się nie policzyłyśmy za tamte talerze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY,

w którym ja i Walka wychodzimy z szafy

Święta zbliżały się nieubłagane, co w codziennym galopie poznawałam głównie po nagłym natarciu armii czekoladowych mikołajów na Lidl. Po świętach, zgodnie z odwiecznymi prawami przyrody, można się było spodziewać końca roku, a po nim – operacji siostry Moni.

Na którą nadal nie zebraliśmy wystarczającej sumy.

Nerwy skwierczały zespołowi jak linia wysokiego napięcia.

– Ja boję odezwać się – zwierzyła mi się zatrwożona Olga. – Bo ktoś nieprzyjemnie odpowie.

– Co ty nie powiesz – warknęłam, a na widok wielkich, przerażonych oczu Olgi dodałam niechętnie: – Przepraszam.

– Ja nie wiem, co powiedzieć tej pani – ciągnęła Olga, zwracając się dla odmiany do Weroniki, bo ja się odwróciłam i wyjrzałam przez okno. – Ona pytała o nasz ulubiony kolor. Jaki jest nasz ulubiony kolor?

Weronika siedziała z pozoru spokojnie, ale stopa drgała jej nerwowo.

– Co, Weronika? – drążyła Olga. – Ja jestem bardzo zaniepokojona, bo ta pani przyjdzie i będzie mnie pytać. Jaki jest kolor naszego zespołu?

– Sraczkowaty – warknęła Weronika.

Olga mocniej przytuliła do siebie lirę i już więcej nie pytała. Strach przed nami okazał się większy od strachu przed stylistką z programu, która kazała nam się zastanowić, jaki kolor najlepiej nas wyraża. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to czarny – jak miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Akcja na Facebooku miała szeroki zasięg, ale efekty przyniosła stosunkowo mizerne. Może dlatego, że takich dramatycznych próśb o pomoc było więcej. Codziennie ktoś apelował o wsparcie dla ciężko chorego dziecka, młodej matki, biednego psa lub zagłodzonego kota. Z Facebooka wylewało się morze nieszczęścia, w którym mniej

charakterystyczne ofiary tonęły. Jak mówił hipster Bożydar, siostra Moni była niemedialna.

Dlatego medialni musieliśmy być my. Musieliśmy świecić, błyskać, wirować, grać, śpiewać i w miarę możliwości dodatkowo wypuszczać z siebie wodotryski. Byle przykuć uwagę na tyle, żeby przejść do etapów emitowanych na żywo. Chyba błaganie o pomoc rzucone w Polskę da efekt w postaci tych brakujących grubych tysięcy?

Teoretycznie tak powinno być. Ale w praktyce dochodził jeszcze jeden czynnik: my. Im dłużej o tym myślałam, tym mniej widziałam dla nas szans. Nawet z kotką, która kradła show. Niestety, odkryłam, że uczestnik z jaszczurem też przeszedł i że jaszczur jest większym zwierzęciem scenicznym niż Mańka. W dodatku nazywał się Thor.

Stylistka Zosia, którą nam przydzielono, miała tak z szesnaście lat. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że z jakiegoś powodu ogoliła sobie brwi. Na drugi okazało się, że je utleniła. Gdyby nie ten szczegół, wyglądałaby, jakby wyszła z filmu o przedwojennej Polsce. Pamiętając o przygodzie z Bożydarem, przysięgłam sobie, że tym razem strach przed nieznanym nie odbierze mi rozumu. Postanowiłam akceptować wszystko, co zobaczę i usłyszę.

Na widok Zosi Olga poderwała się na baczność i przytuliła lirę do piersi.

– Mój ulubiony kolor... – zaczęła w panice.

– Zmiana koncepcji – przerwała jej stylistka Zosia, poprawiając wyleniałą futrzany kołnierz płaszczyka, który chyba widział okupację. – Długo się zastanawiałam, co was wyróżnia.

Spojrzeliliśmy na nią wyczekująco, nawet zainteresowani. Ja już znałam odpowiedź, ale postanowiłam dla odmiany nie spalić naszych szans w pierwszej minucie spotkania.

– Wyróżnia was kot – oznajmiła Zosia, kiwając główką z pensjonarską fryzurką.

Trudno było się z nią nie zgodzić.

– Dlatego wasze kostiumy będą konweniować z kotem – dodała Zosia.

Powstrzymanie się od komentarza było największym wyczynem ostatniego tygodnia. Nie miałam pojęcia, że jestem do tego zdolna.

Ale mój wysiłek był niczym w porównaniu z tym, na co musiałam się zdobyć po następnym zdaniu Zosi.

– Wszyscy wystąpicie w kostiumach z ogonami i kocimi uszami.

*

Tego dnia już się nie widzieliśmy z Walką, która była umówiona ze stylistką na inną godzinę. A ja nie miałam głowy, żeby do niej zadzwonić. Z dwóch powodów.

Najpierw wyczerpała mnie dyskusja z Zosią i jej nowatorskim pomysłem. Po długim argumentowaniu, w trakcie którego obie strony z trudem powstrzymywały się od podnoszenia głosu, Zosia dała sobie w końcu przetłumaczyć, że z ogonami będziemy już w ogóle nie do odróżnienia od stada małą.

Uszy, niestety, zostały.

Wyszliśmy z telewizji dość przybici, ale nie zdążyliśmy się nakręcić, bo Mańka udowodniła nam sens wyrażenia „rzygać jak kot”. Do tej pory niemal bezproblemowa, teraz zmieniła się w kocią fontannę bluzgającą na wszystko, co weszło na jej linię strzału.

Szybko zaczęłam się niepokoić, a potem panikować. Wyzebrałam od zespołu składkę na kotka i popędziłam z ciekącym transporterem do weterynarza, który zapisał lek za kolejne pieniądze i powiedział, że to prawdopodobnie nic takiego i wkrótce przejdzie. Z transportera już nic nie ciekło, za to panowała w nim dziwna cisza. Oczami duszy widziałam już, jak kopię nocą na trawniku przed blokiem małą mogiłą.

Dopałam domu, wydobyłam z transportera kocie ciało – ciało podniosło głowę i wydało jęk, który rozdarł mi serce – i ostrożnie złożyłam na kocyku, teoretycznie posłaniu Mańki, choć życie dowiodło, że jako posłanie służy jej wszystko oprócz kocyka. Zostawiłam chorą pod opieką Wojtka i popędziłam do apteki.

Kiedy wróciłam zziębnięta, Mańka doszła już do siebie na tyle, że doprowadzała futerko do porządku. Mimo to przemocą wlałam w nią lekarstwa, za co podziękowała mi w ten sposób, że chlasnęła mnie pazurami i uciekła, strasznie przeklinając. Zaraz potem z kuchni

dobiegło chrupanie. Kotka wracała do sił, spożywając suchą karmę. Do wieczora jedyną pamiątką po jej chorobie była krwawiąca rana na mojej ręce i ubytek na koncie.

Dlatego do Walki zadzwoniłam dopiero następnego dnia, żeby spytać, czy do telewizji pojedziemy razem. Jej telefon nie odpowiadał.

Z Warszawskimi Słoikami oraz konkurencją spotkałam się w garderobie. Na tle ciżby w cekinach i brokatakach prezentowaliśmy się dość nijako.

Z zakładaniem uszu nikt się nie spieszył.

Z racji skromnego wyglądu nie budziliśmy w innych poczucia zagrożenia. Słyszeliśmy, jak towarzystwo dogryza sobie nawzajem („Ty tak fałszujesz specjalnie?” – spytała jedna artystka, a potem była zdziwiona, że ta druga się obraziła), ale na nas nikt nie zwracał specjalnej uwagi. Z wyjątkiem długonogiej dziewczyny, która na eliminacjach podrapała się z Mańką.

– Po co wam ta kotka? – spytała podejrzliwie.

– To maskotka – oznajmiłam markotnie.

– I śpiewa lepiej od nas – dodał Jacuś, zadowolony i mile ożywiony.

On jeden czuł się tu jak ryba w wodzie. Co zdumiewające, on jeden nie miał bólu brzucha i śmierci w oczach. Jeśli dodać do tego jeszcze fakt, że on jeden wyglądał w kocich uszach seksownie, podczas gdy my prezentowaliśmy się jak grupa podstarzałych przedszkolaków, otrzymamy wyczerpujący przykład niesprawiedliwości, z jaką życie rozdziela swoje prezenty.

Dziewczyna wysłuchiwała nas bez przekonania. Przez jakiś czas stała jeszcze obok, jakby chciała o coś spytać, ale w końcu poszła.

– Coś jej nie lubię – mruknęła Helena pod nosem. – Uważajcie na nią. Czuję, że ona nam jeszcze wywinie jakiś numer.

– Dlaczego? – zdziwiła się łagodnie Olga. – Bardzo ładna i miła jest.

– A ty, Helena, pewnie jej zazdrościsz, bo ma długie nogi – dodał Jacuś, unosząc ironiczną brew.

– Wolę mieć nogi rozsądnej długości – oznajmiła Helena godnie – niż wyglądać jak pająk.

Faktycznie, dziewczyna miała w sobie coś, co kojarzyło się ze stworzeniem zaczajonym w lepkiej sieci.

Wypuszczona z transportera Mańka, której na tę okazję kupiłam obrózkę ze sztucznych brylantów, przespacerowała się wśród uczestników, by rozprostować łapki. Zauważyłam, że – zwykle towarzyska – omija obcych szerokim łukiem.

– A może – odezwała się Weronika, podążając za moim wzrokiem – ktoś ją wczoraj czymś poczęstował.

– Może i tak – zgodziłam się. – Chciał dobrze, ale kotom nie wszystko wychodzi na dobre.

– A może i nie chciał dobrze – powiedziała Weronika znacząco.

Myśl, że ktoś chciałby nam otruć kota, wydała mi się przesadzona.

– Przecież to tylko głupi program. Zabawa – zaprotestowałam.

– Kto by tam...

– A ja wam mówię, pilnujcie uszu – ostrzegła Weronika. – I kotki.

– Gdzie mój wisiołek na szczęście? – krzyknął ktoś przy lustrze.

– Tu leżał! Ja bez niego nie zaśpiewam!

W powstałym zamieszaniu ledwie usłyszałam dzwonek telefonu.

– Spotkaj się ze mną w babskim wychodku na piętrze – powiedział jakiś grobowy, zduszony głos.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że głos należy do Walki.

– Bo co? – spytałam.

– Bo sama zobaczysz – warknęła Walka. – Idziesz czy nie?

– Idę, idę – powiedziałam. Zostawiłam Mańkę pod opieką łypiącej spode łba Weroniki i poszłam znaleźć damską łazienkę na piętrze.

W łazience nie było nikogo.

– Halo? – odezwałam się niepewnie. Głupio to zabrzmiało, no ale co się mówi w łazience?

– To ty? – rozległ się jakiś znękany głos. Dobiegał z jednej z kabin.

– Walka? – upewniłam się.

– No – powiedziała Walka żałośnie.

Nie otworzyła drzwi. Pochyliłam się i w jednej z kabin zobaczyłam znajome nogi w nieznajomych złotych szpilkach. Podeszłam i zastukałam.

– Co jest? Za chwilę wychodzisz na scenę.

– Nie wychodzę – oznajmiła Walka biednym głosem.

Zrobiło mi się zimno. Przez głowę przebiegło mi sto potwornych scenariuszy. Straciła głos! Straciła włosy! Obsypała ją jakaś odrażająca wysypka! O rany boskie, ktoś ją struł tym samym, co Mańkę!

– Zżarłaś coś? Nie możesz stąd wyjść?

– Nie zżarłam – powiedziała Walka z urazą, przebijając się przez zniekanie. – Mogę wyjść. Ale nie wyjdę.

Dla odmiany zrobiło mi się gorąco.

– Nie rób mi takich numerów. Nie rób Moni takich numerów!

Z nas wszystkich ty jedna masz realne szanse. Co się stało, do cholery?

Drzwi lekko się uchylały. Otworzyłam je i znieruchomiałam.

– To się stało – powiedziała Walka ponuro.

Przez jakiś czas po prostu stałam i patrzyłam. Myślenie stało się zbytnią ekstrawagancją dla mojego porażonego mózgu.

– No? – odezwała się w końcu Walka z rozpaczą. – Zrobisz coś czy będziesz tu sterczeć jak palma na rondzie de Gaulle’a?

– Co tu można zrobić...? – wykrztusiłam. – Tu już dość zrobiono.

Walka była odziana w złotą folię do pieczenia, miejscami opiętą, miejscami ułożoną w dziwne wachlarzyki i falbanki. Możliwe, że nie była to dokładnie folia, tylko materiał do złudzenia ją przypominający, co jednak nie miało znaczenia. Sukienka, którą uszyto z tego zjawiska, była chyba najbrzydszą szmatą w historii krawiectwa – przy czym podkreślała dokładnie wszystkie minusy figury Walki, a ukrywała wszystkie plusy. Walka przypominała żywą dyskotekową kulę, trzęsącą się, przelewającą i przy każdym ruchu rzucającą na ścianę wesoło skaczące zajączki.

– Wyglądam jak złocony baleron – oznajmiła Walka z rozpaczą.

Nie potrafiłam zaprzeczyć.

– Albo jak złoty bałwan. Buła na dole, buła na górze i jeszcze buła na łbie – dodawała Walka coraz bardziej dramatycznie.

Rzeczywiście, wielki jak dynia kok na czubku głowy, który trzymał się dzięki milionom spinek i kilogramowi lakieru, prezentował się jak monstrualna wiśnia na tym złoconym torcie.

– Dlaczego pozwoliłaś się w to ubrać? – spytałam w osłupieniu.

Walka spuściła głowę.

– Bo ta laska bez brwi powiedziała, że trzeba odwrócić uwagę od tego, jak wyglądam – wymamrotała.

– Wyglądasz jak Monica Bellucci – powiedziałam powoli.

Mimo osłupienia zaczęłam rozumieć, co się stało, i z wolna ogarniał mnie gniew.

– Ona tak nie powiedziała – wyszeptała upokorzona Walka, wycierając oczy. – Ona powiedziała, że chyba zdaję sobie sprawę, ile ważę, i że to będzie wyglądało obrzydliwie... i że widz musi patrzeć na co innego, byle nie na mój tłuszcz...

Chciałam zapytać, dlaczego się nie broniła, tak jak na konkursie piosenki, kiedy jadowita dziewczucha chciała podkopać jej pewność siebie. Już otwierałam usta, gdy nagle mnie olśniło. Jadowita dziewczucha zaatakowała tam, gdzie Walka czuła się pewnie; o śpiewie wiedziała chyba więcej niż wszyscy uczestnicy konkursu razem wzięci. Ale jeśli chodzi o wygląd, sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Jeśli chodzi o wygląd, Walka była bezbronna jak kurczątko.

Stałyśmy obie, ściśnięte w kabinie między muszlą a drzwiami. Wyraz twarzy Walki wskazywał na to, że postanowiła spędzić w otoczeniu tej pięknej architektury resztę wieczoru.

Spojrzałam na komórkę. Nie zdążyłybyśmy już jej przebrać, nawet gdybyśmy jakimś cudem znalazły odpowiednią sukienkę. Wzięłam Walkę za rękę.

– Posłuchaj – powiedziałam, patrząc jej w oczy. – To jest rola. Musisz ją zagrać. Zagraj rolę fajnej babki w głupim kostiumie i zagraj ją tak, żeby wszyscy cię polubili za dystans do siebie.

– Nie dam rady – jęknęła Walka.

– Dasz. Jesteś najlepsza z nas wszystkich. Co ja mówię, jesteś najlepsza z całej tej małpiarni w garderobie. Zagraj to i przejdź do następnego etapu, a ja ci przysięgam, że prędzej wyrwę tej pijawce jej rachityczne brwi, niż pozwolę cię znowu wbić w coś takiego. Daję ci najświętsze słowo honoru, że będziesz miała najpiękniejszą suknię w całej telewizji, choćbym musiała się włamać nocą do sklepu Caroliny Herrery.

– Nie mają mojego rozmiaru – powiedziała Walka, ale zdobyła się na drżący uśmiech.

I co? I miałam rację, jak zwykle. Walka wyszła na scenę i była rewelacyjna. Jej charyzma zaćmiła blask folii do pieczenia.

Myśmy też przeszli, choć podejrzewałam, że załatwiła nam to Mańka.

A najlepszy komentarz usłyszałam w garderobie.

– No oczywiście – oznajmił Pająk. – Z takim kostiumem też bym zrobiła show. Niestety, nie wszyscy mamy znajomości...

*

– Duszę się – syknęła rozpaczliwie Walka. – Ile to jeszcze potrwa?

– Nie wiem – odsyknęłam. – Skąd mam wiedzieć, nikt mnie nie powiadomił. Musisz się tak wiercić?

– Muszę! Duszę się! Ciebie też uduszę, bo to wszystko przez ciebie.

Nie zaprotestowałam przeciwko jawnej niesprawiedliwości tych słów.

W drugim etapie programu atmosfera za kulisami stała się nie do zniesienia. Uczestnicy programu warczeli na siebie, a nawet zaczęli się nawzajem podgryzać. Od spojrzeń, które sobie rzucali, mróz skrzypiał w powietrzu. Napięcie udzieliło się także Mańce, która najpierw pomyliła blat do charakteryzacji z kuwetą (z trudem uratowałam ją przed samosądem), a potem udała się na dobrowolne zesłanie do transportera, z którego wyglądała rzadko i z niesmakiem.

Co gorsza, jakaś zaraza padła na przedmioty należące do uczestników.

Dziewczyna, która w poprzednim etapie zgubiła swój wisiołek na szczęście, zestresowała się tak, że odpadła. Kolejna tuż przed wyjściem na scenę zorientowała się, że obcas jej scenicznych butów ledwie się trzyma, choć przysięgłaby, że wcześniej nic mu nie dolegało. Nikt nie chciał jej pożyczyć swoich, więc wyszła na scenę w tym, w czym przyszła. Nie poszło jej dobrze, choć butami nie śpiewała.

– Mówiłam – oznajmiła Weronika, kiwając złowieszczo głową.
– Pilnujcie uszu, bo tu działa niewidzialna ręka.

Zatem założyliśmy te cholerne uszy, choć były zamontowane na metalowej opasce, która gniotła w głowę, niektórych nawet do krwi, i nikt by się nie zmartwił, gdyby ktoś nam je świsnął. Szczerze mówiąc, uważałam, że Weronika przesadza.

Do momentu gdy się okazało, że piękna, bardzo twarzowa sukienka Walki (którą to sukienkę po dwóch godzinach buszowania ze stylistką po telewizyjnej garderobie w końcu wybrałyśmy z kolekcji samej Walki) znikła w tajemniczych okolicznościach z wieszaka.

Kiedy Walka przyniosła mi tę informację, zrozumiałam kilka rzeczy. Że siła wyższa nie pochwała naszego występu w telewizji i zamierza go nam maksymalnie utrudnić. Że wszystkie zagrywki rodem z *Mody na sukces* nie są wytworem tandetnej wyobraźni scenarzystów, tylko faktem. I że ten, kto ukradł sukienkę, powinien się zacząć bardzo bać, bo etap bycia ofiarą mam już za sobą.

– Błagam cię, tylko się nie załamuj – powiedziałam do Walki, pamiętając scenę w babskim wychodku. – Znajdę tę sukienkę.

– Ja mam się załamać? – spytała Walka, wściekła jak nigdy.
– Niech się załamuje ta menda, która ośmieliła się ze mną zacząć!

Przywleczona za wyleniały kołnierz stylistka Zosia popadła w głęboką zadumę, marszcząc niewidzialne brwi.

– Mogę czegoś poszukać, ale na twoje rozmiary... Chyba wiesz, jak wy...

– Ona wie, dzięki za informację – warknęłam niegrzecznie. – I za twórczy wkład. Same sobie poradzimy.

Wypadłam z garderoby jak furia. Po chwili wróciłam, ciągnąc za sobą człowieka, który w ekipie pełnił jakąś nieznaną mi, ale wyraźnie znaczącą funkcję. Musiałam wyglądać jak klęska żywiołowa, bo nawet nie próbował się wyrywać. Po drodze przedstawiłam mu sytuację i poprosiłam o drobną przysługę. Człowiek ten, który z początku zapierał się i gorączkowo tłumaczył, że nie ma czasu szukać czyjejs kiecki, ugiął się wobec mojej siły przekonywania, zwłaszcza kiedy dotarło do niego, czego oczekuję.

W garderobie, przed wszystkimi zebranymi, rozpoczęliśmy występ życia.

– Proszę bardzo, niech pan działa! – wrzasnęłam od progu

w ramach preludium.

– Niestety, zaszło przykre wydarzenie – zaczął facet, zwracając się do małpiarni. Stałam za nim, czujnie obserwując wszystkich. – Podobno zaginęła sukienka uczestniczki. Domyślam się, że to niefortunne nieporozumienie. Jednak jeśli nie, chciałbym państwa powiadomić, że we wszystkich pomieszczeniach telewizji jest monitoring. Jeżeli sukienka nie znajdzie się w ciągu najbliższych dwudziestu minut, przejrzymy nagrania i wobec osoby odpowiedzialnej zostaną wyciągnięte dotkliwe konsekwencje.

Małpiarnia wysłuchiwała go z nieprzeniknionymi minami. Facet spojrział na mnie zezem, sprawdzając, czy czuję się zadowolona. Nieznacznie skinęłam głową, więc zabrał się i wyszedł.

Usiadłam koło reszty Słoików, plecami do małpiarni. Po raz pierwszy w życiu nie miałam wątpliwości, co należy zrobić. W chwili gdy się dowiedziałam o zniknięciu sukienki Walki, zaszła we mnie jakaś piorunująca zmiana. Spłynęła na mnie klarowność myśli, umysł skupił się wyłącznie na rozwiązaniu problemu i chyba połączył z jakąś wyższą inteligencją, bo odpowiedź przyszła w ułamek sekundy po zadaniu pytania – wraz z kompletnym brakiem skrupułów i zahamowań.

– A teraz obserwować, kto pierwszy podejdzie do Pajaka – rozkazałam półgębkiem i uszczypnęłam Jacusia w chude udo. – Nie tak ewidentnie! Ma nie widzieć, że na nią patrzycie.

Zespół bez jednego pytania rozproszył się wśród małpiarni, artystycznie stwarzając iluzję, że nie obserwuje Pajaka. Do którego faktycznie ktoś podszedł, niby to przypadkiem.

– Mała blondyna – zameldowała Monia, zbliżając się do miejsca, w którym siedziałam pod pozorem zabrania szczotki sprzed lustra.

Od niechcienia przesunęłam wzrokiem po lustrze, przed którym siedziałam, i napotkałam nieruchome spojrzenie Pajaka, bardzo w tej chwili przypominającego prawdziwą przyczajoną czarną wdowę. Pajak najwyraźniej sprawdzał, czy ktoś widzi jego konszachty z małą blondyną. Przesunęłam wzrok dalej i w dół, by zacząć symulować zawiązywanie sznurówki. Na karku czułam gorące mrowienie. Czarna wdowa mnie obserwowała. Wyprostowałam się i wbiłam obojętny wzrok w przeciwległy kąt, świadoma, że widać mnie w lustrze.

Po chwili zadzwonił mój telefon.

– Wychodzą – syknął w słuchawce głos Jacusia, stojącego parę kroków dalej. – Co teraz?

– Idź za nimi – poleciłam, na wszelki wypadek się pochylając, żeby nie było można niczego odczytać z ruchu moich ust.

Jacusiś odczekał parę chwil i wymknął się z garderoby niczym szpieg.

– Co zamierzasz? – spytała Walka.

– To te dwie – powiedziałam. – Albo się przestraszą i oddadzą sukienkę, albo zobaczymy.

Na razie mój plan nie sięgał dalej, ale nie miałam cienia wątpliwości, że w razie czego znajdę właściwe rozwiązanie. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak pewna siebie i skupiona na zadaniu. „Ach, więc to tak osiąga się cel” – pomyślałam tą bardzo małą częścią umysłu, która nie była skoncentrowana na planie.

Tymczasem zjawiała się stylistka Zosia z zastępczą sukienką. Podała mi ją, kręcąc głową z dezaprobatą, nie wiedzieć czemu wymierzona w Walkę. Może podejrzewała, że Walka jest gruba na złość jej, Zosi.

Walka schroniła się za drzwiami szafy i po jakimś czasie ukazała się naszym oczom.

– I jak? – spytała bez nadziei.

– Wspaniale! – rzuciły jednocześnie Weronika i Monia z takim ogniem, że Walka straciła ostatnie złudzenia.

Bez słowa schowała się za skrzydło drzwi i zaczęła zdzierać z siebie zastępczą kreację.

– Prędzej zaśpiewam w tym, w czym przyszłam – rzuciła z wściekłością na granicy łez.

– Coś ci obiecałam – powiedziałam spokojnie. W moim głosie chyba zabrzmiał jakiś nowy ton, bo wszystkie – Monia, Weronika, stylistka Zosia i nawet walcząca z odzieniem Walka – spojrzały na mnie.

Zadzwoniła komórka. Na ekranie wyświetlił się numer Jacusia.

– Nic nie zrobiły, pokłóciły się trochę na korytarzu i teraz wracają – zameldował przejęty Jacusiś.

– Czyli nie miały pomagierów, świetnie – mruknęłam.

– Ta blondyna jest bardziej zdenerwowana. Pająk, zdaje się, nie uwierzył w monitoring, bo ją uspokajał, ale ona mało się nie popłakała – szeptał Jacuś. – Kończę, idą tu.

– Tobie już dziękuję – rzuciłam do stylistki Zosi, która przez jakiś czas stała z otwartymi ustami, zanim sobie poszła. – Wera – powiedziałam, w ogóle nie biorąc pod uwagę faktu, że ktoś może mnie nie posłuchać. Chyba słusznie, bo Weronika wyprostowała się jak żołnierz czekający na rozkazy. – Bierz, kogo potrzebujesz, i zagaduj Pajaka. Musimy go odłączyć od blondyny.

Zamierzałam zmieknąć słabsze ogniwo.

Początkowo chciałam porozmawiać z blondyną osobiście, ale w ostatniej chwili postanowiłam posłużyć się podstępem. Przypomniałam sobie także, że niebezpieczeństwo wyobrażone zawsze wydaje się straszniejsze od niebezpieczeństwa znanego.

Poza tym zawsze chciałam to zrobić.

Czuąc się, jakbym występowała w thrillerze, przystąpiłam do pisania pierwszego w życiu anonimu.

Możliwe, że poczucie posiadania krystalicznego umysłu było jednak przyjemną iluzją, bo odruchowo zaczęłam się sposobić do wycinania liter z gazet. Dopiero brak gazety uświadomił mi pewne niedoskonałości mojego rozumowania. Skorygowałam podejście i przerzuciłam się na zwyczajny długopis. Jakieś coś, które nawet w najpoważniejszych okolicznościach każe mi się wygłupiać, kusiło mnie, żeby napisać: „Wiem, co zrobiłaś zeszłego lata”, ale się oparłam. Czułam, że nie wzbudziłabym stosownego przerażenia. A na tym przerażeniu zamierzałam jechać jak na smoku ziejącym ogniem.

Po krótkim zastanowieniu spreparowałam tekścik na świstku papieru. Wezwana Monia odwróciła uwagę obiektu. W tym samym czasie Adrian upuścił świstek między rozstawione przed lustrem rzeczy blondyny. Potem pozostało już tylko czekać.

W chwili gdy nie miałam już nic do roboty, zaczęłam dostrzegać drobne usterki w planie. A jeśli blondyna nie zauważy świstka? Albo zauważy i go wyrzuci? Wtedy trzeba będzie improwizować. Byłam gotowa na wszystko.

Dziewczyna, której Monia na mój znak dała spokój, usiadła przed

lustrem. Wzięła butelkę z wodą, odkręciła ją. Podniosła do ust i zawahała się; wszyscy zostaliśmy wcześniej artystycznie umalowani w charakteryzatorni. Udzielono nam surowego upomnienia, żebyśmy nie starli tego arcydzieła przed nagraniem. Blondyna zakręciła zatem butelkę i wbiła wzrok w blat. Wyraźnie się łamała. Dobrze, dobrze... Teraz niech przeczyta wiadomość od szantażysty...

Blondyna popadła w smutne zamyślenie. Zaczęła odruchowo układać przedmioty na blacie. Ustawiła równo obok siebie butelkę, długopis i książkę. Wzięła perfumy i przesunęła je o dwa centymetry w lewo. Wzięła moją kartkę.

Wstrzymałam oddech.

Ułożyła ją za perfumami.

Noż cholera!

Wera w towarzystwie Adriana nie wypuszczała Pajaka ze swoich szponów. Blondyna spojrzała tęsknie w ich stronę. Wyraźnie potrzebowała psychicznego wsparcia. „Po moim trupie – pomyślałam zaciekle. – Mięknij wreszcie!”

Blondyna przesunęła butelkę dwa centymetry w prawo. Potem długopis, Potem książkę. Potem perfumy. Podniosła kartkę.

Zawahała się.

Widziałam w lustrze, że przez jej twarz przemknął cień jakiejś emocji.

Rozłożyła kartkę. Przeczytała ją. Zastygła. Potem obrzuciła garderobę przerażonym spojrzeniem. Zdążyłam w porę odwrócić wzrok.

Blondyna jeszcze raz spojrzała błagalnie na Pajaka, którego Weronika, kierowana chyba przez kosmiczną inteligencję, właśnie wyprowadzała z garderoby. Nie wiem, jaki tekst mu sprzedała, ale Pajak szedł z nią chętnie i z zainteresowaniem. Doskonale, Wera, doskonale.

Zostawiona samej sobie blondyna wpadła w panikę. Wstała. Znowu usiadła. Znowu się rozejrzała. Znowu wstała. Po krótkiej chwili rozterki ruszyła do wyjścia.

– Mam cię – syknęłam. – Walka, idziemy.

Walka bez słowa poszła za mną.

Blondyna szła lękliwie korytarzem, co chwila oglądając się za siebie. Zaczaiłam się z Walką za uchylonymi drzwiami, obserwując ją

przez szparę. Kiedy znikła za zakrętem, wyszliśmy na korytarz. Blondyna właśnie uchylała drzwi charakteryzatorni.

Ze środka dobiegł jakiś podniesiony głos. Najwyraźniej blondyna nie była mile widziana.

– Ale ja tylko na chwilkę – powiedziała przymilnie.

Głos coś odpowiedział, krótko i nieżyczliwie.

– Tylko gdzieś zajrzę – negocjowała blondyna.

Po krótkiej wymianie zdań niechętnie zamknęła drzwi. Stała chwilę bezradnie, po czym ruszyła z powrotem do garderoby. W panice skoczyłam w pierwsze otwarte drzwi, ciągnąc za sobą Walkę.

Poczekaliśmy, aż blondyna wróci do garderoby.

Za naszymi plecami coś stuknęło.

Odwróciłam się i spojrzałam prosto w oczy kobiecie z włosami nakręconymi na wałki, stojącej z filiżanką w ręku nad komputerem.

Walka też się odwróciła. Przez jakiś czas stałyśmy tak sobie we trzy, milcząc.

– Tak że ten – powiedziałam w końcu, złapałam Walkę za rękę i wyciągnęłam ją na korytarz.

– Nie wyszło to najlepiej – wymamrotała zmieszana Walka.

Drzwi charakteryzatorni otworzyły się gwałtownie i wypadła z nich kobieta, która popędziła w stronę toalet. Ja i Walka zastygłyśmy. Zastanawiałam się, czy to pora na atak.

Z charakteryzatorni tymczasem wyłoniła się niespiesznym krokiem gwiazda telewizyjna, wymalowana jak nieboskie stworzenie. Rozejrzała się, przesunęła po nas obojętnym wzrokiem i oddaliła się, szukając czegoś w torebce. Drzwi były uchylone.

Odczekałam, aż gwiazda zniknie za zakrętem korytarza.

– Teraz albo nigdy – rzuciłam.

– No i co tam chcesz osiągnąć? – syknęła Walka, drobiąc za mną na scenicznych szpilkach.

– Tam jest twoja sukienka – oznajmiłam bez cienia wahania.

– Po czym poznajesz?

– Po tej blondynie od Pajaka. Wystarczyło ją lekko przycisnąć i od razu poleciała do kryjówki – żeby podrzucić nam kieckę albo spuścić w wychodku, nie wiem dokładnie. W każdym razie jak typowy

przestępca wróciła na miejsce zbrodni. Widać schowały ją gdzieś w charakteryzatorni, kiedy je malowano.

– A może dawno ją wyrzuciły, skąd wiesz.

– Stąd, że blondyna usiłowała się dostać do charakteryzatorni. Po co by to robiła, gdyby sukienka już się poniewierała między odpadkami w kubie na śmieci czy zatykała rury kanalizacyjne? Jest tu coś, co ją niepokoi, coś, co może posłużyć jako dowód obciążający, i tym czymś, Waltrauto, jest twoja kreacja. Teraz cały psikus polega na tym, żebyśmy zabrały ją pierwsze.

Z tymi słowami ostrożnie weszłam do charakteryzatorni.

W środku nie było nikogo.

– Myślisz, że wolno nam tu być? – spytała Walka niepewnie.

– Nie jest to problem z pierwszej dziesiątki moich problemów – oznajmiłam. – Nikt nie powiedział też, że nie wolno.

– Niby tak – zgodziła się Walka.

W charakteryzatorni, oprócz oczywistej w tym miejscu masy rozmaitych kolorowych smarowideł, stały również szeregi wieszaków z kostiumami.

– Muszę przyznać, że Pająk nie jest taki zupełnie durny

– powiedziałam niechętnie. – Gdzie lepiej ukryć sukienkę niż wśród stu sukienek?

– Łatwo ją poznasz, jest czarna i wygląda jak namiot – mruknęła Walka, ruszając do wieszaków.

Po chwili stało się oczywiste, że sukienki nie ma na żadnym wieszaku. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Było wyposażone w liczne szafy. Otworzyłam jedną z nich. Wypełniał ją zbity kłęb niezidentyfikowanych ubrań.

– Rany boskie – szepnęła Walka. – Nigdy jej nie znajdziemy.

– W każdym razie nie do powrotu wizażystki – przyznałam, zaczynając ryć w pierwszej szafie.

– A gdzie poszła?

– Najwyraźniej do łazienki. Cokolwiek tam robi, zaraz wróci.

Ruszaj się!

– Właściwie dlaczego się spieszymy? Jak przyjdzie, to jej wyjaśnimy, co się stało.

– Nie wiem, dlaczego się spieszymy. Może tu jednak nie wolno wchodzić. Może wizażystka pomyśli, że coś kradniemy. A może dlatego się spieszymy, że za dwadzieścia minut zaczynają się nagrania. Ruchy, Walka, ruchy!

Walka posłusznie zagęściła ruchy.

Po jakichś pięciu minutach poszukiwań, które dla mnie były trzema godzinami, jedna szafa znalazła się poza podejrzeniami. Zostały dwie.

Wizażystki szczęśliwie nadal nie było.

– Nie wiem, co ona tam robi, ale niech nie przestaje – wysapała Walka, czerwona, spocona i z rozczocharanym wronim gniazdem w miejscu niedawno pięknie ułożonego francuskiego koka.

– Nie gadaj, rób – mruknęłam, otwierając drugą szafę.

Walka spojrzała na jej stłoczoną zawartość.

– O, jak ja skrzywdzę tego Pająka – powiedziała. – Niech tylko znajdę tę kieckę.

Po jakimś czasie dodała:

– Właśnie zmieniłam zdanie. Mogę zaśpiewać w tym, co mam na sobie. Co powiesz?

– Trzeba mi to było powiedzieć dwie szafy wcześniej – warknęłam.

– Teraz to już sprawa ambicjonalna. Szukaj, do cholery!

Druga szafa także okazała się fałszywym tropem.

Otworzyłam drzwi trzeciej, największej. Tu dla odmiany kołysało się kilka pustych wieszaków. Na podłodze szafy leżała zwinięta w kłębek czarna szmata.

– Jest! – wrzasnęła Walka. – No jasna cholera, Pina! Dlaczego od razu nie otworzyłaś tej!

Jestem bardzo dobrym człowiekiem. Prawdopodobnie pójdę prosto do nieba, przypuszczalnie żywcem, ponieważ nic nie odpowiedziałam.

– Chodź, idziemy – rzuciłam.

– Mowy nie ma – oznajmiła Walka. – Ubieram się w to tu i teraz. Nikt mi jej nie odbierze!

I bez chwili wahania zaczęła zrzucać z siebie ubrania.

W tej samej chwili za drzwiami rozległy się głosy, a potem poruszyła się klamka.

Na wpół rozebrana Walka w panice rozejrzała się za schronieniem.

Niewiele myśląc, wskoczyła do szafy, zebrawszy zostawione na podłodze ubranie.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Co ty... – zaczęłam.

Wyciągnęła rękę i jednym szarpnięciem wciągnęła mnie za sobą. Wleciałam głową naprzód do ciemnego wnętrza, które po chwili zrobiło się jeszcze ciemniejsze. Walka zamknęła drzwi.

– Co się wygłupiasz? – syknęłam, usiłując się wyrwać.

Drzwi charakterystycznie otworzyły się i do środka weszła wizażystka, pogrążona w rozmowie z kobietą w lokówkach na głowie.

– Dlaczego nie możemy wyjść? – spytałam wściekłym szeptem.

Walka spojrzała na mnie bezradnie.

– Nie wiem – wyznała żałośnie. – Spanikowałam...

W taki właśnie sposób znalazłyśmy się w tej dziwnej sytuacji. Wizażystka zdejmowała kobiecie wałki, rozmawiając z nią na telewizyjne tematy. Usłyszałyśmy parę smakowitych ploteczek o różnych większych i mniejszych gwiazdach. W sumie mogłybyśmy tak posiedzieć dłużej, gdyby nie dwa drobiazgi.

Za chwilę miały się rozpocząć nagrania.

A Walka niespodziewanie odkryła w sobie klaustrofobię. W ciasnej przestrzeni zaczęła odczuwać coraz większy i coraz bardziej nieznośny dyskomfort.

– No nie wytrzymam – szepnęła ledwie słyszalnie.

– To wyjdź – odszepnęłam równie cicho, z rosnącym wkurzeniem.

Walka milczała chwilę.

– E, nie – powiedziała po chwili. – Skoro już tyle siedziałyśmy, to głupio tak nagle wyjść.

– To siedź – warknęłam.

– Ale nie wytrzymam. Tu jest za ciasno. Tu nie ma powietrza! Ja się duszę!

– To nie gadaj tyle!

Walka wydała dźwięk podobny do pisku chomika, na którym ktoś usiadł. Nie pytajcie, skąd wiem, jak brzmi taki chomik.

Wizażystka zdjęła wałki z włosów kobiety, które ułożyła w hollywoodzkie loki i spryskała lakierem. Długo wybierała ozdobną

spinkę, po czym ulokowała ją precyzyjnie nad uchem kobiety.
Pomyślałam optymistycznie, że nasza męka dobiega końca.

Kobieta obejrzała się krytycznie ze wszystkich stron.

– Chyba te usta wolałabym w innym kolorze – oznajmiła.

Walka zaczęła rzeźnić. Zatkanam jej usta dłonią.

Obie panie wdały się w długą dyskusję o ciepłych i zimnych odcieniach czerwieni, uwieńczoną znalezieniem tego jedyne­go słusznego. Ja i Walka odetchnęłyśmy. Może wreszcie te warsztaty plastyczne się skończą i baba pójdzie sobie w cholerę.

– Ojejku, patrz, odprysnął mi – powiedziała kobieta, wyciągając rękę do wizażystki.

Ta wstała i po chwili wróciła, niosąc ze trzydzieści buteleczek lakieru.

– O, jaki cudny! – zawołała kobieta, łapiąc buteleczkę z lakierem w zupełnie innym kolorze niż ten na jej paznokciach. – Zakochałam się! Mam szalony pomysł – zmyj to wszystko i pomaluj od początku, dobrze?

Ja i Walka spojrzaliśmy na siebie ze zgrozą w ciemnościach szafy.

– A w dupę z tym – odezwała się nagle głośno Walka.

Wstała i wyszła z szafy, rozebrana do połowy, z sukienką w garści. Za nią wyłoniłam się ja, w kocich uszach, niosąc jej bluzkę. Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak głupio, a przecież bywało już nieraz.

– Otóż... – zaczęłam mówić niemal odruchowo i uświadomiłam sobie, że nie, tego nie da się wytłumaczyć.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że patrzę na kobietę, którą niedawno zaskoczyłyśmy z Walką w pokoju z komputerem. Widziałam w jej oczach kolejne scenariusze tłumaczące naszą obecność w szafie. Żaden mi się nie podobał.

– Tak że... w sumie... wyszłyśmy z szafy – zażartowałam bez przekonania.

Nikt się nie ubawił, a ja najmniej.

Walka spojrzała na siebie w lustrze. Jej kok wyglądał, jakby ktoś go złapał i dobrze wytargał. Nad czołem miała grzywkę w kształcie znaku zapytania.

– Tak się zastanawiam – powiedziała kapryśnym tonem gwiazdy,

który albo usłyszała u matki, albo odziedziczyła w genach – czy tego nie należałoby trochę przeczesać...?

ROZDZIAŁ OSTATNI,

czyli koniec wszystkiego

Okazało się, że kobieta, która cyzelowała swoją urodę w charakteryzatorni, miała z nami przeprowadzać wywiady przed wejściem na scenę.

Jeśli chodzi o zrobienie pierwszego wrażenia, to ja i Walka osiągnęliśmy chyba wszystko. Zatrzeć mogłoby je może bombardowanie budynku telewizji. Albo i nie.

W sumie była to wyzwalająca świadomość.

– Jak się czujecie przed występem? – spytała zmalowana baba. Znajdowaliśmy się w pokoju, z którego mieliśmy wejść na scenę.

Oryginalne pytanie było skierowane do mnie. Zmalowana baba pożerała mnie wzrokiem, w którym kryły się obrzydzenie, zaciekawienie i jeszcze coś, czego nie chciało mi się odgadywać.

– Przerażeni, ale zachwyceni – odparł Jacuś, równie niebanalnie.

Ze względu na urodę i szokujący brak tremy został wytypowany do udzielania odpowiedzi. Reszta Słoików stała za jego plecami, uśmiechając się nerwowo do kamery. A ja, otępiała po ostatnich wydarzeniach, bezmyślnie drapałam się w uciskaną przez kocie uszy głowę. Prawdopodobnie w tej właśnie chwili cała Polska, z moją rodziną na czele, patrzyła, jak robię z siebie wioskowego głupka, a mnie było to obojętne. Jacuś, trzymając w objęciach Mańkę, sposobił się do wyrzucenia z siebie informacji o siostrze Moni. – Cieszymy się tym bardziej, że chcieliśmy...

– Czy atmosfera za kulisami sprzyja nawiązywaniu więzi?

– palnęła zmalowana baba, przewiercając mnie wzrokiem.

Oho.

– Wszyscy się lubimy i wspieramy – wyrecytował Jacuś obłudnie.

– Podobno bardzo się zaprzyjaźniłaś z Walkirią Bednarek?

– spytała baba, atakując bezpośrednio mnie.

Kamerzysta lekko obrócił kamerę. Czuję, że robi na mnie najazd.

Miałam świadomość, że moja wypełniająca cały ekran twarz pojawiła się we wszystkich domach w Polsce. Poczulałam, że za uchem spływa mi strużka gorącego potu. Tylko żebym nie wyskoczyła z niczym głupim... Tu nie chodzi tylko o mnie, ale i o Walkę.

– Z Walką znamy się wszyscy – powiedziałam, modląc się, żeby głos mi nie zadrżał. – Pracujemy w tym samym zespole teatralnym, a zgłosiliśmy się do programu, ponieważ siostra...

– Ale więź między tobą i Walką jest chyba wyjątkowa? – wtrąciła baba, mrugając znacząco.

Nerw pod okiem zaczął mi drgać, było mi gorąco, spod włosów właśnie spłynęła mi druga strużka potu i bałam się jak cholera, że to wszystko widać na mojej zajmującej cały ekran telewizora gębie. Reszta zespołu wyczuła, że baba do czegoś zmierza, i przyglądała się nam z zaciekawieniem.

– Pina bardzo lubi Walkę – potwierdził nieświadomy niczego Jacuś. – Ale też Monię, z powodu której jesteśmy tu wszyscy...

– Naprawdę? – Zmalowana baba wpiła się w Monię wzrokiem. Potem przeniosła go na mnie. – Czy przed występem chciałabyś coś powiedzieć PRZYJACIÓLCE?

Było wiele rzeczy, które chciałam powiedzieć, ale nie na wizji. Czułam też, że muszę jakoś powstrzymać zmalowane babsko, zanim zapewni mnie i Walce krótki, acz niezapomniany pobyt na Pudelku. Spocona, czerwona, z tikiem w oku i ze świadomością, że w takiej właśnie postaci zapamiętają mnie wszyscy widzowie programu, powiedziałam coś, co w tamtej chwili wydawało mi się najrozsądniejsze:

– Że trzymam kciuki za jej występ... a także za nią i jej chłopaka Adriana. Bardzo ich oboje lubimy!

Zmalowana baba spojrzała na mnie z niechęcią, jakbym zepsuła jej strzał. Zerknęła na ukrywaną w dłoni karteczkę z podpowiedziami.

– A ja bardzo lubię was... bo opłaca się was lubić, ha, ha, ha. Państwo nie wiedzą – dodała do kamery – ale Warszawskie Słoki, jak sama nazwa wskazuje, nie są zameldowane w Warszawie...

I tu babsko obrzuciło mnie TYM SPOJRZENIEM. Jest to spojrzenie, którym każdy szanujący się warszawiak po prostu musi obdarzyć przyjeźdnego. Jest to spojrzenie dobrze wychowanego

człowieka, który właśnie dowiedział się o tobie czegoś krępującego, ale nie chce cię zawstydząć. Czasem mi się wydaje, że lepiej byłoby się przyznać do wielokrotnego morderstwa niż do tego, że się przyszło na świat dalej niż w Wesołej. Przykład:

„Lubię porwać dzieci i trzymać je w piwnicy”.

„A, no tak. Chciałbyś moje? Ha, ha”.

„I jestem z Radomia”.

TO SPOJRZENIE.

– Dlatego znajomi naszych miłych Słoików mają od razu zapewnione kwatery w górach, nad morzem i na Mazurach!

Być może zmalowane babsko poczuło na sobie nasz ciężki kolektywny wzrok, bo dodało trochę nerwowo:

– Na przykład ty, o, ty, zapomniałam, jak masz na imię... Mam nadzieję, że załatwisz mi kwaterę w Bukowinie na ferie?

– Nie – powiedziała Helena zwięźle i zamilkła, nie rozwijając tematu.

Z przyjemnością ujrzałam, jak uśmiech na chwilę znika z umalowanego lica babszona.

– Dlaczego?

– Bo jestem z Górnego Młyna – wycedziła Helena. – W gminie Czarny Dunajec.

Umalowane babsko dostało drugiej pary rumieńców, nieprzewidzianych przez wizażystkę.

– Aaaaach, coś mam tu źle napisane... A ty? – Rzuciła się na następną osobę, bardzo nieszczęśliwie dla siebie wybrawszy Weronikę.

– Co byś mi mogła załatwić?

Przez chwilę wyglądało na to, że Weronika załatwi jej pobyt na urazówce, ale nie. Opanowała się i powiedziała z pięknym śląskim akcentem i bezgraniczną pogardą w oczach:

– Psińco. Wiele potrza?

– A jest tu ktoś znad morza? – brnęło dalej babsko z samozaparciem, które zaczęłam nawet podziwiać.

– Może kot – odezwał się Adrian w zadumie, drapiąc zachwyconą Mańkę po karku.

Baba otworzyła usta i na moment się zawiesiła.

– A, kotek... Pewnie go bardzo lubicie...? – spytała, przysięgłabym, z nutką złośliwości.

– Pina ją lubi – powiedział Jacuś.

Nie podejmuję się opisać spojrzenia, jakim obrzuciło mnie babsko.

– I jeszcze – dodał po krótkiej chwili Jacuś – chcielibyśmy...

– Niestety – przerwał mu babsztyl – dostałam właśnie sygnał, że powinniście się przygotować do wyjścia na scenę. Powodzenia, kochani!

Operator wyłączył kamerę.

– Chcieliśmy powiedzieć coś ważnego! – rzuciłam za odchodzącą prezenterką.

Nie odpowiedziała. Rozmawiała już przez komórkę.

– Czy tobie te uszy ucisnęły mózg? – wysyczała Weronika. – Po co gadałaś o Adrianie? Walka się wścieknie.

– Tobie też ucisnęły! – naskoczyła na nią Helena. – Gadało się o wszystkim, tylko nie o siostrze Moni!

– To czemu sama nie powiedziałaś?! – wrzasnęła szeptem Weronika. – Miałaś okazję!

– A ty nie?!

– Walka wściekłaby się jeszcze bardziej, gdybym mówiła o tym, o czym chciała mówić ta wydra – mruknęłam. – Wierście mi, udowodnienie istnienia Adriana jest w tej chwili bardzo dla niej ważne. No nic, powiemy o siostrze Moni, jak zaśpiewamy.

– Może zanim zaśpiewamy, tak na wszelaki przypadek? – odezwała się Olga.

– Bardzo dobry pomysł – powiedziałam i wszyscy się ze mną zgodzili.

Wszyscy z wyjątkiem produkcji programu, która poleciła zespołowi zacząć grać już w chwili naszego wejścia na scenę. Mając wbitą w głowy zasadę, że przedstawienia nie wolno przerywać, choćby scena się waliła, posłusznie dostosowaliśmy się do sytuacji i zaczęliśmy śpiewać. Zawsze mogliśmy opowiedzieć naszą historię po zakończeniu piosenki.

Daliśmy z siebie wszystko. Świeciliśmy, wirowaliśmy i tylko z fajerwerkami nam się nie udało. Mańka z poświęceniem wskakiwała na ramiona kolejnym osobom, żeby pacnąć je w język łapką ze

względnie dokładnie schowanymi pazurkami. Publiczność robiła rozanielone: „Aaaaaa...” przy każdym jej występie.

Pozwoliłam sobie wtedy na odrobinę nadziei.

A wiadomo, jak to jest z tą nadzieją.

Kiedy skończyliśmy śpiewać, a zdalnie sterowana przez specjalnego technicznego publiczność przestała klaskać, machać i robić inne rzeczy, Jacuś z Mańką w objęciach wystąpił naprzód.

– Chcieliśmy jeszcze...

– Izolda! – zagłuszył go dramatyczny krzyk.

Mańka wyciągnęła szyję i trzepnęła ogonem.

Na scenę wdrapywała się starsza, autentycznie przejęta pani.

Trzęsącą się ręką wskazywała naszą kotkę.

Obok nas, nie wiadomo skąd, zjawilo się zmalowane babsko.

– Co za nieprzewidziany zwrot akcji! – powiedziało. – Parę godzin temu zadzwoniła do nas pani Elżbieta, emerytowana śpiewaczka operowa. Sama nie ogląda programu, ale widzowie powiedzieli jej o zespole, który śpiewa w towarzystwie bengalskiego kota znajdy – takiego samego jak Izyda, która uciekła z domu, gdy pod nieobecność pani Elżbiety włamali się do niego złodzieje!

– Izolda – poprawiła starsza pani.

– No tak – zgodziło się zmalowane babsko, które najwyraźniej nie odróżniało średniowiecznej kochanki od egipskiej bogini i mogło z tym żyć. – Ale czy to naprawdę pani ulubienica? Czy panią pozna po tak długim czasie? Czy jest zaczipowana?

– Nie jest – powiedziała pani Elżbieta i spojrzała na nas z miną winowajczyni, jakby sądziła, że zaczniemy się z nią wyklócać.

Mańka wyciągnęła szyję w jej stronę. Pani Elżbieta zbliżyła palce do jej noska. Mańka obwąchała je starannie i potarła o nie policzkiem. Staruszka pochyliła się nad nią, szepcząc coś z uśmiechem przez łyzy. Mańka powoli i delikatnie położyła jej łapkę na ustach i przymknęła oczy.

Był to tak intymny i czuły gest, że odwróciłam głowę.

Na scenie coś się jeszcze długo mówiło, Jacuś oddał Mańkę/Izoldę pani Elżbiecie, która też coś powiedziała, widownia klaskała długo i żarliwie, a potem chyba zeszedliśmy ze sceny. Nic z tego nie pamiętałam.

Nie lubiłam tej cholery. Powodowała same zniszczenia, była nieustannym kłopotem, utrapieniem i zawadą – a teraz zostawiła mnie bez słowa!

Jak mogła...?

Gdyby jeszcze pani Elżbieta była mniej sympatyczna. Gdyby można było podejrzewać, że to jakaś podstawiona, łasa na telewizyjną sławę oszustka. Ale Mańka/Izolda, przecież zawsze nieufna wobec ludzi, Ignęła do niej, najwyraźniej szczęśliwa, i całą sobą okazywała... no nie wiem... chyba miłość.

Tak.

– Coś taka skwaszona? – spytał Jacuś w garderobie, klepiąc mnie po plecach. – Słyszałaś, jakie oklaski dostaliśmy? Jak nic przejdziemy do następnego etapu!

– Wiesz co, Jacuś – wycedziłam z prawdziwą w tej chwili nienawiścią. – Zdaję sobie sprawę, że jesteś prawie aktorem, ale nawet jak na prawie aktora ty jesteś zadziwiająco głupi.

Pani Elżbieta, która wdała się w rozmowę z Walką, właśnie demonstrowała wysokie C. Wniebowzięta Mańka/Izolda wskoczyła jej na ramię i z zachwytem zajrzała swojej pani do ust. Widać dokładnie tego szukała przez cały czas pobytu u nas – i nie mogła znaleźć.

Pani Elżbieta spojrzała na mnie. Zrozumiałam, że ona rozumie.

– Dziękuję, że zaopiekowałaś się Izunią – powiedziała, biorąc mnie za rękę. – Tak strasznie się o nią martwiłam. Kiedy wróciłam od syna i zobaczyłam dom, bardzo płakałam... Nie z powodu rzeczy, które wynieśli... tylko za nią. To moja ostatnia pociecha. Przepraszam, że nie zostanę z wami dłużej, ale musimy z Izunią biec na pociąg. Mieszkamy w małej miejscowości, tam mało co jeździ.

– Mhm – mruknęłam, próbując się opanować. Mańka/Izolda spojrzała na mnie zmrużonymi oczami i odwróciła głowę. Zajęła się lizaniem łapki. – Tu jest... jej transporter, kuweta i te... zabawki... gdyby się po drodze nudziła...

Potem musiałam bardzo szybko wyjść. Kiedy wróciłam, pani Elżbiety i Izoldy już nie było. Zespół – z Jacusiem włącznie – patrzył na mnie jak na nieutuloną w żalu wdowę, która nie wiadomo, czy nie hycnie pod pociąg. Te ich bolesciwe spojrzenia wkurzyły mnie i jak nic

innego pomogły się otrząsnąć.

– No i co tak siedzicie jak na stypie? – warknęłam. – Wszystko się dobrze skończyło. Walka, ty przypadkiem teraz nie wchodzisz?

– Za dziesięć minut i nie ma przypadków – powiedziała Walka spokojnie.

– To chociaż ty pamiętaj, żeby powiedzieć o siostrze Moni, bo jak nie, to jak Boga kocham, wlecę goła na twój wykon, z wymalowanym numerem konta!

– Goła? Z numerem konta? – powtórzył Jacuś niezwykle uprzejmym tonem, niczym arystokrata, który usiłuje rozwikłać trudną zagadkę. – Wytlumacz mi, Pina, bo ja jestem tylko głupim prawie aktorem, w jaki sposób ludzie, którzy zamkną oczy ze zgrozy i litości, mają odczytać numer konta?

*

– No i nie powiedziała – syknęła zdenerwowana Helena.

– Powie, jak skończy – rzuciłam półgębkiem.

Stałyśmy przed monitorem, na którym było widać to, co się działo na scenie, i chłonęłyśmy występ Walki. Małpiarnia konsekwentnie udawała, że nic nie słyszy, choć przyłapałam parę osób na tęsknym zapatrzeniu w ekran. Walka, tak jak my, została zaskoczona nagłym początkiem piosenki, i tak jak my nie odważyła się przerwać zespołowi, żeby opowiedzieć, po co w ogóle przyszliśmy do programu. Dobre wychowanie najwyraźniej bardzo przeszkadza w telewizji.

Nie miałam serca, żeby się tym martwić, bo jak zwykle śpiew Walki spowodował znaną mi reakcję: chciałam tylko słuchać i miałam nadzieję, że to się nie skończy.

No ale wiadomo, jak to jest z nadzieją. Jednak się skończyło i trzeba było wrócić do rzeczywistości. Widownia szalała. Bardziej bym się tym cieszyła, gdybym nie wiedziała, że to szaleństwo nakręcają techniczni. Kamera zrobiła najazd i twarz Walki wypełniła cały kadr. Zobaczyłam w jej oczach determinację i odetchnęłam. Walka pamiętała o naszej misji. Zaraz opowie dramatyczną historię siostry Moni. Cel, do

którego dążyliśmy tak długo i pracowicie, zostanie osiągnięty...

Walka otworzyła usta.

– Dziękujemy ci za to boskie wykonanie! – wrzasnęła, przyskakując do niej, zmalowana baba.

– Proszę bardzo – powiedziała Walka spokojnie. – Chciałam...

– Tak wiele nam dajesz za sprawą swojego talentu i pięknego głosu! – nie odpuszczała baba.

– Aha, no tak. Więc chciałabym...

– Nie, to my chcielibyśmy jakoś ci się odwdziżyć! – przerwała Walce zmalowana baba. – Czy wszystko układało się ostatnio po twojej myśli?

Jakoś zaczęło mnie niepokoić to, do czego wyraźnie zmierzała prezenterka. Walkę też, bo przestała uparcie dążyć do opowiedzenia historii siostry Moni i spojrzała na zmalowanego telewizyjnego babsztyla, który aż podskakiwał z emocji.

Źle to wszystko wróżyło.

– Czy nie ma czegoś, co chciałabyś może... naprawić? Albo kogoś, z kim chciałabyś... porozmawiać? – drążył babiszon.

– OmatkokochanaranyboskiePinaPinaPina!!! – wyrzucił z siebie Jacuś, szarpiąc mnie boleśnie za ramię. Jest o wiele silniejszy, niż na to wygląda.

– Co? – jęknęłam, wyszarpując mu rękaw mojej jedynej marynarki. – Co mnie szarpiesz, ty dzika mendo? Co tak machasz? O co ci...

Głos mi zamarł w gardle, kiedy w końcu odkryłam, na kogo wskazuje płonąca emocją Jacuś.

Na scenę wchodził dawno niewidziany Adrian Walki.

Ale jak odmieniony!

Po wiejskim proboszczu nie było ani śladu. Przez ten krótki czas rozstania Adrian schudł pewnie z dziesięć kilo. Ponadto zapuścił lekki zarost, niesamowicie seksownie oceniający mu dolną szczękę i zasłaniający okrągłe z natury policzki. I dałabym głowę, że kiedy ostatni raz się widzieliśmy, jego szara bluza z kapturem nie napinała się tak na szerokich ramionach. Nie, ja tę szarą bluzę dobrze pamiętałam. W tamtych czasach napinała się na brzuchu Adriana.

Dopiero gdy zrobiło mi się zimno w migdałki, uświadomiłam

sobie, że stoję z otwartymi ustami. Zresztą Walka też. Jej piękne oczy zmieniły się w dwa puste okienka, za którymi nie mieszkał rozum.

– Co za romantyczna scena! – szalała na scenie prezenterka.

– Tego się na pewno nie spodziewałaś, Walkirio!

Walka ocknęła się z zapatrzania.

– Waltrauto – poprawiła zimno. – Co ty tu robisz? – spytała Adriana trochę cieplejszym tonem.

Adrian patrzył na nią w sposób, jaki do tej pory widywałam tylko w filmach.

– Poprosili, żebym przyjechał, to przyjechałem – powiedział.

– Muszą państwo wiedzieć, że za tym spotkaniem kryje się romantyczna historia – gdał babsztyl. – Otóż...

Rozczulenie z wolna zaczęło mnie opuszczać. Z coraz większym przerażeniem słuchałam, jak upiorna baba powiadamia całą Polskę o prywatnych perypetiach Walki i Adriana – włącznie z historią ich rozstania. Jezus Maria! Skąd ona to wszystko wie?

Dokładnie to samo pytanie malowało się w oczach Walki, kiedy wróciła do garderoby. Była tak wściekła, że prawie widziałam w jej ręku dzidę, a na głowie rogaty hełm.

– Skąd ona o tym wiedziała? – spytała od progu. – I co ty tu naprawdę robisz?! – napadła na Adriana.

– Zadzwoiła do mnie jakaś kobieta z telewizji i powiedziała, że powinienem przyjechać, bo to ci pomoże wygrać – wyjaśnił. – Więc odwołałem spotkanie z klientem i przyjechałem.

Spojrzenie Walki zmiękło.

– Tak w ogóle to przepraszam – rzuciła. – Głupio się zachowałam, wiesz. Nie chciałam cię obrazić.

– Nie obrażem się – odparł Adrian tak ciepło, że nogi mi się ugięły. – Postanowiłem, że spotkam się z tobą, jak już będę taki, jak chciałaś.

Przez chwilę patrzyli na siebie, nie zwracając uwagi na małpiarnię, która chciwie się na nich gapiała. A ja gapiałam się tak samo jak małpiarnia – aż nagle coś sobie uświadomiłam.

Ta świadomość zdzieliła mnie w łeb tak, że straciłam oddech.

– Jezus – hyyyy! – Maria! – wykrztusiłam. – Nie powiedziałaś

o siostrze Moni!

Walka zbladła.

– O w mordę! Nie powiedziałaś! A ty nie wleciałaś goła na scenę!

– Miałaś wlecieć goła na scenę? – zaciekawił się Pająk.

– Jezus, Maria, Józefie święty! – jęknęłam, nie wiadomo czemu konsekwentnie w religijnym tonie. – Walka! Jak mogłaś! Przez ciebie wszystko na nic!

– Przeze mnie? – wściekła się natychmiast Walka. – Ja pytam, kto naplotkował o Adrianie? Gdyby mnie nie zaskoczyli, na pewno bym powiedziała, bo już się szykowałam! Dopiero na jego widok zapomniałam o wszystkim!

– Zapomniałaś o wszystkim na mój widok? – ucieszył się Adrian.

– Kto im wypaplał, pytam? – wrzasnęła Walka. – Kto zdradził?

– Ona – powiedział Pająk z satysfakcją, wskazując mnie. – Sama słyszałam.

Zapadła cisza. Przełknęłam z trudem ślinę.

– Powiedziałaś tej wymalowanej maszkarze o Adrianie? – spytała Walka cicho i strasznie.

Nie mogłam zaprzeczyć. Z technicznego punktu widzenia tak właśnie było.

– Owszem – wykrztusiłam – ale tylko...

– Więc już wiadomo. Wiadomo, kto zawiódł siostrę Moni. To nie przeze mnie wszystko na nic, Pina.

Stałam przed wpatrzoną we mnie małpiarnią, nie rozumiejąc, co się stało. Chociaż nie. Rozumiałam. Nadeszła chwila, której zawsze się bałam. Chwila, w której będę musiała powiedzieć zespołowi, że nawaliłam. Że wszystko poszło na marne. Wyobrażałam sobie tę chwilę wiele razy i w wielu wariantach.

Walka miała rację. Widziałam to w spojrzeniach ludzi z mojego zespołu. Nie mogłam znieść tych spojrzeń.

Odwróciłam się i bez słowa wyszłam.

*

Nie pamiętam, żebym brała kurtkę, ale wzięłam, bo kiedy oprzytomniałam na tyle, by zrozumieć, że idę po ulicy, miałam ją na sobie. Bardzo długo szłam piechotą; nie mogłam znieść obecności innych ludzi. Gdy w końcu dotarło do mnie, że powłóczę nogami, bo mi zlodowaciały, wsiadłam do autobusu. Ocknęłam się dwa przystanki za domem. Wsiadłam i ruszyłam przed siebie przez mroczne, opustoszałe ulice. Szłam ostrożnie, jakbym niosła w sobie odbezpieczony granat. Wiedziałam, że nie mogę wybuchnąć na ulicy. Nie potrafiłabym tego zatrzymać. Dlatego bardzo uważnie o niczym nie myślałam i niczego nie czułam.

Dotarłam do domu. Starannie zamknęłam drzwi. Zdjęłam kurtkę i starannie ją powiesiłam. Starannie postawiłam torbę.

Poszłam do pokoju i przycupnęłam na brzegu łóżka, niewygodnie wyprostowana, jakbym przyszła w gości. Rzeczy były porozrzucane. Zostawiła je jakaś szczęśliwa osoba, której się spieszyło do życia pełnego radosnych wydarzeń. Laptop na biurku zawiesił się podczas wyłączania; ekran mżył upiornym sinym blaskiem. Pod biurkiem leżała porzucona zabawka Mañki, ta mniej lubiana, z dzwoneczkiem w środku.

„Miała nosek jak poziomka” – zdążyłam pomyśleć i granat eksplodował.

*

Jakiś czas później podniosłam się i bardzo powoli zaczęłam doprowadzać się do porządku. Moje ręce były jakieś ciężkie, a kiedy spróbowałam wstać z łóżka, zauważyłam, że reszta ciała też. Z dawnego nawyku pomyślałam, że muszę się ogarnąć i działać, ale przypomniałam sobie, że przecież nie ma powodu.

Kiedy znowu się ocknęłam, nadal siedziałam i było trochę później. „Przestań tak tu sterczeć jak posąg żalości” – powiedział jakiś cierpki głos w mojej głowie i zrobiło mi się minimalnie mniej okropnie.

Czyli tak. Czyli w ten sposób. No jak tak, to tak. Nie żebym była teraz zdolna do czegokolwiek, ale w najbliższej przyszłości trzeba będzie podjąć jakieś decyzje. Jak tylko zdołam spojrzeć w oczy zespołowi.

Może z tego jeszcze wynikną dobre rzeczy. Na przykład Walka. Może Walka pojmie, że śpiewanie jest jej przeznaczone. No i ten Adrian. Wspomnienie wyrazu jego twarzy sprawiło nie tyle, że się uśmiechnęłam, ile pomyślałam o uśmiechu. W tych warunkach to już było coś. I razem przeżyliśmy tyle rzeczy. Nie byłoby tego, gdybyśmy nie postanowili pomóc Moni. Więc może to się jednak dobrze skończy.

Ale nie dla siostry Moni. Nie dla niej.

Chciało mi się tłuc głową w ścianę.

W sumie dlaczego nie.

Po jakiejś minucie uznałam, że osiągnęłam swój cel i nabawiłam się wstrząsu mózgu lub czegoś podobnego, bo przez odgłos równomiernych uderzeń zaczęłam słyszeć głosy. Śpiewające.

„Zapewne anielskie chóry – pomyślałam rozsądnie. – Doskonale się składa, bo nie mam życzenia dłużej tu pozostawać. Miło wiedzieć, że druga strona istnieje i że tam też śpiewają”.

Potem dotarło do mnie, że również tam śpiewają fałszywie. To spostrzeżenie zastanowiło mnie tak, że przestałam łomotać łbem w ścianę. Faktycznie, chóry anielskie fałszowały niemiłosiernie. Co więcej, ja znałam tę piosenkę. Jakieś dwie godziny temu wykonywałam ją przed kamerami telewizyjnymi. I znałam to miauczące wysokie C. Tyle razy mówiłam Helenie, żeby nie brała go na głowie!

Wstałam i podeszłam do okna. Siedem pięter niżej, na parkingu, stał mój zespół i fałszował wniebogłosy.

Przez jakiś czas tylko patrzyłam.

Po telefon sięgnęła już zupełnie inna osoba.

– Można wiedzieć, co to za wygłupy? – spytałam do komórki, uprzednio ją włączywszy. – Wydaje wam się, że gracie w komedii romantycznej?

– W horrorze o śmierci na mrozie – odparł Jacuś z nutką focha w głosie. – W końcu się obudziła, hrabianka! A masz inny pomysł, skoro wyłączyłaś komórkę? Chcieliśmy ci okno kamieniem rozbić, ale mieszkasz za wysoko.

– Domofon?

– No chyba zamarzł, bo od piętnastu minut na nim wisimy i jakoś nas nie wpuszczasz. A twoi sąsiedzi śmiertelnie się boją i nie reagują.

Poczekalibyśmy, aż ktoś będzie wchodził albo wychodził, ale na szczęście mieliśmy lepszy pomysł.

– Nie wiem, czy lepszy – powiedziałam bardzo ciepło.

– Będziesz nas tu dłużej trzymać w tym lodowym piekle czy w końcu nam otworzysz? Bo pizga złem jak w Kieleckiem – powiadomił mnie Jacuś jeszcze bardziej kapryśnym tonem.

– Zastanowię się jeszcze – oznajmiłam, pociągając nosem.

– Wpuszczaj nas, Pina, bo to jest już wreszcie koniec – rozległ się w słuchawce głos Weroniki – i teraz chcemy ci zrobić to wszystko, co sobie tyle czasu obiecywaliśmy.

*

W kuchni zrobiło się głośno i ruchliwie.

– Weronika, no to w końcu jaka sytuacja z tymi brzoskwiniami?

– rzuciła niecierpliwie Helena.

Weronika, której urwała się zawlecza przy puszcze, właśnie zamachnęła się młotkiem na wbity w wieczko śrubokręt.

– Sytuacja – jest – dynamiczna – stęknęła między uderzeniami.

– Jacuś, do cholery, to wino musi pooddychać! – zdenerwowała się Walka. – Co robisz?

– Oddychanie usta-usta – oświadczył Jacuś z zadowoleniem.

Stałam wśród nich bez słowa, oszołomiona jak uratowany rozbitek.

– Tak strasznie cię przepraszam – powiedziałam nagle do Walki.

– Ja naprawdę nie dałam im numeru Adriana... Przepraszam, że o nim powiedziałam.

– Nje, ty nie dałaś – odezwała się Olga żarliwie. – To ja dałam.

Głupia ja, myślała, że dobrze robię... Ja już Walce mówiła.

Wszyscy przycichli. Czułam na sobie ich wzrok.

Walka spojrzała na swojego Adriana. Spojrzała też na mnie i tym spojrzeniem rzuciła mi z serca coś strasznie ciężkiego.

– No. Spoko – powiedziała. – Pokroiłabyś te pomidory.

Dopiero teraz, kiedy odetchnęłam i rozejrzałam się dokoła, dotarło do mnie, że kogoś brakuje.

– Gdzie Monia? – spytałam, choć wiedziałam.

– A. Monia – mruknęła Helena, uciekając wzrokiem. – Musiała wracać do domu.

Wszyscy dalej robili to, co robili, ale zrobiło się cicho i ciężko.

Adrian Walki przyjrzał się nam z zaciekawieniem.

– Przepraszam, jeśli popełnię nietakt... Tusia już mi mówiła, o co chodziło z waszym występem w programie, ale...

– Kto to jest Tusia? – spytałam głupio.

– Ja – mruknęła Walka i oblała się rumieńcem.

Jej Adrian spojrział na nią wzrokiem amanta z tureckiego serialu.

Jacuś gwizdnął pod nosem.

– Więc... – podjął Adrian Walki/Tusi – ile wam jeszcze brakuje?

– Niedużo – powiedziałam z rozpaczą. – Jakieś sto tysięcy.

Adrian spojrział na mnie, jakby usiłował zgadnąć, w czym problem.

– Rozumiem, że chcieliście sami łączyć tę kwotę... ale skoro termin operacji się zbliża... a sprawa jest poważna... może zgodzilibyście się przyjąć te pieniądze od kogo innego?

Roześmiałam się tylko z goryczą.

Adrian przez chwilę usiłował zinterpretować ten śmiech. W końcu się poddał.

– Na przykład ode mnie? – dodał.

Wytrzeszczyliśmy oczy jak stado surykatek. Adrian zaczął się pocić pod naszym nieruchomym wzrokiem.

– Zresztą... – wykrztusił. – Ja tylko... tak...

– Tak – powiedziałam bardzo cicho i powoli, jak do wariata. – Tak, zgodzilibyśmy się. A ty masz takie pieniądze do dania?

– Wczoraj miałem. Poczekać, zadzwonię do współnika i spytam – poprosił Adrian i wyszedł do przedpokoju.

Wszyscy przenieśli wzrok na Walkę.

– Czym – zajmuje – się – Adrian? – wysyczała Weronika, przy każdym słowie dźgając powietrze śrubokrętem.

– Rozdawaniem pieniędzy najwyraźniej – odparła Walka bezradnie. – Skąd mam wiedzieć, do cholery! Znam go tyle samo, ile wy!

– No chyba nie do końca – powiedział Jacuś ze znaczącą miną,

trzepocząc rzęsami, czym bezbłędnie doprowadził Walkę do wściekłości.

– Nie wierzę. Ja po prostu nie wierzę – oznajmiła Helena, stojąc z nożem i spojrzeniem utkwionymi w pomidorze. Gwałtownie wzięła butelkę i pociągnęła łyk. – To się po prostu nie może dziać.

– W porządku – poinformował Adrian Walki, wracając do kuchni.
– Mogę wam to przelać jutro. Pasuje?

– Czy pasuje?! – wrzasnęła Weronika radośnie, przyskakując do niego i kłując go w pierś śrubokrętem. – Za te pieniądze możesz mieć mnie, jego, ją, ją, jego i kogo tylko chcesz!

– Ja to bym chciał tylko ją – odparł trochę speszony Adrian Walki, spoglądając, rzecz jasna, na Walkę.

– Ją to sobie w ogóle weź na zawsze – pozwoliła Weronika z wielkopańskim gestem śrubokręta.

Zauważyłam, że Walka nie zaprotestowała.

– Ej, to trzeba natychmiast powiedzieć Moni! – zawołał Adrian Weroniki.

Pięć osób rzuciło się jednocześnie wybierać jej numer.

– Ludzie... – usiłował nas opanować Adrian Weroniki. – Tak się nie da... No weźcie... **RĘCE DO GÓRY, DEBILE!!!**

Znieruchomieliśmy. Weronika popukała się w czoło.

– Zwariowałeś z tego szczęścia?

– Jedna osoba niech dzwoni, wieśniaki z prowincji! Dać takim komórki...

– Ja! Ja! – zgłosił się natychmiast Jacuś.

– Dlaczego ty? A nie na przykład Adrian? Albo Walka?

– Bo ja mam taki przyjemny głos – wyjaśnił Jacuś tonem skromnej panienci z dobrego domu.

Walka machnęła ręką.

– Niech se zadzwoni. Tylko jej nie przestrasz!

Jacuś spojrział na nią z wyższością i zabrał się do dzwonięcia.

Przez chwilę stał z telefonem przy uchu. Potem go opuścił.

– Proszę państwa – powiedział. – Telefon Moni jest wyłączony.

Spojrzeliliśmy po sobie. Mam wrażenie, że pomyśleliśmy dokładnie to samo. Nie przypominam sobie, żebyśmy cokolwiek konsultowali.

Zgodnie skierowaliśmy się do drzwi, wkładając po drodze puchówki i buty.

– A ty dokąd? – spytał Wojtek, który właśnie wrócił do domu.

– Pokolędować pod oknem w Grodzisku – wyjaśniłam i pobiegłam za przyjaciółmi.

– Co, już? – nie ogarnął Wojtek, choć na ogół ogarnia.

– Żadnego kolędowania – warknął Jacuś w przelocie. – Tam to już na pewno okno rozbiję.

– A jak Monia też mieszka na siódmym piętrze? – spytałam, jednocześnie dochodząc do wniosku, że go kocham.

– Na siódmym? – prychnął Jacuś. – Pina, nie szalej. To Grodzisk!

EPILOG

– A potem dzwoni do mnie o drugiej w nocy, rozumiesz, cała spanikowana – opowiadała Weronika Moni, która od niedawna znowu wyglądała jak dawna Monia. – Wyrwała mnie ze snu. W pierwszej chwili myślę: chyba mi się śni, że jakaś papuga do mnie dzwoni, ale potem znowu myślę: e, nie, to tylko Pina skrzeczy. „Ja to wszystko dokładnie przemyślałam i już wiem, skąd on ma tę forszę! To jest mafia! Musimy natychmiast wszystko oddać! Oglądałaś *Dług?*”.

– Wcale tak nie było – mruknęłam. – Po prostu wyraziłam przypuszczenie. Hipotezę. Poza tym ja nie skrzeczę.

– Skrzeczałaś jak papuga, której wyrywają pióra z dupy – powiedziała Weronika z czułością.

Był czarny i lodowaty lutowy wieczór, a my siedzieliśmy u Jacusia, czekając na emisję odcinka, w którym razem odpadliśmy z programu.

– O matko – odezwał się Jacuś. – Jak ja się cieszę, że to się już skończyło.

– Ja też – dodała Helena. – Nie macie pojęcia, jak mało brakowało, żebym wyleciała ze studiów.

– Ja też – westchnęła Monia. – Tylko żeby to się naprawdę skończyło...

Wera pogłaskała ją po głowie.

– Na pewno, ja ci to mówię!

Siostra Moni przeszła w styczniu operację w Niemczech. Na razie wszystko wyglądało lepiej niż dobrze. Ale o tym mówiliśmy rzadko i półgębkiem, żeby nie zapeszyć.

– Może w tym koszmarze nawet było coś pozytywnego – zauważyła Helena filozoficznie. – Inaczej nie wiedzielibyśmy o istnieniu różowego zamczyska.

– I Walka nie poznałaby Adasia – dodałam, bo tak dla odróżnienia nazwaliśmy Adriana Walki, jak się okazało, bliskiego kuzyna różowego magnata. Nie aż tak bajecznie majątnego, ale jednak.

– Tylko czy z tego nieszczęścia nie będzie – zatroskała się

Weronika. – W *Trędowatej* też tak było i wiadomo, jak się skończyło.

– Nie martw się – powiedział Adrian, poprawiając okulary. – Nadal jest kryzys. Może Adaś zbankrutuje i wszystko będzie dobrze.

– I nie poznalibyśmy Olgi – dodała Monia.

– I ja schudłem trzy kilo – dodał Jacuś całkowicie poważnie.

Przez chwilę milczeliśmy.

– A jednak dobrze, że ten koszmar się skończył – odezwała się Helena.

Wszyscy się z nią zgodziliśmy.

– Ale że można mieć taką kasę i tak nie wyglądać...! – rzucił Jacuś po kolejnej chwili milczenia.

Z tym też się zgodziliśmy. Nie musieliśmy pytać, o kogo mu chodzi, bo od miesiąca myśleliśmy o tej samej osobie. Bogacz dla kaprysu jeżdżący starym gruchotem i ubierający się w bluzy z kapturem był dla nas zjawiskiem, z którym nie mogliśmy się tak łatwo pogodzić.

– Ale taki długi... – odezwała się Weronika. – Walka będzie chyba musiała za niego wyjść, żeby mu się odwdzińczyć.

– Lepiej ona niż my – zauważył Adrian.

– No nie wiem – powiedział Jacuś. – Może on by wolał inaczej?

– Jacuś! – prychnęłam. – Ty nigdy nie tracisz nadziei?

– Kto nie traci nadziei? – spytała Walka, wchodząc.

– Nikt. Nikt nie traci nadziei – odparłam z przekonaniem.

– Ja tracę – odparła Walka. – Jak widzę, ile mam jeszcze do nadrobienia na studiach. Jak to dobrze, że wszystko już się skończyło.

– Ej, program się zaczyna – rzucił Adrian.

– Patrzcie, dopiero teraz dają nasz odcinek – zauważyłam, siadając przed telewizorem. – Połowa lutego. Ale byliśmy głupi! Nawet gdyby nam się udało opowiedzieć o Walce, i tak pieniądze zaczęłyby płynąć dopiero od jutra.

– Jeśli w ogóle – dodała Weronika.

– Dlaczego głupi? – spytała Helena z urazą. – Nie każdy musi wiedzieć, że w drugim etapie odcinki nie są emitowane na żywo.

Wyglądają, jakby były.

– Pomyślcie, co by było, gdyby nie Adaś – powiedziała Monia.

– Jak to dobrze, że Walka go poderwała – dodałam.

– No nie wiem – mruknęła Walka, uciekając wzrokiem.
– Co, znowu? – zirytowała się Helena. – Co ci znowu nie pasuje?
– Jego wygląd – wyznała strapiona Walka.
– Czy ty, durna babo, upadłaś na ten durny łeb? Widziałaś, jak on wygląda?
– Widziałam! – wrzasnęła Walka. – Widziałam, jak on wygląda!
A ty widziałaś, jak ja wyglądam? On jest dla mnie za piękny!
Jęknęłam i nadziałam sobie poduszkę na głowę, żeby tego nie słuchać.
– Jakby co, ja mogę się nim zająć – oznajmił Jacuś.
– Nie waż się – rzuciła Walka z nieoczekiwaną gwałtownością.
– Ale patrzcie, nawet Adaś nam nie pomógł – zauważył Adrian.
– Wyrzucili nas z programu na śnieg i mróz.
– I Mańka nam nie pomogła – dodała Olga.
– Jak już ludzie nie głosują na koty, to znaczy, że koniec świata blisko – westchnęła Monia.
– Oni by na kota zagłosowali może – mruknęła Weronika. – Tylko jako podstawka pod kota występowaliśmy my. Podstawka go pogrzyżyła.
– Co prawda, to prawda – zgodził się Adrian. – Dobrze, że to się już skończyło.
– O, my – odezwała się Helena po chwili.
– Matko, jaka ja jestem gruba – przeraziła się Weronika. – O Jezu, Adrian, czy ja jestem taka gruba? O! A z tej strony jaka gruba jestem! Helena, czy ja naprawdę jestem taka gruba?
Walka spojrzała na nią kątem oka i spuściła wzrok.
– O, Mańka – powiedziałam cicho, zdejmując poduszkę z głowy.
Na ekranie pojawiło się zbliżenie kształtnego łebka i noska jak bladuróżowa poziomka.
Jacuś poklepał mnie po plecach.
– Nie zadzwoniła, co?
– Nie zadzwoniła – powiedziałam.
– Koty to dranie.
– Koty to dranie – zgodziłam się. – Z drugiej strony – dodałam po chwili – nie miała mojego numeru.
– Fakt – przyznał Jacuś. – Matko, jaki ja brzydki jestem.

– Fakt – przyznałam, a Jacuś wyrwał mi poduszkę i trzepnął mnie nią, wcale nie lekko.

Patrzyliśmy na samych siebie, młodszych o miesiąc z kawałkiem, trochę fałszujących i stremowanych jak nieszczęście, ale z werwą i uciechą wykonujących tę samą piosenkę, która tamtego dnia miała zabrzmieć jeszcze dwa razy (Jacuś jednak nie rozbił szyby Moni, mieszkającej, jak się okazało, na piątym piętrze – nawet Grodzisk potrafi zaskoczyć).

A potem, po milionach reklam i wywiadów, w tym po wywiadzie z nami, bandą przerażonych, opryskliwych idiotów, na których nie wysłałabym nawet pół esemesa, przyszła kolej na występ Walki.

Walka w czarnej, tylko nieznacznie wymiętej sukience stała w krążku światła reflektora, rzeźbiącego jej kocią twarz.

– O matko, Walka, ale ty piękna jesteś – westchnęłam z uwielbieniem.

– Mów tak dalej, niech plotki krążą – mruknął Jacuś złośliwie.

– Niech – zgodziłam się bez oporów. – Jest piękna, przyznasz.

– Przyznam – powiedział Jacuś.

Walka na ekranie zaczęła śpiewać.

– Walka – odezwała się cicho Helena. – Jeśli naprawdę zostaniesz tą księgową, to ja cię osobiście, tymi oto własnymi rękami zabiję.

– Właśnie – dodała Weronika.

A potem już nikt się nie odzywał. Czarodziejski głos Walki zabrał nas w długą podróż, o której nie mówi się innym.

W pewnej chwili musiałam parę razy zamrużyć, bo wydawało mi się, że zaszklony wzrok mnie zwodzi.

Nie zwodził.

– E, patrzcie! – rzuciłam gorączkowo, pokazując palcem.

– Co? – Helena drgnęła, wyrwana z transu.

Chętnie bym jej wyjaśniła obszerniej, ale emocje ścisnęły mi gardło.

– A o! O! – wykrztusiłam, dziabiąc palcem w ekran.

– Dajcie posłuchać – syknęła Weronika i nagle dodała:

– Rzeczywiście!

Za plecami Walki, doskonale widoczne w świetle reflektora,

bardzo powoli, wirując wokół własnej osi, spływało białe piórko. Delikatne jak sama delikatność. Bezbronne. Wzruszające. Na wielkim niczym *Bitwa pod Grunwaldem* telewizorze Jacusia widziałam dokładnie falowanie puchu, atłasowe lśnienie bieli. I tak, wyglądało dokładnie jak dawne ideały. Albo niewinność. Albo...

Magia.

Trwaliśmy zahipnotyzowani, dopóki piórko nie opadło, a piosenka się nie skończyła. A wtedy poczuliśmy się tak, jakby coś nam zabrano. Jacuś nawet bardziej niż reszta.

– To mój pomysł był! – wrzasnął z oburzeniem. – Mój! Kto? Kto mi to zrobił? Jak?

– Czary – powiedziałam, nie wiadomo dlaczego śmiejąc się nerwowo.

– Ja chcę jeszcze raz! – zawołała Monia.

– Na dziś to koniec – powiedział Adrian. – Ale od jutra pewnie będzie na YouTube.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Powoli docierał do nas fakt, że to naprawdę koniec. A kiedy dotarł, powoli zaznajamialiśmy się z tym uczuciem. I to jest, powiem wam, dziwne uczucie. Najpierw fajne. Potem coraz straszniejsze.

– Ja chcę jeszcze raz – powiedziała Monia, ale już innym tonem. Patrzyła na mnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Ja też – dodała Helena.

– Ja też – powiedziała cicho Olga.

– Ja też – dołączył się Jacuś.

– Ja też – odezwali się jednocześnie Weronika i Adrian.

Walka milczała. Miała odwróconą głowę. Widziałam tylko obrys jej policzka i długie rzęsy.

Policzek się poruszył. Tak jakby... Tak jakby Walka się uśmiechała.

– No – powiedziała, odwracając się. – Ja też.

– Co powiesz, Pina? – spytała Monia.

Wzruszyłam ramionami.

– Że to kiepski pomysł.

– Tak, Pina, ale my chcemy jeszcze raz – powtórzyła uparcie Monia. – Co z tym zrobisz?

– A dlaczego ja mam coś zrobić? Mało narobiłam? Wstydu i nieszczęścia? Prawie wylecieliśmy ze studiów. Ja się nie nadaję, żeby coś robić. Znajdźcie kogoś innego.

– Tak, Pina – wyjaśnił Adrian cierpliwie. – Ale my nie pytamy kogoś innego. Pytamy ciebie. Co z tym zrobisz?

Wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć. I odpowiedziałabym, gdyby nie to uczucie. To, które na początku jest fajne, bo zwalnia z odpowiedzialności. A potem jest nefajne, bo przynosi zrozumienie, że straciło się coś ważnego. Coś, po czym pustka jest o wiele dotkliwsza niż odpowiedzialność.

Właśnie przez to uczucie, które nagle zrobiło się tak okropne, że w ogóle nie miałam ochoty sprawdzać, co jest na jego końcu, odpowiedziałam zupełnie inaczej, niż zamierzałam.

I od tego naprawdę wszystko się zaczęło.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym krótko, lecz z całego serca podziękować osobom, które pomogły mi w napisaniu mojej wymarzonej książuni. Dziękuję Aleksandrze Bilińskiej i Alodii Urbańczyk, moim przyjaciółkom, konsultantkom w dziedzinie teatrów amatorskich i Śląska, znakomitemu Marcinowi Zawadzie za wspaniałomyślne użyczenie historii o Królewnie Śnieżce, oraz – *last but not least* – wspaniałej Asi Wajs, bez której ta książka po prostu by nie powstała. Jeśli więc czytelnikowi powieść się nie podoba, wie już, do kogo mieć pretensje...

A dodatkowo chciałabym podziękować wszystkim, o których jest ta historia. Ludziom, którzy zajmują się sztuką bez wielkiego rozgłosu i zarobku, w setkach domów kultury w całej Polsce, walcząc z szarością codzienności. Życie bez was byłoby o wiele brzydsze.

Maciejka Mazan

Text © copyright by Maciejka Mazan, 2016
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016

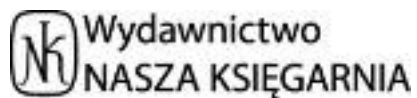
Layout okładki *Olga Reszelska*
Zdjęcie autorki *Ewa Brzozowska*

Zdjęcia na okładce:
© iStockphoto.com/Mlenny
© eriklam/Depositphotos.com

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Redakcja *Joanna Kończak*
Korekta *Małgorzata Ruszkowska*
Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13064-8

Plik wyprodukowany na podstawie *Pina, zrób coś!*, Warszawa
2016



www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.

